Rys. Dariusz Romanowicz

Nr indeksu 36762 PL ISSN 0472-5042

Łódź

Odgłosy

tygodnik społeczno-kulturalny

NR 50 (1654) ROK XXXII 10 GRUDNIA 1989 ROKU CENA 300 ZŁ

◆ Rozwiązać „Solidarność"?! — str. 2
◆ Rozsypujący się posterunek str. 6
◆ W niemieckim więzieniu — str. 7
◆ Energetycy przypominają o świecach — str. 5
◆ Baronowa Karen Blixen — str. 10

Zjednoczenie czy podział „Solidarności"? Panorama sił politycznych istniejących w „Solidarności".

Nie zazdrościmy nikomu władzy

Rozmowa z JERZYM KROPIWNICKIM — wiceprzewodniczącym Zarządu Regionu NSZZ „Solidarność" Ziemi Łódzkiej.

— Po ogłoszeniu stanu wojennego z działającej w podziemiu „Solidarności" wyłoniły się różne nurty o charakterze bardziej politycznym niż związkowym. Ewoluowały one w kierunku partii politycznych, zachowując jednak w nazwie słowo „Solidarność". Spróbujmy uporządkować to zjawisko: które z solidarnościowych ugrupowań politycznych wyodrębniły się najwcześniej?

— Najstarsza jest „Solidarność Walcząca", działająca początkowo w ramach NSZZ „Solidarność", a następnie, po 2—3 latach konkretyzowania programu, określająca się jako ugrupowanie stricte polityczne, a nie związkowe. Ostateczne wyodrębnienie się z ruchu związkowego nastąpiło w latach 1986—87. Przywódcą „SW" jest Kornel Morawiecki, drugim znanym działaczem — p. Kołodziej z Gdańska. Kilka lat temu zostali oni aresztowani i uwięzieni, potem zaś wydaleni z kraju. Kornel Morawiecki powrócił z fałszywym paszportem, kieruje „SW" z ukrycia. Organizacja działa bowiem nadal w podziemiu, co zapewne jest konsekwencją ultraradykalnego programu „SW" odrzuca w ogóle PRL jako formację ustrojową, nie jest to dla niej niepodległe i suwerenne państwo. Rząd Rzeczypospolitej na wychodźstwie uważany jest za depozytariusza wartości niepodległej ojczyzny. „SW" — o ile wiem — uczestniczyła nawet w próbie rewindykacji Delegatury na Kraj. Działacze tego ugrupowania są zdania, iż zmiana stosunku do władzy w Warsz wie możliwa będzie dopiero po przeprowadzeniu w pełni demokratycznych wyborów Wpływy „SW", jako organizacji niejawnej trudne są do określenia. Sądząc po przejawach działalności, są one dość silne we Wrocławiu, w Gdańsku i na Górnym Śląsku Jest to organizacja elitarna, sprawna, dysponująca dobra bazą poligraficzną. Organizacja posługuje się znakiem graficznym — kotwicą — będącym połączeniem liter S i W. Wychodzące w Łodzi pismo podziemne „Solidarność Walcząca" (1982—83 i ponownie 1986—88) nie miało żadnego związku z tą organizacją.

Ciekawym fragmentem najnowszej historii politycznej PRL są losy drugiej radykalnej struktury, jaka wyłoniała się ze spuścizny „Solidarności" po stanie wojennym. Chodzi o warszawski Międzyzakładowy Robotniczy Komitet „Solidarność". To właśnie MRKS organizował spektakularne akcje protestacyjne w Warszawie m.in obchody 1 i 3 maja 1982 roku. To oni porwali Narożniaka ze szpitala więziennego, oni zasmradzali sale teatralne, w których występowali aktorzy, odmawiający bojkotu telewizji. Mieli też znaczny udział w organizowaniu radia „Solidarność". Pierwsze kierownictwo MRKS zostało aresztowane późną wiosną 1982 roku; MRKS kontynuował jednak działalność, wydając w stolicy czasopismo „CDN" Następnie MRKS przechodził różnego rodzaju przekształcenia, w wyniku których uformowała się socjalizująca grupa, skupiona wokół pisma „Robotnik" Ta część środowiska MRKS przyczyniła się potem do rewindykacji PPS, uczestnicząc w obu pierwszych kongresach założycielskich PPS jesienią 1987 roku. Była to jedna z największych i najbardziej wpływowych grup, powołujących do życia PPS. Ale fakt ten spowodował jednocześnie rozłam w MRKS. Ostatecznie środowisko „Robotnika" odeszło i grupa z pp. Wolfem i Mizikowskim, uważająca się nadal za strukturę „Solidarności" kontynuowała tradycje pierwszego MRKS. To ona m.in. zawieszała w najbardziej nieprawdopodobnych miejscach hasła i transparenty. Całkiem niedawno z jej właśnie inicjatywy doszło do utworzenia Niepodległościowej Partii „Solidarność", bardzo radykalnej, krytykującej rezultaty „okrągłego stołu".

— Mamy więc już drugie ugrupowanie polityczne z „Solidarnością" w nazwie..

— Tak, a ostatnio doszło jeszcze trzecie, mianowicie Polskie Stronnictwo Ludowe „Solidarność", powstające na bazie NSZZ „Solidarność" Rolników Indywidualnych, z Józefem Śliszem na czele. Wracając jednak do poprzednich: „SW" i MRKS to były w pewnym sensie bratnie organizacje. Nie wiem, czy istniały pomiędzy nimi bezpośrednie kontakty, ale uzewnętrzniały one to samo napięcie

3

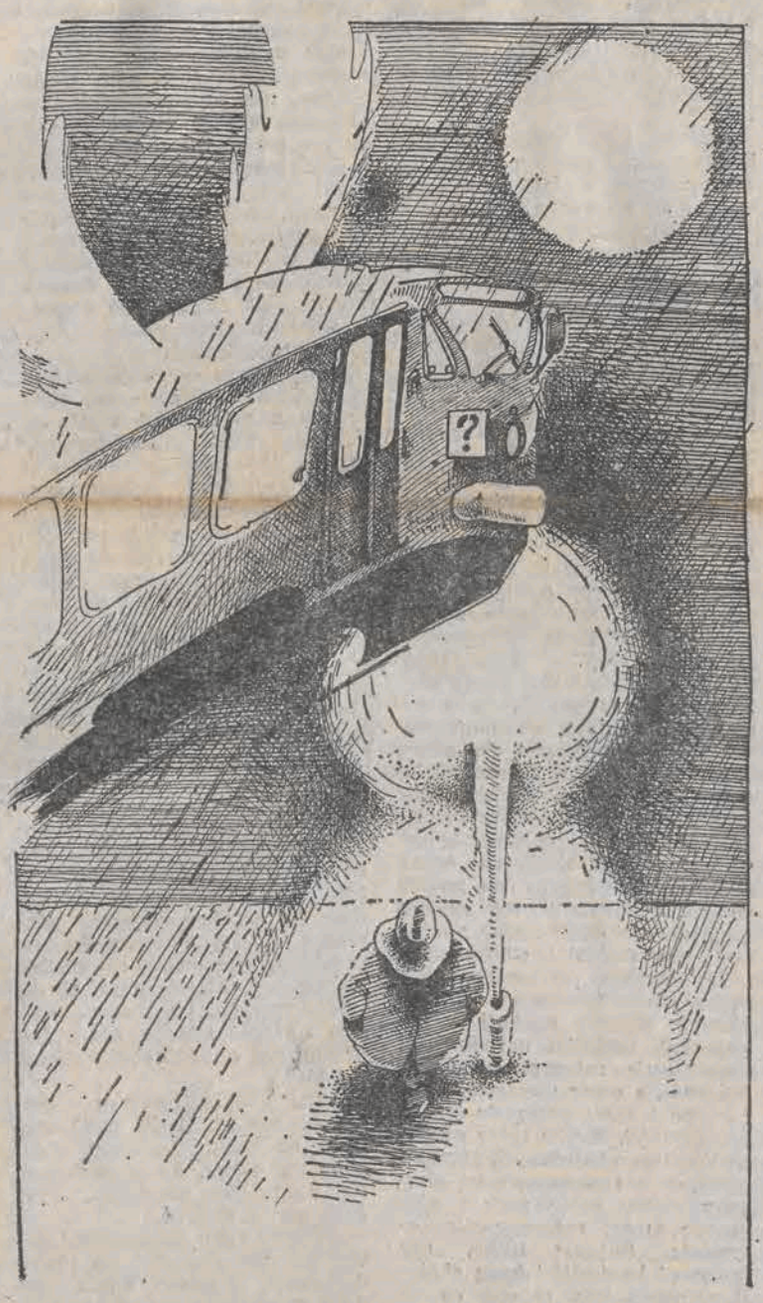

Rys. Dariusz Romanowicz

Nocą w zajezdni na Helenówku

Układ konieczny do funkcjonowania miasta

BOGUMIŁ A. MAKOWSKI

Gdzie jest najdłuższa linia tramwajowa w Europie? Które spośród polskich miast ma najwięcej kilometrów linii tramwajowych? To proste — w Łodzi, zaś owa najdłuższa linia tramwajowa biegnie z krańcówki tramwajowej przy ulicy Północnej w Łodzi do Ozorkowa. Odpowiedź na powyższe pytania, a także znacznie poważniejsze bolączki łódzkiego MPK mógł poznać prezydent Łodzi, **Waldemar Bohdanowicz**, który 24 listopada na zaproszenie dyrekcji MPK i Komisji Międzyzakładowej „Solidarność" MPK odwiedził trzy spośród łódzkich zajezdni.

Na kilkanaście minut przed 22, bo na tę porę wyznaczono rozpoczęcie wizyty w zajezdni tramwajowej na Helenówku, zebrało się przed nią wielu pracowników, którzy bądź byli już po pracy, bądź jeszcze do rozpoczęcia swoich zawodowych obowiązków pozostało im sporo czasu. Czekali na prezydenta, który przyjechał nie do dyrekcji, do biur, ale do nich — zobaczyć w jakich warunkach pracują. Godzi się w tym miejscu wspomnieć, iż od początku łódzkiej komunikacji — roku 1898, bodaj po raz pierwszy prezydent miasta wizytuje jej obiekty w nocy.

5

Pracownicy więziennictwa będą mieli związek zawodowy.

Co jest za więziennym murem?

EUGENIUSZ IWANICKI

Od kilku miesięcy niemal we wszystkich zakładach karnych w Polsce wrze niczym w kotłach stojących na buzującym ogniu. Protesty, strajki okupacyjne, bunty odbiły się echem w środkach masowego przekazu i trafiły do obu izb parlamentu. Wytworzyło się przekonanie, że w zakładach karnych dokonywano wobec ludzi tam przetrzymywanych niedopuszczalnych praktyk, że więźniów maltretowano, pozbawiano opieki medycznej, stworzono warunki poniżające godność człowieka, głodzono. Taki obraz przeniknął do społeczeństwa wzbudzając — i tak nigdy nie darzoną sympatią — zwiększoną niechęć do służb więziennych, ale też nie wywołując specjalnego współczucia czy powszechnej solidarności ze skazanymi. Jeśli jednak funkcjonariusze więziennictwa są poddawani krytyce, to przecież więźniowie skazani prawomocnymi wyrokami w imieniu PRL wcale nie są z radością oczekiwani przez społeczeństwo po tej drugiej stronie murów. Skazani chcą jak najszybciej wyjść na wolność, żądają amnestii i ani przez moment nie zadają sobie pytania, czy społeczeństwo także pragnie owego aktu łaski.

Oto bowiem z danych statystycznych wynika, że przestępczość w kraju rośnie w zastraszający sposób. Mijający rok (dane za 10 miesięcy) pobił wszelkie pod tym względem rekordy. Same rozboje wzrosły, w porównaniu do 1988 roku aż o 70 proc.! Jeśli zważy się, że ogólna liczba przestępstw w 1988 roku wynosiła 284 817, to do listopada 1989 r. odnotowano ich 324.803 (szczególnie nasiliły się włamania do mieszkań i sklepów, kradzieże samochodów, zabójstwa, napady rabunkowe).

Tak więc amnestia posiada dwa oblicza: jedno — humanitarne, bardzo penitencjarne i bardzo ludzkie, drugie — obiecujące wzrost przestępstw i zwiększone ryzyko zagrożenia dla nas wszystkich.

Najpierw zatem wybuchły protesty więźniów. Przestały obowiązywać wszelkie regulaminy i zarządzenia. W niektórych zakładach karnych doszło do ataku na funkcjonariuszy (żyletkami lub nożami), rozbijano drzwi do cel, opanowano pawilony. 23 listopada 1989 r. w Sanoku zbuntowani więźniowie pochwycili dwóch funkcjonariuszy jako zakładników, grożąc, że jeśli ich postulaty nie zostaną spełnione, życie tych dwóch mężczyzn będzie tyle warte, co wypalony papieros. 24 listopada natomiast bunty objęły **Gdańsk, Kraków, Zarębę Górną, Zabrze,** gdzie po odebraniu kluczy strażnikom więźniowie zabarykadowali się w celach i w pawilonach, natomiast w **Sieradzu**, jako dodatkowy protest ogłoszono głodówkę. W niektórych zakładach karnych zbuntowani nie poprzestają na strajkach okupacyjnych, ale grożą zgwałceniem wszystkich kobiet zatrudnionych w ich więzieniach, lżą służbę więzienną, opluwają przechodzących strażników... Jednym słowem sytuacja stała się krytyczna, a dla pracowników zakładów karnych wręcz niebezpieczna.

Zmusiło to do zmobilizowania wszelkich możliwych sił i środków, aby w razie siłowego wystąpienia więźniów, można było nie dopuścić do całkowitej anarchii, do rozwalenia bram i wylania się na zewnątrz między innymi recydywistów i wielokrotnych morderców. Na szczęście — jak dotąd — niegdzie nie doszło do tego rodzaju konfrontacji i nie polała się krew.

Środki masowego przekazu, szczególnie telewizja, serwowały relacje z różnych więzień, w prasie pojawiły się żądania protestujących. Natomiast nic nie było o służbach więziennych, o tym, jakie teraz mają potrzeby, jak się zachowują. Bo przecież wiadomo, że „klawisz", to ten, co biednego więźnia maltretuje, to człowiek pośledniejszej kategorii, więc po co zawracać sobie nim głowę.

A owi „klawisze" zaczęli także wołać pełnym głosem o tym, że tak dalej być nie może. Oni także żądają ochrony, zapewnienia im bezpieczeństwa i możliwości wykonywania nałożonych obowiązków. Zaczęły więc płynąć do **Centralnego Zarządu Zakładów Karnych w Warszawie** sprawozdania i teleksy o pomoc, ale tam, na górze, jakoś nie kwapiono się do podjęcia zdecydowanych decyzji. I wówczas — zaprotestowali!

Z jednej strony protest więźniów, z drugiej — strażników więziennych. Niby paradoks, ale mający swoje odbicie w rzeczywistości więziennych enklaw. Owszem — stwierdzili w rezolucji — chcemy pracować, wykonywać swoje obowiązki, ale chcemy je wykonywać względnie bezpiecznie i w spokojnych warunkach. Skoro stworzono więzienia, skoro ich w tych więzieniach zatrudniono (społeczna konieczność i nieuchronność izolowania elementów przestępczych), to proszę bardzo, ale

6

Adres redakcji:
90-113 Łódź, ul. Henryka Sienkiewicza 3/5.
Telefony: redaktor naczelny 36 52 44,
sekretarz redakcji,
fotoreporter: 36 80-99,
publicyści: 36-77-70; 32-89-70
Redaktor naczelny: Lucjusz Włodkowski.
Zastępca redaktora naczelnego: Edmund Lewandowski.
Sekretarz redakcji: Grażyna Olechnowicz.
Problematyka literacka: Henryk Pustkowski.
Problematyka kulturalna: Marian Zdrojewski.
Redaktor techniczny: Janusz Kozłowski.
Zespół: Ryszard Binkowski, Dariusz Dorożyński, Andrzej Gębarowski, Konrad Frejdlich, Eugeniusz Iwanicki, Teresa Jerzykowska, Zofia Kędziora, Marek Koprowski, Mirosław Kuliś, Jerzy Kwieciński, Bogda Madej, Andrzej Makowiecki, Paweł Tomaszewski,
Graficy: Dariusz Romanowicz, Janusz Szymański Glanc
Fotoreporter: Grzegorz Gałasiński
Korekta: Mariola Knaga, Jolanta Sawiuk.
Stale współpracują: Tadeusz Błażejewski, Marek Brzeziński (Paryż — Londyn), Grzegorz Gazda, Janusz Janyst, Andrzej Karolczak, Witold Kasperkiewicz, Andrzej Kempa, Wasyl Kocznow (Moskwa), Włodzimierz Krzemiński, Bogumił A. Makowski, Zenon J. Michalski, Adam Ochocki, Jerzy Panasewicz, Maciej Świerkocki.

Ogłoszenia: Biuro Reklam i Ogłoszeń Łódź, ul. Sienkiewicza 3/5 tel. 32-59-11.

Organizacja reklamy: **Andrzej Bartosiewicz**, tel. 36-89-99

Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada.

Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe, RSW „Prasa-Książka-Ruch" 91-103 Łódź ul. Sienkiewicza 3/5.

DRUK: Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa-Książka-Ruch" Łódź, ul. Armii Czerwonej 28.

Redakcja nie zwraca nie zamówionych rękopisów i zastrzega sobie prawo do skrótów.

Warunki prenumeraty w 1990 roku: 1) Z możliwości prenumerowania mogą korzystać mieszkańcy wsi osiedli oraz miasteczek w których nie ma Oddziałów RSW a także osoby niepełnosprawne bez względu na miejsce zamieszkania 2) Natomiast nie mają możliwości prenumerowania mieszkańcy miast.

Wpłaty na prenumeratę przyjmują: 1) Oddziały RSW właściwe dla miejsca zamieszkania lub siedziby prenumeratora; odbioru zamówionych egzemplarzy dokonuje prenumerator w wyznaczonych punktach sprzedaży lub w inny uzgodniony sposób 2) Urzędy pocztowe i listonosze — od prenumeratorów z terenów wiejskich lub innych miejscowości w których nie ma oddziałów RSW a w miastach tylko od osób niepełnosprawnych.

Wpłaty na prenumeratę przyjmowane są tylko na okresy kwartalne. Należność za przyjętą prenumeratę pocztową obejmuje cenę tygodnika oraz opłatę za doręczenie. Prenumerata ze zleceniem dostawy za granicę jest o 100 proc. wyższa: w przypadku zlecenia dostawy drogą lotniczą — koszt dostawy lotniczej w pełni pokrywa prenumerator.

D-10

Przegląd prasy

Z zaskakującą propozycją wystąpił na łamach wychodzącego w Gdańsku tygodnika katolickiego „MŁODA POLSKA" (nr 6) Marian Piłka. Jego zdaniem — należy rozważyć sprawę rozwiązania NSZZ „Solidarność". Organizacja ta bowiem spełniła już swoją rolę, a teraz przeżywa kryzys. Spektakularny sukces wyborczy nie znajduje potwierdzenia w rozwoju struktur związkowych.

„Rozwijają się one słabo, a zdarzają się nawet przypadki składania legitymacji związkowych. Zakłady, w których większość pracowników należy do „Solidarności", są nadal wyjątkiem. Nie ma ani śladu charakterystycznego dla lat 1980/81 entuzjazmu i zapału. Dystans znacznej części świata pracy wobec „Solidarności" oraz spory wokół komitetów obywatelskich są zewnętrznymi objawami głębokiego kryzysu. Dotychczasowa formuła ruchu wyczerpała, jak się wydaje, swe możliwości, stała się anachronizmem, który podtrzymywany jest jedynie siłą inercji oraz brakiem rzeczywistej konkurencji".

W obecnej sytuacji NSZZ „Solidarność" staje się coraz mniej zdolny do wyrażania różniących się dążeń ekonomicznych, społecznych i politycznych. Przeszkadza w rozwoju pluralizmu, stanowi barierę w przezwyciężaniu pozostałości socjalizmu, utrudnia powrót do reguł gospodarki kapitalistycznej. Najbardziej twórczym i dynamicznym ruchem jest dziś prywatna przedsiębiorczość.

„W porównaniu z nią ruch związkowy, z jego etosem rewindykacyjno-kontestatorskim, ma niewiele do zaproponowania. Jego aktywność ukierunkowana jest raczej na obronę pracowniczego status quo, a nie na innowacyjność, przedsiębiorczość i pracowitość. Nic dziwnego, że hasła populistyczne wymierzone przeciwko prywatnej przedsiębiorczości i obliczone na utrzymanie socjalistycznej „urawniłowki" znajdują zrozumienie i poparcie w kręgach solidarnościowych".

NSZZ „Solidarność" — oprócz środowisk intelektualnych — przetrwał głównie w wielkich ośrodkach przemysłowych wybudowanych w latach pięćdziesiątych. A powrót do gospodarki kapitalistycznej wymaga likwidacji lub głębokiej restrukturyzacji tych zakładów. Oznacza to utratę wielu miejsc pracy. Zmiany dotkną więc ludzi, którzy dotąd nieźle zarabiali i stanowili bazę społeczną „Solidarności". Obrona ich prowadzi jednak do utrwalania socjalizmu w gospodarce.

„Dominacja w strukturach związkowych wielkoprzemysłowej klasy robotniczej oraz politycznej orientacji lewicowej prowadzić może do pokusy utożsamiania własnych założeń ideologicznych i własnych interesów z interesem ogólnonarodowym. Sojusz tej orientacji z wielkoprzemysłową klasą robotniczą już dziś określa w dużym stopniu oblicze „Solidarności". Koncepcja zbudowania solidarnościowego ruchu politycznego jest właśnie taką próbą zawłaszczenia ogólnonarodowej tradycji i związanych z nią sentymentów na rzecz jednego, lewicowego stronnictwa".

Pierwotną zasadą organizującą NSZZ „Solidarność" była negacja systemu totalitarnego. Natomiast obecnie negacja jest zasadą politycznie jałową i szkodliwą. Rozwój demokracji wymaga pełnego upodmiotowienia społeczeństwa i określenia tożsamości ideowo-politycznej różnorodnych nurtów. Nie ma już potrzeby monopolizowania opozycji przez jeden ruch. Powołanie rządu Tadeusza Mazowieckiego uczyniło zbędnym istnienie ruchu o charakterze ogólnonarodowym. Teraz potrzebujemy efektywnej gospodarki, nowego modelu związków zawodowych, nowoczesnego państwa i stronnictw politycznych wyrażających rzeczywisty pluralizm społeczeństwa.

„Ta nowa rzeczywistość w znacznej mierze mogąca zaistnieć dzięki „Solidarności", jest wypełnieniem jej pierwotnego programu. Jednakże ogólnonarodowy ruch, pełniący tak wiele funkcji w obecnej sytuacji, traci rację bytu. Dlatego należy rozważyć kwestię rozwiązania „Solidarności". Wartości, jakie wniosła w życie Polaków, stały się dobrem ogólnonarodowym. Nowe warunki wymagają jednak nowych rozwiązań i nowych struktur".

SOCJALIZM CZY KAPITALIZM?

Marian Piłka pragnie powrotu gospodarki kapitalistycznej. Natomiast zupełnie inną postawę zajmuje w tygodniku NSZZ „Solidarność" Pomorza Zachodniego „SOLIDARNOŚĆ SZCZECIŃSKA" (nr 6) Andrzej Grot. Nie zgadza on się z wicepremierem Leszkiem Balcerowiczem, że jedyną drogą ratowania naszej gospodarki jest przemodelowanie jej w system kapitalistyczny. Pisze między innymi:

„Nie zmieniwszy ludzkiej mentalności nie osiągnie się nawet tak szczytnego celu, jakim w marzeniach Balcerowicza jest neokapitalistyczna Polska. Chyba że będzie to model kapitalizmu XIX-wiecznego łącznie z przymusową pracą nieletnich. Być może, że dawny minister przemysłu noszący symboliczne nazwisko Wilczek, czy — jak wielu sądzi najbogatszy człowiek w Polsce i specjalista w udzielaniu dobrych rad prezesowi PKO — pan Grobelny poprą restaurację kapitalizmu. Na przyjęcie kapitalizmu zapewne gotowi też są i ludzie z dawnej (?) partyjnej nomenklatury zarządzający teraz już zreprywatyzowanymi przedsiębiorstwami, ale reszta?..."

Andrzej Grot proponuje odbudowę etosu pracy poprzez uspołecznienie majątku narodowego, a nie wyprzedaż prowadzącą do kapitalizmu. Możliwe są dwa rozwiązania: akcjonariat pracowniczy lub przedsiębiorstwo społeczne.

„Rozwiązanie drugie wydaje się być rozwiązaniem bardziej elastycznym, a nade wszystko rozwiązaniem zgodnym z ideą socjalizmu. Nie blokuje też rozwoju gospodarki wolnorynkowej. Pozwala nadto operować znacznym kapitałem, który skuteczniej niż strajk może być wykorzystany jako argument racji".

W przedsiębiorstwie społecznym kontrolnym pakietem akcji dysponowałaby z upoważnienia załogi Rada Pracownicza, która stałaby się Radą Nadzorczą wybieraną drogą autentycznych wyborów. Rada ustalałaby politykę ekonomiczną zakładu, decydowała o przeznaczeniu zysku i rozdzielała dywidendy. Pracownik zwalniający się z przedsiębiorstwa otrzymywałby pełną wypłatę dywidend z jego akcji, zaś sama akcja przechodziłaby na nowego pracownika. W ten sposób majątek nie opuszczałby zakładu i nie zmieniał właściciela.

„Propozycja ta, sądzę, jest najbardziej uczciwym działaniem w ramach ogólnej reprywatyzacji majątku narodowego. Gwarantuje załogom upodmiotowienie, a przez upodmiotowienie rodzi motywację do pracy „na swoim". Mając takie przedsiębiorstwa obok innych prywatnych, lecz tworzonych od podstaw, damy sobie radę i nikt nikogo w tej reformie nie okradnie. Pytanie tylko, czy zachodni kapitaliści będą chcieli zainwestować w coś, co na pewno nie stanie się ich własnością. Ale myślę, że z tym problemem już sobie nasz rząd poradzi".

Ten sam tygodnik szczeciński drukuje uchwałę Regionalnej Komisji Organizacyjnej do spraw opracowania i wdrożenia programu NSZZ „Solidarność" Regionu Śląsko-Dąbrowskiego. Apel premiera Tadeusza Mazowieckiego w sprawie pracy górników w wolne soboty uznano w niej za jaskrawe pogwałcenie praw pracowniczych wywalczonych przez Związek w 1980 roku. W wolne soboty powinno się zabezpieczać ściany i przygotowywać do wydobycia, aby podczas fedrowania nie ginęli ludzie.

„Zmuszanie więc do wydobycia w soboty i niedziele nie jest humanitarne, by nie nazwać tego ludobójstwem. A wszystko to proponuje podobno „solidarnościowy" premier. Jeżeli nie dokona się poważnych reorganizacji pracy w górnictwie, będziemy mieli to, co mamy. W związku z powyższym RKO podtrzymuje swoje stanowisko wyrażone w pierwszej uchwale o odmowie wykonywania pracy (wydobycie w wolne soboty), apelując zarazem do załóg górniczych, by w dbałości o interesy swoje i górnictwa odmawiały pracy w dni wolne zmuszając rząd T. Mazowieckiego do uczciwego i troskliwego rozstrzygnięcia tego problemu".

Regionalna Komisja Organizacyjna NSZZ „Solidarność" Regionu Śląsko-Dąbrowskiego stwierdza w uchwale, że rząd Tadeusza Mazowieckiego uchodzi mylnie za solidarnościowy. Apel premiera do górników Komisja kojarzy ze strajkami w kopalniach Workuty i wyraża przypuszczenie, że polski węgiel potrzebny jest Związkowi Radzieckiemu.

GDZIE JEST PRAWDZIWA „SOLIDARNOŚĆ"?

Pod tym tytułem organ NSZZ „Solidarność" Pomorza Zachodniego przedrukowuje z „Ilustrowanego Magazynu Polskiego" ukazującego się w Chicago rozmowę Andrzeja Heyduka ze współzałożycielką NSZZ „Solidarność" Anną Walentynowicz. Zarzuca ona Lechowi Wałęsie, że od samego początku był przeciwny wolnym związkom zawodowym i działał tak, by zapobiec powstaniu „Solidarności". Mówi między innymi:

„Ja z pełną odpowiedzialnością za własne słowa stwierdzam, że Wałęsa był — moim zdaniem — człowiekiem przygotowanym przez władze na taką właśnie ewentualność, jaka zaistniała w 1980 roku. Miał za zadanie rozproszyć siły, zmierzające do założenia niezależnych związków zawodowych. Strajk miał być może stać się mechanizmem usunięcia ekipy Gierka, ale zapewne nikt nie przewidywał, że rozrośnie się on do takich rozmiarów. (...)

Chciałabym jednak powiedzieć jasno, że Wałęsa nie jest zdrajcą. On nie zdradził związku, ponieważ tak naprawdę nigdy w nim nie był, działał niejako poza nim i w innych celach. Dziś zbiera tego owoce. A działanie jego grupy daje wiele do myślenia".

Lech Wałęsa — zdaniem Anny Walentynowicz — nie skorzystał z możliwości legalnego działania NSZZ „Solidarność" już od 1986 roku, ponieważ chciał najpierw podporządkować Związek władzy. Obecnie nazwa „Solidarność" stanowi dekorację reżimu. Jest to nowa organizacja, która ma nowy statut, i jest czymś zupełnie innym niż ta z 1980 roku. Podpis pod nowym statutem złożył m.in. Andrzej Celiński, którego niegdyś wyrzucono z prezydium gdańskiego. W ostatnich wyborach zgodziły się kandydować i dostały się do władz osoby, które nie miały szans podczas I Zjazdu „Solidarności".

„Kto to są tacy ludzie, jak Stelmachowski, Wielowieyski, Kuratowska? Gdzie byli w 1980 roku? Dziś wy na Zachodzie im właśnie dajecie pieniądze. A pani Kuratowska, na przykład, pracowała w służbie medycznej ministerstwa spraw wewnętrznych. Ci ludzie upajają się dziś władzą, która jest przepustką do dobrego urządzenia się".

Anna Walentynowicz jest przekonana, że Sejm nie wytrwa do końca kadencji. Jej zdaniem osobą, która zasługuje na stanowisko premiera, jest Jadwiga Staniszkis.

„W 1980 roku Mazowiecki nawet jej nie dopuścił do grupy doradców. Niestety wielu innych mądrych ludzi podporządkowano sobie przez nadanie im odpowiednich stanowisk. Na przykład Frasyniuka, którego autorytet zaczął na tyle się rozwijać, że zagrażało to Wałęsie. Pośrednio zapytałam Frasyniuka, czego się można spodziewać po obradach „okrągłego stołu". Odpowiedział, że absolutnie niczego. Jest to właśnie człowiek, który został podporządkowany i działa wbrew własnym przekonaniom".

Anna Walentynowicz powiedziała dziennikarzowi „Ilustrowanego Magazynu Polskiego", że obecnie działa w tzw. Grupie Roboczej „Solidarności", w której również jest Andrzej Gwiazda. Ten ostatni, nie został odsunięty do stanu wojennego przez Lecha Wałęsę, bo mniej mu zagrażał i był trudniejszy do usunięcia niż ona.

E. L.

Zdarzyło się w Łodzi...

◀ Jubileusz 30-lecia istnienia obchodziło Towarzystwo Przyjaciół Łodzi, na czele którego stoi były I sekretarz KŁ PZPR Józef Niewiadomski.

◀ Wydawnictwo Łódzkie przygotowuje Encyklopedię Łodzi. Prace redakcyjne są już na ukończeniu. Trwa dokonywanie korekt oraz wprowadzanie uzupełnień i zmian do poszczególnych haseł, których będzie 433.

◀ Po 50-letniej przerwie wznowiło w Łodzi działalność Stronnictwo Narodowe. Na czele nowego zarządu Okręgu Łódzkiego SN stanął Jerzy Sasin.

◀ Nowym szefem łódzkiego ośrodka TV został red. Marek Markiewicz — od 13.XII.1981 członek władz regionalnych „Solidarności" i dziennikarz telewizyjny, potem odsunięty od pracy dziennikarskiej, prawnik, obecnie związany z Zarządem Regionalnym NSZZ „Solidarność", kierowanym przez A. Słowika.

Funkcję jego zastępcy objął red. Konrad Turowski — przed grudniem 1981 roku reporter „Dziennika Łódzkiego", obecnie korespondent „Kuriera Polskiego", założyciel „Forum Dziennikarzy", działacz „Solidarności".

◀ W Łodzi przebywał I sekretarz KC PZPR, Mieczysław F. Rakowski, który formalnie jest członkiem zakładowej organizacji PZPR w Zakładach Przemysłu Pończoszniczego „Feniks". Na zebraniu tejże organizacji M. F. R. wybrano kandydatem na XI Zjazd PZPR. Spotkał się on także z prezydentem Łodzi — Waldemarem Bohdanowiczem.

◀ Łódź i Dłutów (swą rodzinną parafię) odwiedził nuncjusz papieski w Republice Wybrzeża Kości Słoniowej — arcybiskup Janusz Bolonek. Jego pobyt związany był z obchodami 70 rocznicy powstania diecezji łódzkiej.

◀ Proponuje się, by łódzką Straż Miejską, która zajmuje się m.in. ochroną mienia państwowego, przekształcić w Miejską Policję.

◀ W miejsce Wojewódzkiego Komitetu Narodowego Czynu Pomocy Szkole powołano Łódzkie Stowarzyszenie Narodowego Czynu Pomocy Szkole, które kontynuować ma działalność komitetu.

◀ Były rektor Politechniki Łódzkiej — prof. dr Jerzy Kroh uhonorowany został wysokim japońskim odznaczeniem państwowym — Złotą i Srebrną Gwiazdą Orderu Świętego Skarbu, przyznanym mu przez cesarza Akihito. Łódzki uczony odznaczenie to otrzymał za szczególne zasługi w organizowaniu specjalistycznego ośrodka badawczego chemii radiacyjnej w Japonii

◀ Być może poprawi się stan środowiska naturalnego w wojewódzkie łódzkim. W ubiegłym tygodniu przedstawiciele austriackiej firmy „Roth" złożyli propozycję wybudowania w Łodzi przemysłowej oczyszczalni ścieków oraz sortowni i kompostowni śmieci. Planowane jest powołanie w tym celu spółki typu joint-ventures.

◀ W 1989 roku łódzcy budowlani mieli oddać do użytku 4 tys. nowych mieszkań. Dotychczasowe tempo prac na placach budów oraz sytuacja finansowa przedsiębiorstw budowlanych pozwalają mieć nadzieję na co najwyżej 3 tys. mieszkań. I to też — jak dobrze pójdzie.

◀ Spłonął pawilon handlowy „Chemii" przy ulicy Romualda Traugutta. Ofiar w ludziach nie było, za to z dymem poszły towary rynkowe o wartości 420 mln złotych i 180 tys. marek zachodnioniemieckich. Nie wyklucza się, iż pawilon został świadomie podpalony.

◀ W związku z podwyżką cen paliw płynnych zarząd Zrzeszenia Transportu Prywatnego w Łodzi wprowadził nowe stawki opłat za przejazd taksówkami: osobowymi — wskazanie taksometra razy 60, zaś bagażowymi — razy 120.

◀ Znów podrożało wiele artykułów spożywczych, w tym również: mleko chude (do 210 zł za litr), twaróg chudy (do 1000 zł za kg), pieczywo i jaja.

P. T.

W najbliższych numerach „Odgłosów"

— Rankiem, gdy nad zielenią Ośrodka wisiały jeszcze mgły, a ochroniarzom na wieżyczkach kleiły się oczy po nocy czuwania przy podczerwieni, Major odebrał meldunek specjalny dla Naczelnego. Nadano go wcześniej niż zwykle. Zawierał powściągliwą informację o wstępnych niepokojach w dwóch stoczniach i jednej dużej kopalni węgla kamiennego, o zbieraniu podpisów wśród personelu służby zdrowia pod listem otwartym do Naczelnego oraz posiedzeniu Rady Podziemia, gdzie doszło do awantury na tle wzajemnych posądzeń, że coś się szykuje bez wiedzy reszty — kolejny odcinek nowej powieści ALEKSANDRA MINKOWSKIEGO pt. „Sekrety prominentów".

— Czy wprowadzenie stanu wojennego było uzasadnione rozwojem sytuacji wewnętrznej i międzynarodowej? Jak społeczeństwo zareagowało na stan wojenny? — w dyskusji redakcyjnej o tych sprawach wypowiadają się: JACEK DĘBSKI, JERZY KROPIWNICKI, HENRYK RAFALSKI, ANDRZEJ SŁOWIK oraz ANDRZEJ GĘBAROWSKI, EDMUND LEWANDOWSKI i LUCJUSZ WŁODKOWSKI.

— Rozwój wydarzeń zaskoczył większość członków partii. Jeszcze usiłowano coś tam robić (próba formowania rządu Czesława Kiszczaka), lecz się nie udało. Ale gdyby nawet ten manewr się powiódł, to i tak byłyby protesty, strajki, niezadowolenie. Taki rząd zostałby bardzo szybki zmieciony. A partia? Należy rozpocząć nowy rozdział, walczyć zdecydowanie o odzyskanie zaufania, o zdobywanie serc i umysłów dla partii — mówił MIECZYSŁAW F. RAKOWSKI na spotkaniu w ZPP „Feniks".

— Polacy nie lubią Łodzi. W tym kraju, w którym władzę nad umysłami dzieli Pan Bóg i diabeł niemal w idealnej równowadze, niektórzy nazywają tę przemysłową metropolię „miastem zła". Bardziej obiektywna nazwa to „polski Manchester". Jest to słuszne porównanie — pisze MARIE FRANCE CALLE.

— Stan kultury jest zły w całej Polsce, ale w Łodzi jest to szczególnie wyraziste. Szkoda, że Paweł Nowicki, były dyrektor Teatru Studyjnego nie doczekał się nagrody „Odgłosów". Jest to charakterystyczny przykład jak szlachetna donkiszoteria może skończyć się niesmakiem — mówi GRZEGORZ GAZDA.

— Lekarz zaczął omdlewać. Zrezygnował z oporu. Napastnik zwolnił ucisk. Doktor z szuflady biurka wyjął paczkę banknotów. Dwa z nich usiłował zgubić, wrzucając pod biurko. W tym momencie poczuł silne uderzenie w tył głowy — reportaż MARKA NIEDZWIECKIEGO.

— Skończył się czas anonimowości. Teraz przed sądem stanie człowiek odpowiedzialny za działalność przedsiębiorstwa — reportaż EUGENIUSZA IWANICKIEGO pt. „Ścieki w kranie".

ze str. 1

emocjonalne i ten sam, a w każdym razie, podobny, radykalny program, wychodzący z założenia, że w stosunkach z władzą, która była wówczas niezwykle represyjna, należy przede wszystkim demonstrować siłę i wolę oporu.

— Mówiliśmy do tej pory o grupach, wywodzących się z „Solidarności", zmierzających szybko od ruchu związkowego w stronę polityki. Wiadomo jednak, że również w głównym, związkowym nurcie NSZZ „Solidarność" doszło do dramatycznych podziałów Gdzie przebiega główna linia sporu?

— Główna linia podziału w ruchu związkowym dotyczy odmiennego spojrzenia na to, co się stało 8 października 1982 roku. a zatem na to, czy „Solidarność" istnieje nieprzerwanie od sierpnia 1980 roku, czy też jej ciągłość została przerwana. W nurcie, którego instytucją naczelną jest obecnie Krajowa Komisja Wykonawcza, a władzami terenowymi są Regionalne Komisje Organizacyjne, przeważył pogląd, że należy ponownie wystąpić do sądu i rozpocząć od nowa procedurę założycielską związku. Było to równoznaczne z przyznaniem, że ciągłość instytucjonalna „Solidarności" od sierpnia 1980 r. nie istnieje. Jeśli nawet nie nastąpiło to w formie wyraźnej deklaracji, objawiło się aż nadto wyraźnie w praktyce. Liderzy tego nurtu uznali więc, że mają prawo do zmiany statutu, choć przecież został on demokratycznie przyjęty w jedynych naprawdę wolnych wyborach w powojennej Polsce. Takie stanowisko znalazło swój wyraz w aneksie dołączonym do statutu zmieniającym w praktyce jego ważne postanowienia. Sporządzono również nową listę założycieli inną niż ta, która była w 1980 roku. O ile władze „przedwojennej" „Solidarności" wybrane zostały na zjeździe, o tyle nowe władze nurtu KKW pochodzą z nominacji Lecha Wałęsy. W ten sposób ci, którzy uszanowali wolę wyborców i nie złożyli swych mandatów (nie mając ku temu najmniejszego powodu — przecież mandat Wałęsy również pochodzi z tych samych wyborów!), a poza tym uważają, że „Solidarność" została zdelegalizowana bezprawnie, zatem nieprzerwanie od sierpnia istnieje — znaleźli się w innym nurcie, związanym z Grupą Roboczą Komisji Krajowej.

— Proszę o bliższą charakterystykę stanowiska Grupy Roboczej

— Skupia ona kilkunastu wybranych w 1981 roku działaczy Komisji Krajowej, a ponadto jeszcze kilkunastu przedstawicieli struktur związkowych, powstałych w okresie stanu wojennego. Grupa ta głosi, że wszelkie akty władz PRL mające na celu likwidację NSZZ Solidarność" były sprzeczne z prawami naturalnymi człowieka i prawem międzynarodowym. Zatem antyzwiązkowe akty prawne podjęte pod osłoną stanu wojennego były przez Grupę Roboczą uważane za nieważne i bezskuteczne. Nasze stanowisko zostało w całej pełni potwierdzone przez międzynarodowy ruch związkowy. Jesienią 1986 roku, a więc w okresie, gdy „Solidarność" rzekomo w sensie prawnym nie istniała, została — w wyniku starań m. in. Andrzeja Słowika — afiliowana przy dwóch największych centralach związkowych Światowej Konfederacji Pracy i Międzynarodowej Konfederacji Wolnych Związków Zawodowych.

— Czy podział wewnątrz związku jest dychotomiczny, czy też obok dwóch głównych nurtów „Solidarności", wyróżnić można jeszcze inne, mniejsze?

— Są jeszcze inne. Andrzej Gwiazda, który zawiesił swoje uczestnictwo w Grupie Roboczej prowadzi obecnie samodzielną działalność na Wybrzeżu. Powody tej decyzji były następujące: uważa on, iż Grupa Robocza prowadzi zbyt miękką politykę, zwłaszcza w dwóch punktach: uznaje ona nadal Lecha Wałęsę za przewodniczącego Związku oraz — przy całym krytycyźmie odnośnie niepełnej reprezentatywności „okrągłego stołu" i jego zróżnicowanych następstw — w zasadzie jest za ewolucyjnym procesem przeobrażeń. To właśnie nie podoba się Andrzejowi Gwieździe, który ponadto — trzeba dodać — wycofał się z Porozumienia na Rzecz Demokratycznych i Wspólnych Wyborów w NSZZ „Solidarność", zwanego w skrócie Porozumieniem Szczecińskim. Jego zdaniem, nie może być już mowy o wspólnych wyborach, gdyż działają dwie odrębne „Solidarności", które może połączyć jedynie kongres zjednoczeniowy.

— Jak się ma Porozumienie do Grupy Roboczej? Czy ich skład personalny jest taki sam?

— Są to zupełnie różne gremia. Inicjatywa Porozumienia zrodziła się w Łodzi, tu ułożono i podpisano apel o jego utworzenie; w Szczecinie odbyły się natomiast trzy pierwsze posiedzenia i funkcjonuje stały sekretariat, z Marianem Jurczykiem jako przewodniczącym. Obok członków Grupy Roboczej, w Porozumieniu uczestniczą struktury i działacze z innych struktur związkowych, którzy pragną utworzyć siłę nacisku, zdolną pokonać różnice instytucjonalne, bo przecież nie ideowe — te pozostaną nadal w „Solidarności", o ile będzie ona — w zgodzie ze swoją tradycją — pluralistyczna.

— Czy wszyscy w Porozumieniu widzą w Lechu Wałęsie przewodniczącego związku?

— Trzeba powiedzieć, że w ramach Porozumienia istnieją silne tendencje, aby powołać alternatywne kierownictwo związku „Solidarność". Kilkakrotnie dawały one znać o sobie, a najsilniej dwa miesiące temu, gdy przegłosowano uchwałę (potem cofniętą) o takiej konieczności. W następstwie tego zdarzenia Andrzej Słowik, który zawsze uznawał Lecha Wałęsę za przewodniczącego związku oraz pragnie przywrócenia wielkiego wspólnego związku, zawiesił swe uczestnictwo w pracach sekretariatu Porozumienia — do wyjaśnienia sytuacji.

— Wracając do zasadniczych sporów w „Solidarności: jak one się przedstawiają w poszczególnych ośrodkach? Gdzie jest najostrzejszy konflikt?

— W Gdańsku. Nasilenie sporów jest tam największe, doprawdy trudno się zorientować czy są jakieś szanse na ich złagodzenie. W żadnym innym mieście nie było dotąd manifestacji pod hasłem „Precz z Wałęsą". W Gdańsku są one od pewnego czasu normalne. Andrzej Gwiazda pełni w nich zazwyczaj rolę kontrsymbolu w stosunku do Lecha Wałęsy. Na drugim miejscu pod względem natężenia sporów jest z pewnością Warszawa, gdzie członkowie MRKS zostali wyeliminowani przez grupę Z. Bujaka i zajmują ostro krytyczne stanowisko wobec tego co nazywają „neosolidarnością 89". Ważną rolę w Warszawie odgrywa wybitny działacz, Seweryn Jaworski krytyczny wobec J Kuronia i Z. Bujaka. Również na Górnym Śląsku tworzą się struktury odrzucające rejestrację ż 1989. Następny w kolejności jest — sądzę — Wrocław. Istnieją we Wrocławiu trzy orientacje: RKW pod przywództwem Władysława Frasyniuka, podziemny Regionalny Komitet Strajkowy, oraz grupa związana z Eugeniuszem Szumiejko. Po Wrocławiu należy wymienić trzy ośrodki, gdzie podział jest dwubiegunowy: Szczecin, Bydgoszcz i Łódź. W Szczecinie doszło do najbardziej dramatycznego podziału, bo przeprowadzane są podwójne równoległe wybory na szczeblu przedsiębiorstw. Są więc zakłady, w których funkcjonują dwie komisje zakładowe NSZZ „Solidarność"! W Bydgoszczy natomiast sytuacja jest trudna do zdefiniowania: obie z głównych grup, jedna pod przywództwem p. Tokarczuka, druga — Jana Rulewskiego, deklarują respekt wobec autorytetu KKW, konkurując ze sobą o uznanie za strukturę regionalną. Nieudany eksperyment zjednoczeniowy z wiosny tego roku zrodził dużą nieufność. Na tym tle Łódź wygląda trochę jak sielanka.

— Właśnie, dlaczego wymienił pan Łódź na ostatnim miejscu?

— W Łodzi, podobnie jak we Wrocławiu doszło do utworzenia wspólnej komisji wyborczej. Jest zatem szansa na ponowne zjednoczenie. W obu tych miastach struktury akcentujące związkowy charakter „Solidarności" i wierność ideałom sierpnia 1980 r. wierzą, że II Zjazd Krajowy przywróci jedność, pluralizm i demokrację w Związku. Silny nacisk na wspólne wybory wywierają organizacje zakładowe.

— Wierzy pan w taką możliwość? Czyż to, że działacze najbliżsi Wałęsie znaleźli się dziś w kręgu władzy, a inni, spoza „drużyny Lecha"„ zostali poza tym kręgiem — nie pogłębiło wzajemnej nieufności?

— Dla osób związanych z Grupą Roboczą jest to w sumie najmniejsze zmartwienie. Rozumujemy inaczej, niż działacze KKW i RKO. Nie zazdrościmy nikomu władzy politycznej, gdyż uważamy, iż związek zawodowy w każdej sferze życia społecznego jest zastępowalny — z wyjątkiem reprezentowania interesów pracowniczych. Jeśli za bardzo angażuje się w politykę, dzieje się to ze szkodą dla pracy związkowej na „dole". To się zawsze mści, prędzej czy później.

— Jednak odnalezienie się części elity „Solidarności" w kręgu władzy politycznej przyśpieszyć powinno różnicowanie się ruchu na część „czysto" związkową, i na partie polityczne. Zjednoczenie na płaszczyźnie związkowej może być wtedy łatwiejsze...

— Mówi pan o tym, z czym mamy do czynienia obecnie. Jest to jednak proces dość powolny, a przedtem, w ciągu kilku lat, starano się kształtować proces raczej odwrotny: przewidywano zanik związkowego etosu „Solidarności", sterowano w stronę jej przekształcenia w ruch wyłącznie polityczny. Takie są fakty, choć obecnie, po fali strajków, zaprzecza im się. Ruch związkowy może być pluralistyczny, partia — nie. Postępowano zgodnie z tą zasadą, eliminując działaczy i doradców inaczej widzących przyszłość. Jak wiadomo, Lech Wałęsa korzystał początkowo z trzech grup doradców. Pierwszą tworzyli członkowie KSS KOR, o sympatiach wyraźnie lewicowych. Drugą — osoby skupione wokół profesora Bronisława Geremka, związane w przeszłości z seminarium warszawskim „Doświadczenie i Przyszłość", o orientacji — w większości — socjaldemokratycznej lub chrześcijańskiej, lecz o zabarwieniu także lewicowym. W wyniku porozumienia tych kręgów, doszło do kompromisu, wyeliminowano stopniowo trzecią grupę doradców, związaną z Prymasem. Tworzyli ją m. in. mec. Władysław Siła-Nowicki, prof. Wiesław Chrzanowski, prof. Romuald Kukołowicz oraz Antoni Macierewicz. Ostatnim, który odgrywał jeszcze niedawno pewną rolę w „Solidarności", był mec. Siła-Nowicki, odsunięty — jak pamiętamy — na przełomie 1988/89, praktycznie w czasie obrad „okrągłego stołu". Innych z tej grupy odsunięto od wpływów wcześniej — przed 1986 rokiem. Reasumując: do 1982 roku związek mógł być uważany za w pełni pluralistyczny, bowiem układy eksperckie znajdowały rezonans w środowiskach członkowskich o różnej orientacji ideowej. Potem z tym skończono; Tymczasową Radę „Solidarności" skonstruowano na przykład w ten sposób, aby nikt spoza kręgu, na który oddziaływała jedna lub druga zwycięska orientacja, nie mógł wejść w jej skład. Było to konieczne dla pozbawienia wpływów tych działaczy którzy w tym czasie domagali się publicznego rozpoczęcia działalności Komisji Krajowej, przywrócenia pluralizmu i procedur demokratycznych i zabiegali o utrzymanie związkowego charakteru „Solidarności".

— Kto stanowił siłę eliminującą doradców z kręgu Prymasa?

— Mogę odpowiedzieć, kto był zainteresowany w przekształceniu związku zawodowego w partię polityczną, bo do tego się to pytanie sprowadza. Zamiary takie wyartykułowane zostały jesienią 1987 roku w dwóch publikacjach: w wywiadzie Andrzeja Celińskiego dla „Newsweeka" i w broszurce Jacka Kuronia pt. „Krajobraz po bitwie". Zwłaszcza Jacek Kuroń dobitnie przedstawił swoje tezy: „Solidarność" jest zastępowalna nawet w płaszczyźnie związkowej, zaś obecne związki OPZZ bardziej przypominają swym zachowaniem dawną „Solidarność", niż związki branżowe. Wprawdzie nie są przez załogi akceptowane, ale będzie to oznaczać, że powstanie w zakładzie drugi, trzeci i następne związki zawodowe. „Solidarność" — zdaniem J. Kuronia — będzie się przekształcać w ruch społeczno-polityczny, a w perspektywie — w partię. Oczywiście, przy tego rodzaju zamyśle, nie dla wszystkich mogło się znaleźć w „Solidarności" miejsce. W najbliższym, decydenckim otoczeniu Lecha Wałęsy przewagę uzyskały elementy socjalizujące, socjaldemokratyczne. Tylko, ponieważ socjalizm nie jest w społeczeństwie popularny, wszyscy wolą się powoływać na społeczną naukę Kościoła, nawet Jacek Kuroń i Adam Michnik. Dopiero analiza języka dokumentów programowych pozwala te wypowiedzi weryfikować.

— Majowe strajki dowiodły, że idea „Solidarności" jako związku wciąż jest w załogach żywa Dlaczego ewolucja, polegająca na rozdziale polityki od nurtu związkowego, jest tak powolna? Dlaczego nie przyśpiesza się jej określonymi decyzjami? Zachodzi przecież obawa, że „Solidarność", nie dokonawszy tego rozdziału, stanie się „pasem transmisyjnym" strategii rządu do mas — jak dawniej bywało...

— Rzeczywiście, istnieje problem wiarygodności „S" jako związku zawodowego. Przeświadczenie, że „S" staje się momentami „przekładnią" decyzji władz państwowych czy OKP, powoduje wśród działaczy związkowych rozdarcie i frustracje. Ludzie wypisują się wprawdzie nadal z OPZZ, ale nie przystępują do „S", czekają. Były nawet jednostkowe przypadki rezygnacji z członkostwa. Wrześniowe akcje protestacyjne odbywały się bez symboliki związkowej, zaś komitety strajkowe tworzone były poza strukturami „S" Moim zdaniem, jest to ostatni dzwonek alarmowy.

Pyta pan o powolność ewolucji.. Jej przyspieszenie nie jest łatwe, gdy na czele stoi człowiek, który kieruje i związkiem, i przewodniczy Komitetowi Obywatelskiemu, i jest również jakby patronem OKP, a w KKW zasiadają posłowie i senatorzy. Problem komplikuje się także przez to, iż „drużyna Lecha" dobierana była na zasadzie personalnej (i to najczęściej negatywnej, eliminacyjnej), a nie programowej — jeśli nie liczyć tych kierunków, które z góry uznano za nieodpowiednie. Zgodnie z tą zasadą, np. Andrzej Machalski, członek Unii Polityki Realnej — był dobry, lecz Janusz Korwin-Mikke, przewodniczący UPR — już nie. W tak utworzonej drużynie znaleźli się więc różni ludzie, pluralizm okazał się większy, niż zakładano W efekcie, przy rozdrobnieniu opcji ideowych w „drużynie" i groźbie jej rozpadu sprawy Związku w otoczeniu Wałęsy schodzą na plan dalszy. Wszystko jest więc nadal zmieszane — ze szkodą dla związkowego charakteru „Solidarności".

— Powtórzę więc pytanie: czy dojdzie do zjednoczenia na płaszczyźnie związkowej?

— Wierzę, iż to nastąpi, aczkolwiek jestem optymistą mniejszym, niż byłem miesiąc temu. Impulsy ku zjednoczeniu działają zbyt powoli, a czas ucieka. W niektórych ośrodkach np. w Szczecinie jest już chyba za późno na wspólne wybory. Tam może się skończyć ostatecznym rozbiciem, podobnie jak w Gdańsku i Warszawie. Zwłaszcza, skoro A. Milczanowski (pochodzący z nominacji L. Wałęsy przewodniczący MKO w Szczecinie) deklaruje publicznie, że wspólnych z M. Jurczykiem wyborów nie chce. To duże wyzwanie dla Lecha, który do tej sytuacji się przyczynił, nominując Milczanowskiego. Czy teraz dopuści do tego, by współzałożyciel Związku, sygnatariusz Porozumień Szczecińskich znalazł się w ten sposób w innej „Solidarności" niż on sam?

— Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiał:
ANDRZEJ GĘBAROWSKI

Nie zazdrościmy nikomu władzy

Z tej ziemi

Obawy i zagrożenia

04.12.1989.

1.

Kto mógł przypuszczać, że właśnie w NRD rozwój wypadków politycznych dokona się w takim tempie. Zakładano, że zmiany muszą i tam się dokonać, ale nie tak gwałtownie. To przecież żona ówczesnego szefa partii twierdziła, że młodzież NRD bronić będzie socjalizmu... z bronią w ręku. Tymczasem ta młodzież obaliła słynny mur berliński, a przedtem tłumnie uciekała do RFN przez Polskę i Czechosłowację. Pomylili się więc wszyscy, którzy starali się przewidywać przyszłość, co wcale nie znaczy, że przyszłości nie powinno się przewidywać.

Zjednoczenie Niemiec, do którego naród niemiecki ma bezsprzeczne prawo, wisiało nad podzieloną Europą od lat i można było przypuszczać, że któregoś dnia stanie na porządku obrad. I stało się. Kanclerz Kohl, choć nie wziął udziału w rozmowach George'a Busha i Michaiła Gorbaczowa na Malcie, to sprawę zjednoczenia Niemiec wpisał im do porządku obrad. Niemcy zajmują w Europie pozycję kluczową i nie można mówić o przyszłości Europy bez brania pod uwagę przyszłości Niemiec.

Zjednoczenie Niemiec i niemiecki rewizjonizm, odrodzenie się niemieckiego parcia na Wschód, a więc przede wszystkim na ziemie polskie, było przez lata całe tematem, który budził niepokój, rodził obawy i stan zagrożenia. Wiadomo było, że coś takiego istnieje, pisano o tym i mówiono, ale nikt tego nie brał poważnie pod uwagę. Dla młodych Niemcy jawiły się krainą wszelkiej szczęśliwości, dla starych był to temat jątrzący nie zawsze zabliźnione rany. Lepiej było udawać, że coś takiego jest, ale próbujemy o tym zapomnieć. I oto nie można już myśleć o przyszłości Polski, nie myśląc jednocześnie o przyszłości Niemiec. Trwałość naszej granicy zachodniej zależy od stosunku do niej zjednoczonych Niemiec. Przy okazji runęła fałszywa teoria, że *„źli Niemcy"* mieszkają w RFN, a *„dobrzy Niemcy"* w NRD.

Zmiany w NRD zaskoczyły Europę. Zmiany w NRD stawiają bowiem na porządku dnia sprawę zjednoczenia Niemiec. Europa, choć zdawała sobie sprawę z tego, że kiedyś musi dojść do zjednoczenia Niemiec, okazała się zupełnie nie przygotowana do rozwiązania tego problemu w taki sposób, aby stało się to z korzyścią dla Niemców i reszty Europy Teraz zupełnie innego wymiaru nabiera sojusz Polski z ZSRR, gdyż — jak do tej pory — Związek Radziecki jest gwarantem naszych zachodnich granic. Wielką bezmyślność polityczną okazują ci, którzy próbują skłócić Polaków z narodami ZSRR. A może to nie głupota? Może są ludzie takim skłóceniem nadzwyczaj zainteresowani?

2.

Każda formacja polityczna, każda siła, każdy układ sił musi opierać się na jakichś tradycjach, do czegoś nawiązywać. na czymś budować swój program, coś zwalczać. Jan Szczepański w „Tygodniku Kulturalnym" zastanawia się, do jakich tradycji może nawiązywać polski parlamentaryzm roku 1989 i lat następnych? Jak powinno nam być wiadomo z najnowszej historii Polski rozkwit parlamentaryzmu mieliśmy w latach 1919—1926, kiedy to w Sejmie zasiadali przedstawiciele 20 partii Potem Józef Piłsudski ruszył z Sulejówka na Warszawę i skończyły się burzliwe dzieje parlamentaryzmu. Liderzy niektórych grup politycznych skłonni są jednak bardziej nawiązywać do polskich tradycji z lat trzydziestych niż sprzed 1926 roku. Jest to zresztą naturalne o tyle, o ile żyją jeszcze ludzie, którzy lata trzydzieste pamiętają, bo w tych latach zaczynali swoje dorosłe życie. Reszta jest już tylko historią.

Słusznie więc Jan Szczepański uważa, że przez długi jeszcze czas siłą motoryczną obecnej — tworzącej się — demokracji będzie *„postawa antysocjalistyczna, podtrzymywana ujawnianiem ciemnych stron dyktatury proletariatu i kultu jednostki, opozycja wobec stalinizmu i planowej polityki gospodarczej prowadzącej do kryzysu, wydobywanie z mroku historii spraw oficerów polskich w ZSRR, Katyniu i innych miejscowościach, przypominanie ofiar terroru z okresu stalinizmu w Polsce, czyli wskazywanie tych zjawisk, które demokracja eliminuje zdecydowanie"*. Jest to zatem tradycja negacji, bo nie jest to *„tradycja konstruująca i pokazująca przykłady pozytywnych rozwiązań dla wyłaniających się problemów politycznych, społecznych i gospodarczych"*. Trudno się z tymi uwagami nie zgodzić.

Jestem również zdania, że trzeba się zdecydowanie odciąć od wszelkich złych i zbrodniczych zjawisk epoki stalinizmu, trzeba stworzyć trwałą zaporę przeciw odradzaniu się zła w jakiejkolwiek formie. Ale trzeba jednocześnie rozumieć, że tradycja negacji niesie z sobą społeczne zagrożenia. Każdy pomnik można bowiem łatwo obalić, każdy grób zbezcześcić, każdego człowieka zohydzić, każdą wartość podważyć. Znacznie trudniej jest nawiązywać do tradyeji tolerancji, wzajemnego poszanowania ludzi, ich poglądów i różnych symboli. *„Tradycji nie tworzy się na zawołania"* — słusznie pisze Jan Szczepański. Istnieje ona w *„społecznej podświadomości"*, ale na tę podświadomość można i trzeba oddziaływać. Dla utrwalania istotnych wartości, dla przeciwstawiania się wszelkiemu złu.

3.

„Forum" przedrukowało z „L'Espresso" artykuł Giorgia Pocca „Dezinformacja". Włoski autor pisze między innymi:

„Dezinformacja, fałszywa choć prawdopodobna wiadomość, nie jest już radziecką domeną, specjalnością bizantyjskiego komunizmu, ale powszechną praktyką, normalnym instrumentem polityki zagranicznej państw, narzędziem walki wielkich lobbies gospodarczych, propagandy wyborczej. Nie jest to współczesny wynalazek, pragnienie wprowadzenia w błąd, manipulowanie opinią publiczną jest stare jak świat, ale nowy jest fakt rozprzestrzeniania się dezinformacji i wymykania się jej spod kontroli. Dezinformacja może żerować na autentycznych zbiorowych lękach..."

I przypomina dwa przykłady: aferę z bezpodstawnym oskarżeniem Kurta Waldheima, że był odpowiedzialny za zbrodnie dokonane przez Wehrmacht na jeńcach włoskich, greckich Żydach i jugosłowiańskich partyzantach. Giorgio Bocca przypomina, że CIA, KGB i wywiad jugosłowiański mieli dużo czasu, aby wszystko sprawdzić zanim Kurt Waldheim został sekretarzem generalnym ONZ. Poza tym porucznik Wehrmachtu nie podejmował takich decyzji, o jakie go oskarżano. Ale nikt się nad tym jakoś nie zastanowił i wszyscy powtarzali gdzieś spreparowane wiadomości. Drugim takim przykładem — według Giorgia Bocca — była sprawa masakry żołnierzy włoskich dokonanej w 1943 roku w Polsce. Okazało się bowiem, że nie ma na to żadnych dowodów. Najciekawsze w jego rozważaniach jest stwierdzenie, że gdyby wszelkie prognozy na temat zagrożenia AIDS były prawdopodobne, to w 1989 roku we Włoszech powinno zachorować milion osób, a umrzeć dziesiątki tysięcy. Ale nic takiego się nie stało. Poza tym po raz pierwszy chorobę tę wykryto nie w 1979 roku, a... w 1958. Fakty te ustalił Luca Rossi — dziennikarz włoski, któremu chciało się sprawdzić to, co się mówi oficjalnie. Większości dziennikarzy nie chce się sprawdzać tego, co podają rządowe instytucje.

Wniosek z tego prosty: potrzeba nam więcej krytycyzmu we wszystkich sprawach!

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

Żydzi w Łodzi pod koniec XIX wieku i na początku XX (2)

W dobie aktywności politycznej

PAWEŁ SAMUŚ

Przez wiele lat robotnicy żydowscy żyli w izolacji, będącej skutkiem odrębności wyznaniowej, obyczajowej i językowej. Słaba wśród nich znajomość języka polskiego utrudniała kontakty i zżycie ze społecznością polską. Proletariat żydowski, bodaj bardziej niż inne warstwy tej narodowości narażony na antysemityzm, dotkliwie odczuwał również przejawy ucisku i dyskryminacji ze strony żydowskich fabrykantów i majstrów, którym w przypadku zatargów ekonomicznych z solidarną pomocą spieszyło duchowieństwo żydowskie. Idee socjalistyczne krzewione w kręgach proletariatu żydowskiego trafiały więc na podatny grunt, ale zaczęto je tam upowszechniać znacznie później niż w środowisku robotników polskich Łodzi.

Na przełomie 1897 i 1898 r. powstała organizacja **Ogólnożydowskiego Związku Robotniczego na Litwie, w Polsce i w Rosji**, zwana potocznie **Bundem**. Założyli ją emisariusze Komitetu Centralnego tej partii: **Abraham Muntik, Borys Frumkin, Izaak Pejsachsohn, Róża Grinblat**. Utworzono wtedy także Komitet Łódzki Bundu, ale niebawem nastąpiły aresztowania, które rozbiły organizację. Jej odbudowę prowadzili już miejscowi inteligenci i robotnicy żydowscy. Na początku naszego stulecia partyjne kółka bundowskie istniały wśród rzemieślników żydowskich, robotników małych fabryk, do organizacji przystępowali też nauczyciele, urzędnicy i uczniowie szkół średnich. Przeważali w niej ludzie młodzi, zaś łódzka organizacja Bundu uznawana była za jedną z najsilniejszych w tej partii. W Łodzi drukowano przez pewien czas centralny organ prasowy Bundu **„Di Arbajter Sztyme"** („Głos Robotniczy"), a także lokalne pismo **„Der Frajhajts Głok" („Dzwon Wolności")** i inne wydawnictwa.

Działacze bundowscy propagowali hasła walki klasowej i internacjonalizmu proletariackiego, uznając w swoim programie za cel nadrzędny tej walki socjalizm, a wśród zadań bliższych — obalenie caratu i utworzenie republiki demokratycznej w Rosji, w której ludność żydowska otrzymałaby autonomię narodową i kulturalną. Bundowcy twierdzili, że tylko ich partia może być uznana za jedynego reprezentanta proletariatu żydowskiego, odmawiali natomiast takiego prawa polskim organizacjom socjalistycznym, a takie stanowisko przyczyniło się do pogorszenia wzajemnych stosunków, ponieważ **PPS i SDKPiL** również prowadziły działalność w środowisku robotników i rzemieślników żydowskich, zdobyły też tam pewne wpływy. Znane są jednak i przejawy współdziałania tych partii, zaś agitatorzy Bundu pomagali socjaldemokratom polskim odbudować ich organizację rozbitą przez aresztowania policyjne.

Łódzka organizacja Bundu była również nękana represjami policyjnymi, jej działacze stali się także obiektem zaciekłych ataków ze strony żydowskiego duchowieństwa i burżuazji. W Łodzi bundowcy chętnie nazywali sami siebie „achdusnikes" (jednościowcy), tak byli też określani przez swoich przeciwników. W okresie przedrewolucyjnym nie była to jeszcze organizacja nazbyt liczna, podobnie jak polskie partie socjalistyczne miała charakter kadrowy. W końcu 1904 r. Bund w Łodzi zrzeszał ok. 200 osób, ale krąg jego sympatyków był kilkakrotnie większy. W atmosferze narastającego napięcia politycznego i społecznego w państwie carskim działacze bundowscy potrafili zmobilizować do organizowanych w Łodzi manifestacji po kilkaset osób. Jedna z pierwszych takich demonstracji odbyła się 14 czerwca 1903 r. na ul. Wschodniej, Kamiennej i Piotrkowskiej z udziałem żydowskich i polskich robotników, którzy pod czerwonymi i czarnymi sztandarami protestowali przeciwko niedawnemu pogromowi Żydów w Kiszyniowie. Gdy policja zaatakowała pochód, doszło do walki, byli ranni, wielu demonstrantów aresztowano. Jesienią następnego roku ulice łódzkie stały się miejscem burzliwych demonstracji antycarskich, akcji protestacyjnych przeciwko poborowi do wojska, a wystąpienia te organizowali działacze Bundu i PPS.

Od pierwszych dni rewolucji 1905 r. w Łodzi robotnicy żydowscy wraz z polskimi uczestniczyli w walce politycznej i ekonomicznej. Brali udział w strajkach, demonstracjach i wiecach, starciach ulicznych z policją i wojskiem, domagali się poprawy warunków bytowych, demokratyzacji państwa i swobód obywatelskich. Wspólnie też złożyli ogromną daninę krwi podczas walk barykadowych w Łodzi (22—24.VI.1905). Wśród ofiar nierównej walki najwięcej było Żydów. Komunikat urzędowy wymieniał spośród ludności cywilnej 151 zabitych i 234 rannych, w tym wśród poległych było 79 Żydów, 55 Polaków i 17 Niemców. Dane te prawdopodobnie były jednak zaniżone. W literaturze historycznej straty łódzkiego proletariatu szacuje się nawet na 1500—2000 zabitych i rannych.

Życie polityczne już w pierwszym roku rewolucji wyszło z podziemia, wciągając w swoją orbitę setki tysięcy mieszkańców miast i wsi w Królestwie Polskim. Masowy zasięg wydarzeń rewolucyjnych i formy wystąpień umożliwiły im publiczną konfrontację poglądów politycznych, przyswojenie podstawowych elementów edukacji politycznej. Przełomowe pod tym względem były wydarzenia z okresu powszechnego strajku politycznego w październiku i listopadzie 1905 r.

Podczas dziesięciu pierwszych dni listopadowych, nazwanych dekadą wolności, nastąpiła eksplozja jawnego życia politycznego w Królestwie. W Łodzi, chociaż od stłumienia powstania czerwcowego obowiązywał tu stan wojenny, masy opanowały ulice, ale okupiły to krwią poległych i rannych w starciach z policją i wojskiem. Odbywały się wiece, zebrania i demonstracje, na których dochodziło do bezpośredniej konfrontacji różnorodnych programów i kierunków politycznych. Zaczęły jawnie działać organizacje, stowarzyszenia kulturalno-oświatowe i zawodowe. Potężna fala rewolucyjna zniosła konspirację, umożliwiając na krótko niemal jawną działalność partii socjalistycznych, dając jeszcze większą swobodę działania ugrupowaniom antyrewolucyjnym. Podobna sytuacja zaistniała po zniesieniu stanu wojennego (1.XII.1905), aktywnością wyróżniła się wtedy w Łodzi postępowa inteligencja, także narodowości żydowskiej, która przystąpiła do organizowania stowarzyszeń i związków zawodowych.

Już w pierwszych dniach rewolucji policja usiłowała, na szczęście bez powodzenia, **sprowokować zamieszki antyżydowskie w Łodzi**. Natarczywe pogłoski o powstaniu „czarnej sotni" w mieście i przygotowywanym przez nią pogromie Żydów nasiliły się w listopadzie i grudniu 1905 r. Wieści o ekscesach antysemickich w Rosji, rozrzucane na ulicach proklamacje wzywające do pogromu Żydów, tajemnicze znaki malowane przez nieznanych sprawców na domach zamieszkanych przez ludność żydowską, wszystko to potęgowało napięcie i psychozę strachu wśród mieszkańców Łodzi. Działacze partii socjalistycznych, przedstawiciele postępowych ugrupowań inteligencji zdawali sobie sprawę z realnego niebezpieczeństwa zamieszek w mieście o tak skomplikowanej strukturze społeczno-narodowościowo-wyznaniowej. Socjaliści prowadzili intensywną akcję uświadamiającą, wezwali też mieszkańców miasta do tworzenia samoobrony. W fabrykach i domach powstały komitety i drużyny samoobrony, uzbrojone we wszystko co było pod ręką. Pilnowały one porządku, gotowe w każdej chwili odeprzeć napad „czarnej sotni". Najbardziej krytyczny moment nastąpił w drugiej dekadzie grudnia 1905 r., jednak dzięki zdecydowanej postawie wielonarodowościowego proletariatu łódzkiego próby wywołania pogromów nie powiodły się, choć zagrożenie takie wystąpiło w 1906 r., na przykład wtedy, gdy do Łodzi dotarły wieści o czerwcowym pogromie Żydów w Białymstoku, a we wrześniu w Siedlcach.

Przejawów antysemityzmu nie zabrakło rzecz jasna w tak burzliwych czasach, gdy w orbitę życia politycznego wciągnięte zostały rzesze ludzi wywodzących się z różnych środowisk i pokoleń, różnego wyznania i narodowości, o zróżnicowanym poziomie wykształcenia, świadomości klasowej, kultury politycznej i osobistej. Czynnik antysemityzmu odgrywał pewną rolę w akcji propagandowej działaczy obozu narodowego, treści takie znajdziemy choćby w rozpowszechnianych przez nich drukach podczas tzw. walk bratobójczych. Było to jednak zjawisko raczej marginalne.

Przejawem bujnego rozwoju życia politycznego w owych latach, a zarazem jego konsekwencją, był masowy napływ mieszkańców Łodzi do partii i związków zawodowych. Zjawisko to obserwujemy również w społeczności żydowskiej, przy czym we wszystkich grupach narodowościowych zdecydowanie przodowali robotnicy. Partie robotnicze stały się organizacjami masowymi, a ich rozwój miał charakter lawinowy. **W końcu 1906 r. partie socjalistyczne w Łodzi zrzeszały ok. 40 tys. członków, a solidarystyczne — dalsze 10 tys.**

Bund skupiał w swoich szeregach ok. 4 tys. osób, plasując się pod względem liczebności na trzecim miejscu w obozie socjalistycznym. Jego działacze stworzyli sprawną organizację, która kierowała walką ekonomiczną i polityczną proletariatu żydowskiego, rozwijała działalność propagandową i wydawniczą. Bundowcy opowiadali się za internacjonalistyczną walką rewolucyjną robotników całego państwa rosyjskiego o obalenie caratu, domagali się autonomii narodowo-kulturalnej dla ludności żydowskiej. Na tle nasilających się w Bundzie tendencji separatystycznych dochodziło do zatargów między jego działaczami a przedstawicielami **PPS i SDKPiL**. Obie te partie również zdobyły sobie zwolenników w środowisku robotników żydowskich, utworzyły też dla nich organizacje na prawach dzielnicy partyjnej, w jednej i drugiej działali też inteligenci żydowscy.

Działacze Bundu utworzyli związki zawodowe, początkowo ściśle związane z partią, ale po zalegalizowaniu mające charakter bezpartyjny. W połowie 1907 r. w 9 związkach bundowskich w Łodzi było zrzeszonych 3500 członków, wśród nich 1200 włókniarzy oraz 750 pracowników handlowych. W tym czasie istniało w mieście 76 związków zawodowych, które zrzeszały ponad 85 tys. członków, co stanowiło połowę osób zawodowo czynnych w Łodzi i niemal 1/4 jej mieszkańców.

Wśród proletariatu żydowskiego rywalizowały z Bundem o wpływy również mniejsze ugrupowania jak **Syjonistyczno-Socjalistyczna Partia Robotnicza** oraz **Żydowska Socjaldemokratyczna Partia Robotnicza „Poalej Syjon"**. Ich działacze z hasłami socjalistycznymi łączyli syjonistyczne i postulowali rozwiązanie kwestii proletariatu żydowskiego poprzez budowę państwa żydowskiego w Palestynie.

W niektórych kręgach proletariatu żydowskiego, a także drobnomieszczaństwa, zwłaszcza wśród młodzieży, zyskały zwolenników idee anarchistyczne i hasła terrorystyczne, pojawiły się więc takie grupy, niewielkie liczebnie, jak **Łódzka Grupa Anarchistów-Komunistów „Internacjonał", Łódzka Federacyjna Grupa Anarchistów-Komunistów, Anarchiści-Rewolucjoniści.**

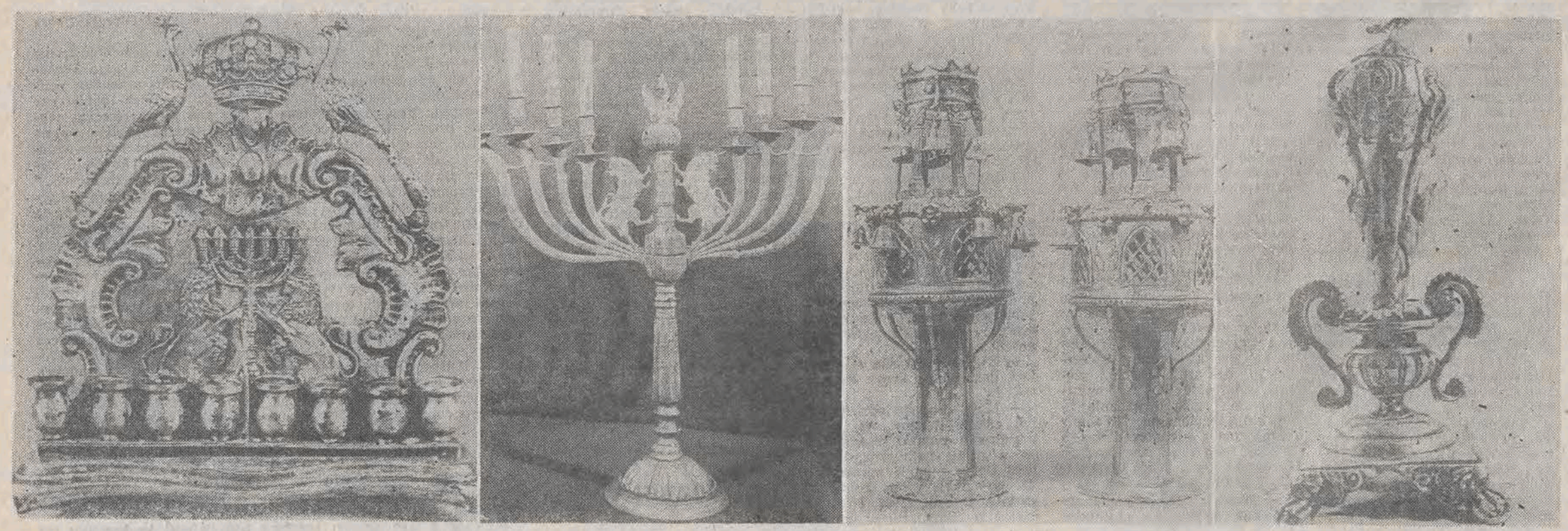

Układ konieczny do funkcjonowania miasta

ze str. 1

Lecz zanim doszło do tych nocnych spotkań Waldemar Bohdanowicz otrzymał z MPK „Raport o stanie przedsiębiorstwa", aby był choć częściowo przygotowany na to, co zobaczy i usłyszy.

Krótką mowę powitalną, na którą złożyła się w głównej mierze statystyka „Helenówka", wygłosił kierownik zajezdni **Ryszard Balicki**. Tak więc w zajezdni zbudowanej w 1922 roku „mieszkają" 83 tramwaje przegubowe i 8 nowoczesnych typu 805 N. W normalny dzień „na miasto" wyjeżdża 71 tramwajów, w soboty robocze — 64, w wolne — 44, zaś w niedziele i święta już tylko 37.

Waldemar Bohdanowicz chodził po hangarach, przyglądał się robocie ludzi którzy — zabrzmi to patetycznym banałem — dają z siebie wszystko, aby tramwaje mogły zadzwonić na pasażerów Choć piątkowa noc była bezwietrzna, to w hangarze dało się wyczuć lekki podmuch Boreasza Przy odrobinie dobrych chęci można bez trudu wyobrazić sobie warunki pracy w tej zajezdni przy minus 7-10 stopni i ciut silniejszym wietrze Później pan prezydent, mimo ostrzeżeń, wszedł w swojej jasne, sportowej kurtce pod tramwaj, z podwozia którego kapała brudna woda z rozmarzającej bryi.

Najważniejszym cicerone po zajezdni był jej kierownik, który pokazał **W. Bohdanowiczowi** także zaplecze socjalne na Helenówku — blaszane jednopiętrowe baraki z szatnią i węzłem sanitarnym na parterze i jadalnią na piętrze.

Informacji na temat rozwoju zajezdni na Helenówku i możliwości uzupełnienia taboru tramwajowego udzielał dyrektor MPK w Łodzi **Czesław Rydecki**. Konieczna jest rozbudowa i modernizacja zajezdni, w której od czasu powstania tak naprawdę niewiele zrobiono — dobudowano zadaszony podwójny ciąg kanałów, ale to już jest zupełnie niewystarczające Podczas gdy np. w Wiedniu wszystkie tramwaje stoją w zajezdniach w zamkniętych pomieszczeniach, w Łodzi marzy się dyrektorowi Rydeckiemu chociaż wiata tak jak w Krakowie, aby deszcze i śniegi miały mniejszy wpływ na niszczenie tramwaju Ale jak zajmować się takimi „luksusami", kiedy na Helenówku brakuje kanałów naprawczych? Te dobudowane kiedyś do budynku z 1922 już dawno są niewystarczające Konieczna i to jak najszybciej, jest budowa nowych zadaszonych miejsc pracy dla mechaników i postoju choćby kilku tramwajów. W latach 70 koszty zrealizowania planów tej niewielkiej rozbudowy zajezdni wynosiły miliard złotych. Dziś modernizacja pochłonie kwotę trzykrotnie większą, zaś deficyt przedsiębiorstwa wynosi 4,5 miliarda złotych, co przy obrocie MPK — 55 miliardów rocznie, może się wydawać kwotą niewielką, ale trzeba wiedzieć, że z tych miliardów tylko 10 procent jest zyskiem A przecież rozbudowa zajezdni to nie jedyne potrzeby MPK Konieczna jest odnowa taboru, a z zamówionych na ten rok 40 tramwajów dotarły do Łodzi tylko 4. **„Konstal" z Chorzowa** — jedyny producent — obiecał, że do końca roku wywiąże się ze zobowiązań Zniesienie siedemdziesięcioprocentowych dopłat z budżetu spowodowało, że za wszystko musi płacić przedsiębiorstwo, a ceny cały czas pędzą do przodu — na początku roku tramwaj kosztował 40 milionów, dzisiaj 100.

Tuż obok zajezdni tramwajowej jest autobusowa i choć wcale to nie było w planach, prezydent **Waldemar Bohdanowicz** zdecydował, że ją obejrzy. Interesował się eksploatacją autobusów, zwłaszcza „Ikarusów", bo tych przecież w MPK najwięcej Taki kolos zabierający do baku 200 litrów paliwa i przejeżdżający za jednym zamachem dwie zmiany, po sześciu latach poddawany jest remontowi kapitalnemu. Później autobus jeździ jeszcze 3-4 lata i ulega kasacji, kiedy stan licznika przekroczy pół miliona kilometrów.

Zajezdnia autobusowa, podobnie jak tramwajowa, jest za ciasna Zamiast 50 autobusów musi zmieścić 94, co powoduje, że norma 10 autobusów na jedno stanowisko obsługi jest znacznie przekroczona, bowiem w zajezdni jest tylko 6 kanałów. O ironio, ta za duża dla zajezdni ilość autobusów powoduje, że czas przeznaczony na oczyszczenie i przegląd auta, które zakończyło codzienne nawijanie kilometrów na koła wynosi tylko 3 minuty.

Prezydent Waldemar Bohdanowicz interesował się naprawami karoserii autobusowych przeprowadzanymi w zajezdni, został także poinformowany o tym, że od 1980 roku MPK samo bieżnikuje swoje opony.

Przewodników po drugiej zajezdni autobusowej — przy ulicy Limanowskiego — było dwóch: jej kierownik **Lechosław Weidner** i **Andrzej Słowik**, kiedyś pracownik tejże zajezdni. Pracuje w niej 300 kierowców, a powinno 330. Również obsługa techniczna jest zbyt mała — zamiast 250 pracuje 220 monterów Z absolwentów szkoły zawodowej MPK, którzy mieli być panaceum na braki kadrowe tylko połowa zostaje w przedsiębiorstwie. W zajezdni są 174 autobusy, choć — jak mówi kierownik **Lechosław Weidner** — może był w niej 180 Codziennie na ulice Łodzi wyjeżdża stąd 135 autobusów, bo braki kierowców i części zamiennych skutecznie uniemożliwiają wyjazd wszystkich aut. A części brakuje dużo i tylko dzięki ofiarnej pracy wszystkich mechaników i kombinowanym sposobom naprawy autobusy stoją 1 dzień w naprawach bieżących, choć już warunki pracy monterów mogłyby usprawiedliwiać opóźnienia — powietrze we wszystkich pomieszczeniach, gdzie stoją autobusy: w myjni na kanałach przesycone jest spalinami gryzącymi w oczy i gardło

Kanały w zajezdni przy Limanowskiego były przygotowane do napraw krótkich autobusów, kiedy zaczęły przychodzić do Łodzi przegubowe „Ikarusy" należało przebudować stanowiska naprawcze — przedłużyć je. Teraz Węgrzy zapowiadają produkcję osiemnastometrowych „jamników", zaś dyrektor **Czesław Rydecki** zastanawia się co z kanałami dla tych kolosów, bo starych przedłużyć już się nie da, a nic nowego wybudować nie można.

Aby zapewnić dobrą komunikację autobusową należałoby w ciągu roku kupić 80 pojazdów. Na rok 1989 zaplanowano kupno 75, a Węgrzy jak do tej pory przysłali do Łodzi — 35. I chociaż KERM zapewniał o pomocy przy zrealizowaniu dostaw, to zmieniające się stosunki ekonomiczne spowodowały, że nic z niej nie wyszło. Dlatego też, aby zapewnić większe dostawy autobusów do Łodzi, dyrektor MPK planuje podpisać z Węgrami umowę o wymianie barterowej — za łódzkie „ciuchy" autobusy. Prezydent m. Łodzi zobowiązał się patronować temu przedsięwzięciu i pomóc w szczęśliwym doprowadzeniu go do końca. Innym sposobem zwiększenia taboru autobusowego, choć to tylko półśrodek, jest przerabianie części remontowanych w Słupsku autobusów na „przegubowce".

Kiedy skończyły się odwiedziny w zajezdni przy ulicy Limanowskiego — były dwa kwadranse po północy, przedstawiciele Komisji Międzyzakładowej „Solidarność" MPK zaprosili prezydenta W Bohdanowicza do swojej siedziby przy ulicy Tramwajowej W trakcie rozmów, w których oprócz prezydenta m. Łodzi, dyrektora **Czesława Rydeckiego, Andrzeja Słowika** i **Józefa Stanisława Milwicza** — doradcy prezydenta brali udział: ze strony dyrekcji MPK dyrektor **Józef Korkosiński**, zaś ze strony KM „Solidarność MPK **Andrzej Piekarski** — przewodniczący, **Krzysztof Frątczak** — wiceprzewodniczący i **Longin Chlebowski** również wiceprzewodniczący, poruszono tematy związane ze sposobami dotowania MPK oraz problemy dotyczące płac i ich indeksowania. Dyrektor **Czesław Rydecki** mówił o paradoksach sprawiających kłopoty jego firmie. Na przykład o rozmieszczeniu przystanków decyduje wydział komunikacji, zaś wszystkie pretensje o złe ich usytuowanie kierowane są do MPK. Do rozmowy na ten temat włączył się **Andrzej Słowik** mówiąc, że przy „Solidarności" MPK powstał zespół który będzie zajmował się bezpieczeństwem pracy kierowców i motorniczych, podróżowania pasażerów i oczekiwania na przystankach. Już dziś w MPK jest przekonanie, poparte obserwacjami i doświadczeniem, że dla bezpieczeństwa pasażerów konieczne będzie przeniesienie wielu przystanków

Waldemar Bohdanowicz dziękując za zaproszenie i rozmowy powiedział, że było dla niego dużym przeżyciem spotkanie się z pracownikami MPK, przyjrzenie się z bliska ich ciężkiej pracy i warunkom jej wykonywania.

— Teraz chodzi tylko o takie działania, które wyeliminują zakłócenia tego specyficznego układu krążenia, koniecznego dla funkcjonowania miasta.

BOGUMIŁ A. MAKOWSKI

Foto: Konard Turowski

Urząd Miasta Łodzi winien 120 milionów złotych.

Energetycy przed zimą przypominają o świecach

— Podobno radzi pan wszystkim, by w nadchodzącym sezonie zimowym trzymali pod ręką świece?... — pytam dyrektora naczelnego Zakładu Energetycznego Łódź-Miasto **WIESŁAWA KMINA.**

— Wierzę, że do ich użycia z powodu wyłączeń energii nie dojdzie, ale tak na wszelki wypadek.

— Kilkanaście lat temu, w czasie zimy stulecia, paraliżowały pracę elektrociepłowni temperatury grubo poniżej minus dwudziestu stopni Celsjusza.

— W tym sezonie zagrożenie może przyjść już wówczas, gdy przez kilka dni temperatury będą się utrzymywały poniżej minus 10 stopni. Po prostu do niedawna mówiło się — i tak było w rzeczywistości — iż bilans energetyczny w skali kraju jest napięty. Powiedzmy wyraźnie: zaledwie napięty, bowiem w tej chwili jest ujemny, nie ma go czym zrównoważyć i nie ma co liczyć na jakąkolwiek „pomoc".

— Wiem, że w tym roku ani jeden megawat tak zwanej mocy zainstalowanej nie został przekazany. W Bełchatowie już nic nie przybędzie, ale czy to oznacza, że w kraju zaniechaliśmy budowy elektrowni?

— Nie do mnie z tym pytaniem. Ja wiem tyle, co i pan: los Żarnowca wciąż jest nie rozstrzygnięty, a taka na przykład tradycyjna elektrownia w Opolu buduje się od bodaj 12 lat i wciąż daleko jej do szczęśliwego finału. Sytuacja będzie więc coraz gorsza bo zużycie energii powoli, ale jednak o te kilka procent rocznie rośnie.

— Zawsze mogliśmy liczyć na pomoc sąsiadów, czyli pożyczkę ze Związku Radzieckiego.

— To prawda, z tym, że nie była to żadna pożyczka — Rosjanie normalnie nam energię elektryczną sprzedawali. Były to zakupy rzędu pięciu procent naszych potrzeb, ale zawsze lepsze to niż nic. Obecnie nie możemy już liczyć na dostawy. Przemiany, jakie tam zachodzą, mają i taki efekt, iż wschodni sąsiedzi muszą głowić się nad zaspokojeniem własnych potrzeb.

— Mamy wielu innych wspaniałych sąsiadów.

— Podobno, ale każdy ma napięty swój bilans energetyczny, czyli — żadnych luzów, z Zachodem połączeń nie mamy, a więc — liczyć musimy wyłącznie na siebie.

— Co praktycznie oznacza, że w niskich temperaturach, przy dużym zapotrzebowaniu — energii może zabraknąć. Ba, już brakuje! Jeszcze w październiku słyszałem o bodaj „16 stopniu zasilania".

— No, nie było jeszcze tak źle, myślę, że na ten dość wysoki stopień miał wpływ fakt, iż do końca października mogła jeszcze nie zakończyć się kampania remontowa w wielu elektrowniach. Ale jak co roku, faktycznie przygotowany jest program wprowadzania niezbędnych ograniczeń, rzecz jasna w pierwszym rzędzie w przemyśle. A sygnałem są te podawane również przez radio komunikaty nakazujące w zależności od stopnia zasilania (od 11 do 20) — stosowne zmniejszenia zużycia energii przez zakłady pracy. Pełna realizacja tych zaleceń powinna uchronić indywidualnych odbiorców przed wyłączeniami w ich mieszkaniach, ale...

— Znając z lat minionych „sumienność" wielu przedsiębiorstw — może dojść i do takich drastycznych ograniczeń?

— Nie przesądzajmy dziś tej kwestii, ale myślę, że powinniśmy być i na taką ewentualność przygotowani.

— Mimo ponad 70 elektrowni w kraju, mimo ponoć niezłego stanu sieci przesyłowej?

— To niestety, nie na wiele się zdaje, gdy dla przykładu w naszym województwie obciążenie „skacze" z 400 megawatów latem do 800 megawatów zimą. Stan sieci wysokiego napięcia wyprzedza wręcz możliwości pokrycia zapotrzebowania o 5—6 lat, połączeni jesteśmy wieloma dublującymi się liniami z Warszawą, zagłębiem konińsko-adamowskim, z Bełchatowem, Śląskiem. Ale to wszystko nic nie znaczy, gdyż ostatecznie decydują możliwości elektrowni.

— Pytanie z innej beczki: zasłynął pan w mieście (i nie tylko) z drastycznych decyzji, których efektem miało być wyłączenie dopływu energii do zakładów — dłużników, zalegających z opłatami za prąd.

— Wcale się tego nie wstydzę: czas już było przerwać to błędne koło. Zadłużenia narastały od momentu likwidacji tak zwanego bankowego polecenia pobrania, ale w sierpniu sytuacja przybrała katastrofalne rozmiary: zakłady Łodzi i województwa były nam winne około 1,5 miliarda złotych. Żarty się skończyły, a tłumacząc najprościej: — gdy nie mam pieniędzy — nie mogę kupić energii w żadnej elektrowni (korzystamy z trzech źródeł — Zespołu Łódzkich Elektrowni, Bełchatowa i w małych ilościach z niewielkich elektrowni prz mysłowych). Te z kolei zalegają z płatnościami kopalniom albo nie robią niezbędnych remontów. Efekt zawsze fatalny: brak zapasów węgla, ewentualnie — gorsza praca w czasie zimowego szczytu.

— Dużo pan musi tego prądu kupić?

— Sporo. Zakład Energetyczny kupuje około 3 milionów megawatogodzin, płacąc — po podwyżkach — około 15 tysięcy złotych za jedną.

— O podwyżkach jeszcze porozmawiamy, na razie niech pan przypomni jak to było ze słynnymi teleksami.

— No cóż, od początku września, do wszystkich przemysłowych dłużników wysłaliśmy teleksy z tygodniowym terminem uregulowania należności. I nic — cisza. Później — drugi teleks, już na trzy dni przed terminem wyłączenia.

— Zawiadomiliście też o tych drastycznych krokach ministra Syryjczyka.

— I nie było żadnych sprzeciwów z jego strony. No a później — zaczęto niemal „na sygnale", tuż przed upływem terminu zwozić samochodami pieniądze wprost do nas, już nawet z pominięciem banku.

— Wiem, że najwięksi dłużnicy, między innymi „Pamotex", „Morfeo", Fabryka Pierścieni Tłokowych, „Dubois" czy „Boruta", niektóre zalegające z miesięcznymi opłatami sięgającymi nawet 100 milionów złotych — zdążyli. Ale ponoć nie obyło się bez wyłączeń?

— Faktycznie, w kilkunastu przypadkach trzeba było opornych przekonywać przekręceniem wyłącznika w szafie zasilającej, choć „giganci" — zdążyli. I ten przysłowiowy kubeł zimnej wody zrobił swoje: dziś, w pierwszych dniach listopada zadłużenie zmniejszyło się do 280 milionów, przy czym na poszczególne zakłady przypadają drobne kwoty. Jedynie Urząd Miasta jest nam winien 120 milionów za oświetlenie ulic.

— Wierzę, że prezydent zadba o spłatę tego długu, bo nawet bez waszych, potencjalnych restrykcji na wielu ulicach jest ciemno jak...

— Zgadzam się i też wierzę, że te pieniądze wpłyną na nasze konto. Gorzej natomiast wygląda sytuacja — bo jeszcze o tych dłużnikach nie mówiliśmy — z indywidualnymi odbiorcami energii. Winni są nam — na okrągło — 300 milionów złotych. To dużo — około 10 procent ogólnych należności od tej grupy odbiorców.

— Konsekwencje identyczne?

— Nie może być inaczej. Do końca miesiąca, w którym nie zapłaci — czekamy. Potem idzie nasza brygada i wyłącza energię.

— Są jednak tak zwane sytuacje losowe, nie wszyscy chcą was oszukać.

— Wiem i w takich sytuacjach, by uchronić się przed odcięciem dopływu energii, radzę szybciutko zgłosić się z pieniędzmi do naszych kas, przy ul. Juliana Tuwima 58.

— Zdrożeliście też ostatnio bardzo dużo.

— Nie my, tylko energia, a dokładnie jedna kilowatogodzina i co to znaczy „dużo"? Proste porównanie: kiedyś, mniejsza o daty, ta nasza kilowatogodzina kosztowała 60 groszy, a zwykła bułka czy gazeta — 50 groszy. Dziś gazeta, średnio — 100 złotych, bułka — 70—80 złotych, a nasza kilowatogodzina dla indywidualnych odbiorców „skoczyła" z 8 złotych i 50 groszy na 21 złotych i 30 groszy. Czy to jest dużo?!

— Ja! znam życie — wkrótce podwoicie albo potroicie „stawkę".

— My — nie, a w sprawie szczegółów muszę pana odesłać wyłącznie do Ministerstwa Finansów...

Rozmawiał: DARIUSZ DOROŻYŃSKI

Co jest za więziennym murem?

ze str. 1

niechże ten przysłowiowy „klawisz" ma także prawo do godności i spokoju. Niech nie będzie odizolowany od reszty społeczeństwa nie tylko murami, lecz i powszechnym milczeniem.

Jako akt samoobrony w **Areszcie Śledczym w Łodzi** przy ulicy Smutnej — Stokowskiej zrodził się pomysł powołania **Związku Zawodowego Funkcjonariuszy Służby Więziennej.** Zawiązała się grupa inicjatywna. Na jej apel odezwały się niemal wszystkie **zakłady karne w Polsce, których jest 139** (Areszty Śledcze i Ośrodki Przystosowania Społecznego) Zapadła decyzja, że 24 listopada 1989 r. właśnie w **Łodzi** zbiorą się przedstawiciele załóg jednostek organizacyjnych z całego kraju i poproszą do siebie na rozmowę ministra sprawiedliwości.

W oznaczonym dniu w **Areszcie Śledczym w Łodzi** zebrali się delegaci ze 131 zakładów karnych, a o godzinie 14.30 przybył minister sprawiedliwości **Aleksander Bentkowski** oraz dyrektor generalny w Ministerstwie Sprawiedliwości do spraw więziennictwa onże dyrektor Centralnego Zarządu Zakładów Karnych **Romuald Soroko,** a także naczelnik Wydziału Kadr i Szkolenia CZZK **Jan Pyrcak.**

Na początku odczytano ministrowi **„Uchwałę Ogólnokrajowego Zjazdu Przedstawicieli Załóg Jednostek Organizacyjnych Służby Więziennej".** Właściwie był to rejestr zarzutów pod adresem dyrektora CZZK **Romualda Soroko,** „którego bezradność jest nam powszechnie znana", i który nie identyfikuje się ze służbą więzienną, nie zna i nie dąży do poznania jej problemów. Ponadto zażądano, aby zostały podjęte działania związane z zapewnieniem bezpieczeństwa funkcjonariuszy w czasie wykonywania obowiązków służbowych; gruntownej reorganizacji struktury służby więziennej; uchylenia sprzecznych z konstytucją i podstawowymi zasadami prawa pracy postanowień w sprawie przebiegu i sposobu pełnienia służby; zaniechania obowiązku prowadzenia przez funkcjonariuszy służby więziennej pościgów, poza bezpośrednimi; stworzenia takich warunków i takiego uposażenia dla funkcjonariuszy, pracowników cywilnych, a szczególnie służby zdrowia, które przyciągną do tej służby osoby o najwyższych kwalifikacjach; traktowania służby więziennej jako apolitycznej służby państwowej; prawa zrzeszania się w związki zawodowe.

Minister słuchał bardzo uważnie, bo zaraz też posypały się zarzuty wobec **Centralnego Zarządu Zakładów Karnych** oraz jego dyrektora — **Romualda Soroko,** bardzo mocno zaatakowano niektórych senatorów (szczególnie dopiekł do żywego funkcjonariuszom senator, który idąc na rozmowy ze strajkującymi więźniami, trzymał dwa palce w górze: Victoria!, co pokazane zostało w telewizji), nie pominięto także środków masowego przekazu zarzucając im jednostronne informowanie (pokazują i piszą o strajkach więźniów, a źle piszą lub zupełnie pomijają pracę i poświęcenie służby więziennej)....

Minister sprawiedliwości **Aleksander Bentkowski** mówił krótko (przybył o 14.30, a o 15.30 opuścił salę bo w tym samym budynku czekał na rozmowę z nim komitet protestacyjny więźniów). Na początek minister wyraził swoje szczere zdziwienie, że funkcjonariuszom udało się tak szybko zebrać i rozpocząć prace nad powołaniem związku zawodowego. Przyrzekł, że gdyby na swej drodze napotkali trudności lub gdyby ktoś chciał im w tym przeszkodzić, to on, minister, wyciągnie w stosunku do tego kogoś surowe konsekwencje. Tak więc popiera powstający związek zawodowy, Dotąd więzienia — powiedział — znał wyłącznie jako adwokat, który przychodził tam, by spotykać się i rozmawiać ze swoimi klientami. Teraz jako minister, ma ten kontakt na co dzień, tym bardziej, że więźniowie nie pozwalają by o nich zapomniał wszczynając bunty, protesty i strajki. Teraz wszyscy żądają amnestii, jest to pierwszy z postulatów wysuwanych przez więźniów. No cóż, przez amnestię wszyscy musimy przejść, choć nie jest to pomysł resortu. Ale nie może w związku z tym zapanować anarchia: więzień, który znieważy strażnika, będzie musiał ponieść za swój czyn odpowiedzialność.

Minister **Aleksander Bentkowski** parę zdań poświęcił także środkom masowego przekazu. Owszem, przyznał, kiedy telewizja pokazywała zajścia w zakładzie karnym w **Stargardzie Szczecińskim,** pominęła służbę więzienną. On postuluje, aby zawsze były pokazywane obie strony.

Co do resocjalizacji, to minister uważa, że nikogo nie należy na siłę wychowywać. Dlatego też wkrótce zostanie powołana specjalna komisja, która zajmie się sprawą resocjalizacji w zakładach karnych.

Odpolitycznienie i związki zawodowe: przynależność do jakiejkolwiek partii jest prywatną sprawą każdego. Wszystko można robić, byleby w granicach rozsądku, natomiast aby powstały w zakładach karnych związki zawodowe, musi wpierw nastąpić zmiana ustawy o związkach zawodowych. W tej sprawie minister zwrócił się do ministra **Jacka Kuronia,** który przygotowuje projekt takiej ustawy, aby wziął pod uwagę także i zakłady karne.

Na koniec zapewnił: — **Będę z wami, bo wy jesteście tymi, którzy zapewniają bezpieczeństwo w kraju. Waszą pracę, wasze problemy dopiero poznaję i zrobię wszystko, by między nami nie było nieporozumień.**

Oklaski.

Spotkanie trwało jeszcze wiele godzin. Były to rozmowy pomiędzy pracodawcą a pracownikami, którzy nie mają najlepszego zdania o dyrektorze **Centralnego Zarządu Zakładów Karnych.** Były więc roztrząsane sprawy płacowe, czas pracy, czas służby, ekwiwalenty za nadgodziny, sprawa dni wolnych, mieszkań itp., itd.

Jedno jest wszakże bezsporne: funkcjonariusze zakładów karnych będą mieli swój związek zawodowy. Tylko czy to zmieni w czymkolwiek dramatyczną sytuację panującą w zakładach karnych?

EUGENIUSZ IWANICKI

Rys. Janusz Szymański-Glanc

MILICJA: — Spojrzenie z drugiej strony.

Rozsypujący się posterunek

JACEK PAJĄK

Przepaść między milicją i społeczeństwem jest znaczna. Wskaźniki wykrywalności przestępstw szybko spadają (z 70 proc. w 1980 r. do 35 proc. w 1984 roku). Najwięcej przestępstw popełnianych jest w dużych aglomeracjach i na ich obrzeżach (około 70 proc. wszystkich przestępstw). Rośnie liczba wypadków drogowych. Statystyki są wręcz alarmujące. Bezkarność jest coraz większa. Ludzie czują się zagrożeni. Nikt nie lubi milicji.

Po lewej stronie zbudowano kompleks prywatnych sklepików, który aleksandrowianie szumnie nazywają „Ameryką", choć podobieństwo do wielkiego mocarstwa zza oceanu jest raczej znikome. Są dwa butiki zaopatrzone we wszystko na co stać snobistyczną kieszeń. Jest także jubiler, kaletnik i sklep mięsno-wędliniarski, a całość nie kojarzy się bynajmniej z wielkim centrum finansjery, choć biedacy tutaj nie pracują. Z tyłu wyrastają szarobetonowe bloki przy ulicy Ignacego Daszyńskiego z przybrudzoną zielenią i zdewastowanymi uliczkami.

Z drugiej strony cieszy oko nadgryzana systematycznie przez czas przychodnia przyzakładowa... W tle tych wszystkich budynków stoi brudny dom z przedwojennej cegły, mały, źle zaplanowany, z wyraźnymi zaciekami zbutwiałej wody, szpecący i tak smutne otoczenie. Tylko kraty w oknach, znak „uwaga samochód", mały orzełek na czerwonym tle oraz napis na standardowej tabliczce świadczą, że właśnie tutaj mieści się

posterunek Milicji Obywatelskiej w Aleksandrowie Łódzkim.

Jeszcze kilka lat temu milicjanci koegzystowali z Ochotniczą Strażą Pożarną na ulicy 22 Lipca. Tam była ich siedziba, tam też funkcjonował bez końca remontowany przybytek kultury, jakim było kino „Spójnia". Warunki choć skromne pozwalały jednak jako tako wykonywać obowiązki „stróżów porządku". Nastał stan wojenny. Wojsko wyszło na ulice, „Solidarność" zeszła do podziemia, polityka wyostrzyła konflikty i uprzedzenia. W takiej atmosferze działacze „Solidarności" postanawiają ulokować swą nielegalną siedzibę przy Armii Czerwonej 28/30, w prywatnym budynku, gdzie dotąd oprócz skromnych pokoików był warsztat dziewiarski. Władze miejskie Aleksandrowa reagują błyskawicznie. Natychmiast przenoszą posterunek do tego właśnie budynku, po to tylko, by nie była to melina opozycji.

Rozpoczyna się kolejny etap w życiu tutejszej milicji. Oczywiście oficjalnie istniało kilka wersji tego zabiegu kwaterunkowego, ale nawet sami funkcjonariusze twierdzą, że był to typowy polityczny chwyt poniżej pasa. W dokumentach lokalizujących posterunek powtarza się wyraz „tymczasowo". Teoretycznie obecna siedziba miała istnieć kilka lat, po czym planowano budowę kompleksu bankowo-milicyjnego przy placu Tadeusza Kościuszki.

„Ojciec miasta" wyznaczył plac sąsiadujący z Komitetem PZPR z jednej strony i kościołem ewangelickim z drugiej. Po rozmowach naczelnika, przedstawiciela banku i Wojewódzkiego Urzędu Spraw Wewnętrznych ustalono, że za sam projekt zapłacą ci ostatni. Rysowała się coraz wyraźniej wizja nowoczesnego budynku, który zadowoliłby zarówno bank (ochrona mienia), jak i milicjantów marzących o miejscu pracy z prawdziwego zdarzenia.

Przyszła zżerająca wszystkich i wszystko inflacja. Zabrakło funduszy na sam projekt, który nigdy nie ujrzał już deski kreślarskiej. Przyczyny pozostały tajemnicą do dziś. Funkcjonariusze postanowili jednak działać dwoma torami. Z jednej strony piszą odwołania, prośby, poruszają problem budowy posterunku na przeróżnych posiedzeniach władz. Jak wspomina jeden z dzielnicowych, dochodziło do takich absurdów, że na spotkaniach z władzami, czy zwykłych odprawach służbowych, zabierał głos w sprawie budowy. W chwili gdy podnosił palec zastępca szefa rejonu natychmiast reagował:

— *Ty mi o komisariacie już nie mów, bo ja wiem; ty jesteś u mnie podpadnięty.*

W ten sposób kończyły się wszelkie próby formalnego rozwiązania sprawy.

W tej sytuacji postanowiono zastosować inny „środek przymusu", kiedyś nazywany pracą społeczną. Grupka etatowych pracowników posterunku postanowiła złapać się za szpadle i samemu zacząć kopać fundamenty, porządkować teren, po prostu zacząć budowę. Były nawet plany powołania społecznego funduszu na ten cel. Naiwnie wierzyli, że wystarczy zacząć pracę, by zainspirować decydentów. Jak jednak robić cokolwiek bez planów, gdzie i jak kopać. Ta droga perswazji też okazała się mało przekonywająca. Do dziś plac stoi nie wykorzystany, a stary posterunek rozsypuje się w oczach.

— *To nie jest absolutnie miejsce do normalnej pracy* — mówi dzielnicowy — *u mnie w pokoju jest grzyb na metr dwadzieścia. Zasłaniam go różnymi plakatami.*

Nie można natomiast zatuszować smrodu, który tutaj panuje. Ten mały pokoik był kiedyś miejscem, gdzie stały maszyny dziewiarskie jakiegoś drobnego ciułacza, a jeszcze wcześniej gospodarz miał tutaj komórkę. Dziś to miejsce pracy dzielnicowego, a raczej „miastowego", bo podlega mu nie dzielnica, lecz całe miasto. Brak ludzi to podstawowy problem. W tej chwili jest pięć osób kierownictwa (sekretarka, komendant, zastępca, kierownik referatu dzielnicowych i inspektor do spraw prewencji), a do roboty jest trzech, w tym tylko dwóch dzielnicowych na miasto i gminę Aleksandrów. Jest jeszcze dwóch milicjantów, którzy siedzą na dyżurce, bo kolega mający mieć dyżur jest w szkole milicyjnej, kolejny urlopuje, a ostatni choruje. Jeden dzielnicowy na gminę i jeden na całe miasto.

— *Pracujemy na granicy wytrzymałości* — słychać głos zza biurka zawalonego papierami — *ja pracuję od 22 do 5 rano, w tym samym dniu przychodzę na 15 i zostaję do 22, by następnie przyjść o 8 rano. Ale to nie wszystko, gdy prowadzę kolegium to muszę poza godzinami pracy pojechać do Zgierza i zawsze jest kwestia, czym.*

Za oknem pod prymitywną wiatą stoi niebieska nysa. Używana jest rzadko, bo dzienny limit paliwa wystarcza na 30 km. W razie przekroczenia limitu i przejechania 40 km, w następny dzień można przejechać tylko 20 km. Odległość od posterunku do „rejonu" w Zgierzu i z powrotem wynosi około 30 km.

— *Ja do Zgierza jakoś dojadę* — kontynuuje rozmówca — *założę mundur i każdy samochód się zatrzyma. Ale świadkowie, czy poszkodowani dojeżdżają na własny koszt, a połączenie jest żałosne. Trzy napchane autobusy na dzień, to ciut za mało. Pieniądze za kolegia zatrzymuje „rejon", a my którzy wykonaliśmy całą robotę dostajemy jakieś nędzne procenty, i to nawet nie my tylko Urząd Miasta. Podobnie jest z mandatami, które wydają władze Aleksandrowa.*

W głosie rozmówcy słychać coraz większe podekscytowanie. Jest to widać jeden z wielu bardzo drażliwych tematów.

W wąskim, ponurym korytarzyku leży pijak.

Dziwi już nie jego stan, ale miejsce, w którym go umieszczono. Zalicza się go do grupy „leżaków", co w gwarze ulicznej znaczy „schlany na amen". Nie ma co z nim zrobić. Aresztu z prawdziwego zdarzenia brak, nie mówiąc już o prowizorycznej Izbie Wytrzeźwień. Teoretycznie należałoby zawieźć go do Zgierza lub do łódzkiej „Deotymy", ale przecież brak paliwa. Trzyma się zatem delikwenta kilka godzin aż podtrzeźwieje, a następnie odwozi do domu.

Na biurkach stosy papierów. Trzy maszyny do pisania, z tego jedna zdatna do użytku. „Święta krowa", czyli biurokracja i tutaj święci triumfy. Ale żeby było ciekawiej, to nawet ona kuleje, skoro brak jest odpowiednich druków, papieru do maszyn, kalki i powinno także brakować długopisów, bo przydział tego przyrządu to jedna sztuka na osiem lat. Zatrzymanie obywatela wymaga obecnie pięciu pism, które przepisuje milicjant na maszynie posługując się wzorem. Gdy brakuje czasu, aby dopełnić papierowe formalności, zmuszony jest pracować dodatkowo w domu. Papier trzeba załatwiać prywatnymi kanałami. Pożera to mnóstwo czasu, a przecież codziennie są włamania, kradzieże, zdarzają się wisielcy, narkomani, sataniści, wypadki drogowe. W ogóle środowisko jest tutaj barwne. Tym zajmuje się jeden człowiek — dzielnicowy, który sporządza oględziny, rysunek, szkic, nadaje telefonogram do Zgierza, Zgierz do Łodzi, a Łódź do Warszawy. Zapytany o specjalizację milicjant uśmiecha się ironicznie. Znak to, że specjalizacja tutaj nie istnieje. Dyżurujący milicjant musi być omnibusem, nie ma innego wyjścia.

Do reliktów minionych lat należy również cała „baza techniczna".

— *Nasza radiostacja to śmiech w żywe oczy. Gdy przyjechał papież do Polski, a my obstawialiśmy skrzyżowanie, to po raz pierwszy zobaczyłem, jakie cudenka mogą nam pomagać w pracy. Ale tutaj na dole tego nie ma. Borewicz, helikoptery, komandosi, elektronika to w posterunku takim jak nasz bajka. Poza tym robimy obchód „z buta". Trzeba mieć zdrowe nogi, żeby obejść całe miasto w jeden dzień.*

Według przepisów dzielnicowy jest obowiązany raz do roku odwiedzić jedną rodzinę zamieszkującą jego teren. Nie trzeba być specjalnie bystrym, żeby uznać to za fizycznie niemożliwe w tych warunkach. Pozostaje jeszcze wysługa lat i zasłużona emerytura. Do tej pory funkcjonował system „przepracowanych lat", a nie system „granicy wieku".

Milicja zaliczana jest, nawet przez zagorzałych wrogów, do grupy zawodów najbardziej stresowych i trudno sobie wyobrazić pięćdziesięciopięcioletniego funkcjonariusza, sprawnie wykonującego swoją pracę. A taki limit wieku jest proponowany.

— *Zarabiamy 200 tys. zł miesięcznie* — słychać nagłe stwierdzenie, które najpierw zaskakuje, a potem śmieszy. Tak w jednym zdaniu obala się mity. Ale czy wszystkie?

— *Ludzie, kiedy nie potrzebują pomocy, nie wiążą milicjanta, są nastawieni anty. Kiedy ukradną komuś rower lub trzy króliki, to oczekuje się, że funkcjonariusz nagle się zjawi i zajmie tylko i wyłącznie tą sprawą, choć istnieją przecież o wiele pilniejsze. Więcej, nagminnie uważa się, że milicjant powinien być na miejscu już w chwili popełnienia przestępstwa i przyłapać złoczyńcę na gorącym uczynku. Typowy, prosty egoizm.*

Refleksje tego typu są powszechne wśród „władzy". Dzielnicowy staje się detektywem, rozjemcą w konfliktach małżeńskich, doradcą prawnym. W domu nachodzą go ludzie, którzy po trzydziestu latach pożycia zwracają się o pomoc przy podziale mienia (np lodówki). Niektórzy pytają po prostu, co mają robić. W małych miasteczkach rola milicjanta podobna jest zadaniom proboszcza (oczywiście w sferze moralności).

Pojęcia „miłość do milicji" nikt nie zna, przynajmniej w tym posterunku — prowizorce.

— *Mieszkańcy uczuleni są na nasz widok, niejednemu nóż otwiera się w kieszeni. Niebieski mundur wywołuje odruchy bezwarunkowe. Przekonałem się o tym niedawno, gdy sprawdzałem dowód osobisty młodego punka. Bez wyraźnej przyczyny zamierzył się na mnie. Musiałem się bronić, a po powrocie na posterunek czekała już na mnie mamusia „biednego chłopca" i „z wielką buzią" wyraziła swoje niezadowolenie. Ludzie się nas boją i nienawidzą zarazem.*

Funkcjonariusz musiał przeprosić, bo groziły mu nieprzyjemności.

„Rozwód z milicją" wyczuwa się na ulicach, w domach i w tym posterunku. W niebieskim mundurze nie ma człowieka, jest instytucja, aparat represji, pałki, gazy łzawiące, brutalność, polityka, rozpędzane tłumy, areszty, przesłuchania. Gdy idzie wstawiony milicjant, w cywilu, nocą, to nie idzie obywatel, to idzie milicja. Ich życie jest pod lupą, podobnie jak rodziny.

— *Moja żona miała duże problemy ze znalezieniem pracy. Nie mogła znieść atmosfery, jaka panowała zawsze wokół jej osoby. Szepty, plotki, niedomówienia. Była trefna. Syn w szkole też nie ma lekkiego życia. Na podwórku koledzy starają się go wykorzystywać, szkalować, bo jest synem tego milicjanta* — wyrzuca z siebie funkcjonariusz. Jest zdenerwowany i zmęczony zarazem. Chyba się już do tego przyzwyczaił.

Przychodzi zmierzch Brunatne ściany posterunku stają się jeszcze bardziej nieprzyjemne ukazując powolny rozpad. Rozpad dokonuje się również wewnątrz.

— *Przyszłość widzę w czarnych barwach. Nie ma żadnego napływu nowych pracowników. Boom skończył się z chwilą, gdy pękły mity o niebotycznych zarobkach i znacznych przywilejach. Prościej jest robić o wiele większe pieniądze prywatnie, niż szarpać się tutaj. O terminowym urlopie też nie ma co marzyć. Nie wiem, o której godzinie będę musiał iść za kilka dni do pracy, bo to ustalane jest w ostatniej chwili* — słychać z oddali katastroficzny głos.

Ludzie jeżeli stąd odchodzą, to tylko na wcześniejszą emeryturę. Stary milicjant nie znajdzie sobie pracy w zakładzie państwowym, bo plecak z przeszłością jest ciężki i niewygodny. Wizja posterunku jednoosobowego jest realna. Być może, kiedy rozsypie się ten budynek, gdzie obecnie urzęduje „władza", to do nowego nie będzie miał już kto się przenosić, a ludzie będą chodzili z bronią i grupowo, żeby czuć się bezpiecznie.

Nastała noc. W sąsiednich blokach gasną światła.

Spóźnione samochody przejeżdżają koło posterunku. Z oddali przebijają się śpiewy ku czci solenizanta. Trzeba spenetrować kolejny rewir, trzeba chronić obywatela.

Człowieczy los (2)

W niemieckim więzieniu

RYSZARD BINKOWSKI

Gdy Stefan Piwiński, wydobrzał, wziął się za handel. Skupował od Żydów odzież, tekstylia i sprzedawał nawet niemieckim żołnierzom.

Wcześniej Stefan Piwiński naraził się żonie Morawskiego, właściciela młyna wymuszając na niej sprzedaż 10 kg mąki, ona zaś powiedziała, że mu tegó nie zapomni. Udobruchał ją jednak wiadomością, że małżonek żyje. Po pół roku przyszła wiadomość z Węgier, że był kontuzjowany pod Zaleszczykami Być może ten fakt sprawił że stary Piwiński, który stanął przed plutonem egzekucyjnym za syna, nie został rozstrzelany...

Stefan Piwiński nie przewidywał, że po raz kolejny cudem uniknie śmierci w czasie pokoju. Otóż w 1983 roku, tuż przed Bożym Narodzeniem, jechał wieczorem na rowerze. Zgodnie z przepisami, wolno, ze światełkiem odblaskowym, i gdy był blisko domu, rąbnęło go auto z taką siłą, że sześć metrów poleciał szczupakiem. Koło w ósemkę, ubranie w strzępach, on ledwie żywy, a sprawca zbiegł. Odnalazł go **na Młodzieniaszku w Pabianicach.** Na podstawie odprysków szkła z rozbitego reflektora milicja ustaliła, że auto należy do sprawcy wypadku. Facet płakał, że ma żonę i dzieci, no i Stefan Piwiński darował mu winę, biorąc tylko odszkodowanie za odzież.

A potem, dwa lata temu, nowe nieszczęście, kolejna śmierć. Syn, rocznik 40, wdał się w ojca. Działał w „Solidarności", konspirował, doszły do tego kłopoty rodzinne, nie wytrzymał napięcia i... popełnił samobójstwo.

Wracając zaś do losu cywila na wojnie, stało się tak, że do wsi Gospodarz przyjechało gestapo z listą, na której były trzy nazwiska: Stefan Piwiński, Brack i Lolek Jakubowski, u którego znaleziono broń. Ponieważ Stefana nie było w domu, na zakładnika wzięto jego ojca. Postawiono ich pod piecem w cegielni, padła już komenda i wymierzono karabiny, gdy do oficera podbiegła Alma, siostrzenica młynarza, i zaczęła krzyczeć, że ona jest Niemką, czekała na niemieckich żołnierzy, ale nie po to, żeby rozstrzelali Polaków, którzy u Niemców pracowali i chronili ich dotąd od złego. I do egzekucji nie doszło

— Byłem w strachu. Przypomniałem sobie, że spałem w jednym łóżku z Braunem, tym tkaczem, u którego pracowałem. Ale na początku września żołnierze polscy przywiązali Brauna do konia, zawlekli na Starową Górę, nie zdążyli jednak rozstrzelać. Braun podpisał volkslistę i został porucznikiem żandarmerii. Pomyślałem, że zabije go i ucieknę w jego mundurze. Braun zapewnił mnie, że nic złego mi się nie stanie Napisał oświadczenie, że przed wojną przechowywałem jego broń, a landrat ze Rzgowa opatrzył to urzędową pieczęcią. I tak nie byłem winny swego. Zwróciłem się do Arbeisantu w Łodzi, żeby mnie wysłali na roboty w Rzeszy, to skierowali do cegielni. Kombinowałem, szmuglowałem z Protektoratem. W pewnym okresie zetknąłem się ze starszą panią, nocowałem u niej w oficynie, w Piotrkowie. Ona werbowała do partyzantki, ale ze względu na żonę i syna zrezygnowałem...

Później Stefan Piwiński pracował w „Dobrzynce" w Pabianicach. W marcu 1942 r. wybrano sześciu młodych ludzi i zaprowadzono na komisję lekarską w fabryce Kindera. Wybrańcy, a wśród nich Stefan Piwiński, przesiedzieli trzy dni w więzieniu przy ul. Kopernika w Łodzi, by potem przez dwa dni jechać w głąb Rzeszy, a konkretnie do Leverkusen nad Renem. Były tam olbrzymie zakłady chemiczne firmy Bayer, sześć portierni i 48 tys. robotników, których karmiono zupą z brukwi.

— Trafiłem do młyna farb. Cholernie ciężko, trzeba było ręcznie ładować 400-kilogramowe beczki z rdzą na wózek i zsypywać do młyna. Mimo gazmaski człowiek dusił się, a wieczorem wszystkie barwy na ciele.... Czując, że w miesiąc się wykończę, zacząłem symulować. Badał ten sam lekarz, co przyjmował mnie w Pabianicach, i napisał, że zdrowy, lecz prozniak. Cudem umknąłem przed poznaniakiem w bokserskich rękawicach, który zaprawiał leserów, żeby im obrzydzić symulację...

Stało się tak, że kazano mu zmiatać szczotką pyły. Pluł, kaszlał i jęczał, że cała jego rodzina wymarła na płuca. Lekarza, który pojechał po nowy transport robotników, zastępowała kobieta. Stwierdziła, że Piwiński jest zdrowy. Zaczął płakać, że chory, że umrze, więc z litości zapisała mu lekką pracę w kolumnie podwórkowej. Razem z kolegą Binderem, biegaczem z fabryki Krusche-Endera, dostali metalowe bańki na plecy, bambusy z opylaczem i opryskiwali drzewa u bogatych Niemców. Piwińskiemu nie bardzo się chciało, więc zamiast na drzewa, spuszczał płyn na ziemię. Widząca to z piętra Niemka powiadomiła jednookiego strażnika i sabotażyście groziła przyjemność z gestapo. Na szczęście trafił do 14-hektarowego ogrodu, gdzie czekała go pielonka. Narzekał na nerki, schylać się nie mógł, więc naświetlali go po trzy godziny w budce z żarówkami, a potem zagnali do magazynu z żelastwem, które układało się na regałach.

Kiedy z Hrubieszowskiego dotarł transport chłopców z obławy, Stefan Piwiński, dowiedział się, że to żołnierze Armii Krajowej. Postanowił uciec do partyzantki. Napisał do żony, aby mu przysłała garnitur, osobno spodnie i marynarkę, to choć jedna paczka dotrze w razie bombardowania. Powiadomił brata, który służył u bauerki na Pomorzu, że do niego przyjdzie. Zwierzył się ze swych planów Leonowi Krawczykowi z Pabianic, który też miał chęć na ucieczkę, lecz nie znał niemieckiego. 18 lipca 1942 r., gdy miał już ubranie, kapelusz tyrolski i brązową teczkę, opuścili barak i przeszli pod drutami na zewnątrz.

— Szalała burza, lał deszcz, wpadliśmy do sekromu obok przystanku, wskoczyliśmy do tramwaju i szczęśliwie dotarliśmy do Kolonii. Na dworcu kupiłem bilety na pociąg Kolonia — Berlin, znalazłem przedział, w którym siedział żandarm i Niemka z dwoma synami z Hitlerjugend. Posadziłem Leona przy oknie, kazałem mu zakryć głowę zasłonką i udawać, że śpi, bo on ani be ani me. Spaliłem moją „placówkę" i zbędne dokumenty, które mogły mnie narazić na szwank, a tu na korytarzu coraz głośniej słychać „Ausweis!". Podeszła kontrola, zajrzała do przedziału, pomyślała pewnie, że jedzie cała rodzina, i poszła sobie. „Nasz" żandarm wylazł na korytarz, zapalił, a ja za nim. Opieram się o okno i też palę. W porządku. Następny kontroler zawadził mnie hełmem i poszedł dalej. A do Berlina to było 28 takich kontroli... Ale w pewnej chwili pomyślałem, że to już koniec. Niemka zagadała do mnie, ja odpowiedziałem, ale ona szwargotała innym dialektem, a ja uczyłem się języka od Niemców z Polski, więc szczeniaki z Hitlerjugend zmiarkowały, że coś nie tak, i zasuwają, że ja nie Niemiec. Matka syknęła, żeby pozamykali gęby, no i jakoś udało się. Nie mówiłem perfekt po niemiecku, ale miałem szczęście trafić też na porządnych Niemców.

Dopiero w Berlinie — jak to mówią — zaczęły się schody. Dosłownie i w przenośni. Bo dworzec wielki i pełen tajniaków. Żeby nie zwracać na siebie uwagi, Stefan Piwiński zachował się jak typowy Niemiec. Usiadł z Krawczykiem przy stoliku i zamówił dwa piwa. Tylko jak długo, cholera, można, pić piwo? Zebrał się i ruszył na poszukiwanie kasy. Zanim znalazł, przeżył kupę strachu jadąc po raz pierwszy w życiu ruchomymi schodami. Wreszcie znaleźli się w pociągu do Szczecina.

Stoją w korytarzu, a obok nich myśliwy z przytroczoną do pasa ubitą dziką kaczką.

— Panowie daleko? — zagaduje myśliwy.

— Na roboty — odpowiada Piwiński.

— A skąd?

— Z Polski. My na ochotnika.

— To dobrze! A z jakiego miasta?

— Litzmanstadt.

— Znam, znam!

Rozgadali się i niemal zaprzyjaźnili, tak że przy kontroli myśliwy z góry mówił, że jadą z nim ochotnicy na roboty z Łodzi. Ale w Szczecinie trzeba było wysiąść, gdyż pociąg dalej nie jechał. Kontrolują wszystkich, nawet marynarzy, trzeba więc było uciekać. Dostali się do pociągu, ale nie do tego, co trzeba. Wysiadka. A w kasie Niemka pyta:

— Jest zezwolenie na wyjazd?

— A to konieczne?

— Konieczne. Trzeba iść na policję i uzyskać zezwolenie.

A niech to szlag trafi, o tym Stefan Piwiński nie pomyślał. Uciekli więc z dworca na ślepo, w zaciemnione miasto. Trafił, że znaleźli się w parku i po omacku wpadli do schronu, gdzie przesiedzieli do świtu.

— Nie wiedziałem, gdzie jesteśmy. Zakradliśmy się pod murami na ulicę, która okazała się główną ulicą, ale potem straciłem orientację i omal nie wleźliśmy na lotnisko. Ominęliśmy je i polami dotarliśmy do małej stacji, na której było pełno ludzi z torbami i koszami. Chciałem wykupić bilety, a tu znowu żądają zezwolenia na wyjazd. Poprosiłem dyskretnie starego Niemca i ten wykupił dla mnie bilety. Pociąg był nabity, bo wszyscy jechali na jagody i grzyby, więc można było uniknąć kontroli, ale pech chciał, że wysiedliśmy na złej stacji, i drałowaliśmy 15 kilometrów do tej wsi, gdzie służył mój brat.

Trzeba przyznać, że przyjęto ich godnie. Bauerka widząc w nich przyszłych parobków dała im obiad, podwieczorek, kolację, zadbała o nocleg. Stefan Piwiński spał przy stajni, w łóżku brata. Miał dobre sny, tylko nie wiedział, że brat gospodyni służył w tajnej policji i jako patriota wywiązywał się rzetelnie z obowiązków donosiciela.

— O świcie coś mnie zaczęło tarmosić i poszarpywać. Odemknąwszy jedno oko zobaczyłem mordę żandarma. Przewróciłem się na drugi bok i udaję, że śpię. Ale tylko przez pół minuty, bo tamten trupa by zbudził... Zabrał nam dokumenty i prowadzi przez podwórze. Zobaczyłem, że brat czyści konie, zapytałem więc, czy mogę się z nim pożegnać. Żandarm zezwolił. Józek, mówię przy pożegnaniu, daj mi parę groszy. Józek dał mi 20 marek i spytał, na co mi pieniądze, do czego zmierzam. Odszepnąłem, że będę wiać. To by nawet było możliwe, bo żandarm prowadził nas do stacji bez budynków, ot, taki przystanek w polu. Zanim doszliśmy do torów, zaprosiłem żandarma na piwo. Uspokoił mnie, że pojedziemy do Arbeitsamtu. O ucieczce nie było mowy, bo z bronią gotową do strzału wsadził nas do pociągu...

Zandarm zawiozł zbiegów do Swinoujścia i doprowadził do promu. A tam stał już wielki gestapowiec, który salutując przejął pojmanych oraz ich papiery.

— Idziemy równym krokiem, on chodnikiem, my zaś po bruku. Znalazłem taki żeton, a właściwie to było odznaczenie za dobrą pracę i żeby się podchlebić, oddałem gestapowcowi. Wziął, a jakże, podziękował. Szepnąłem do Krawczyka, że nie będzie tak kiepsko, przeżyjemy...

Na filmach ogląda się gestapowców, którzy nic nie robią, tylko tłuką i zadręczają więźniów. A oni potrafili też stwarzać pozory łagodności, dobroci. Po to, żeby więzień uspokoił się i nie próbował ucieczki. A potem pełne zaskoczenie i w łeb go! Stefana Piwińskiego też zaszokowało, bo Arbeitsamt okazał się więzieniem. Takim z trzema bramami i otoczonym murami podwórzem.

— Skapowawszy, że nie będzie przyjęcia i skierowania do pracy, lecz śledztwo, szepnąłem do Krawczyka, żeby się nie załamał i nie puszczał farby. Żadna tam ucieczka do Polski, żadna partyzantka... Staliśmy na korytarzu, drzwi pokoju były uchylone i oni coś z tego usłyszeli. A że zrozumieli, to nic dziwnego, gdyż głównym przesłuchującym był jakiś Ślązak. Ustawili nas twarzą do ściany, z rękami na karku, i tak staliśmy. Potem wzięli mnie. Patrzę, a na biurku leży pistolet i harap. A za biurkiem śmieje się rozwalony hitlerowiec, właśnie ten Ślązak.

— Za coś uciekał, pierunie? — pyta.

— Nie uciekałem. Chciałem się zgłosić na ochotnika do pracy.

— Mów prawdę! Bo my wszystko o tobie wiemy!

A skąd? — wyrwało mi się.

— Pierunie! Z Leverkusen poszły za wami listy gończe!

No więc rad nierad Stefan Piwiński zaczął go przekonywać, że naprawdę to on nie wytrzymywał harówki w fabryce, a że pochodzi ze wsi, więc chciał zmienić robotę i pracować w rolnictwie. Zamontowali wszystko, podpisał protokół i na razie szlus...

— Koledze Krawczykowi, który nie umiał po niemiecku, nie poszło tak gładko. Słyszałem z korytarza, jak jęczał, gdy okładali go harapem. Potem zobaczyłem przy myciu, że plecy ma całe czarne od bata. Ale to był twardy chłop. Leon Krawczyk do dziś żyje...

C.D.N.

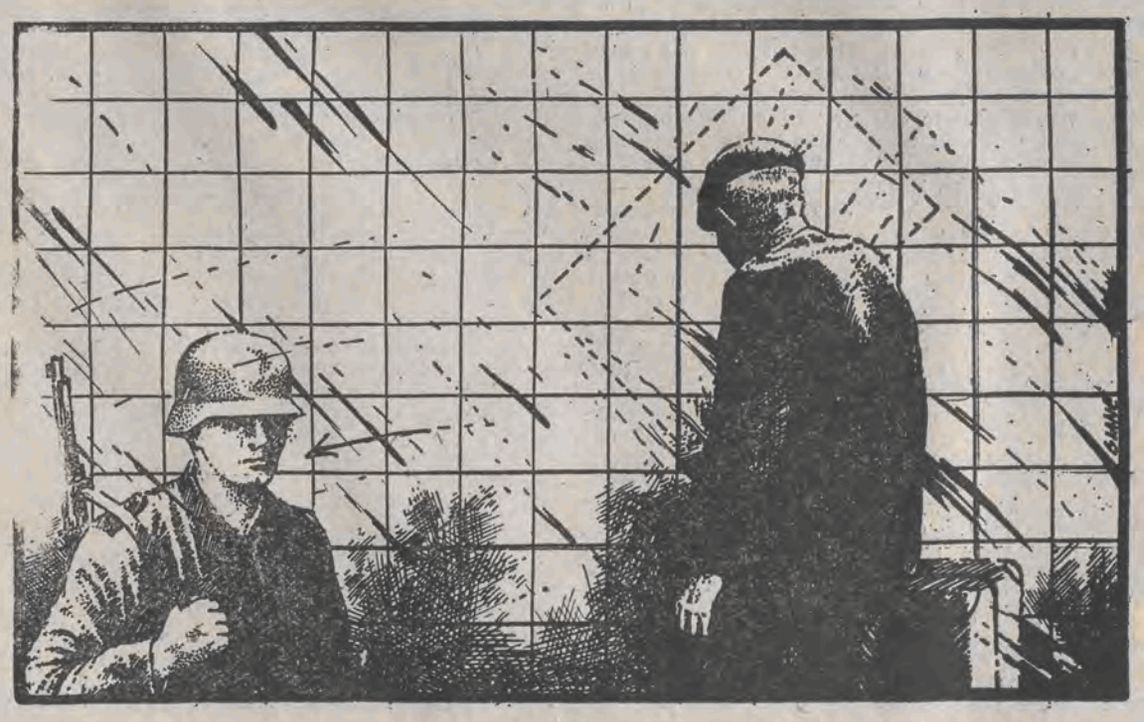

Rys. Janusz Szymański-Glane

GRZEGORZ GAŁASIŃSKI PREZENTUJE:

Pożar

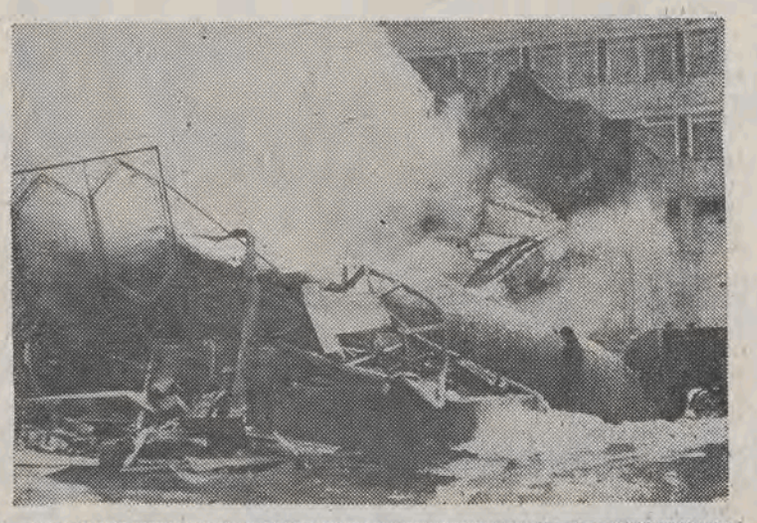

1.XII.1989 r. spłonął sklep chemiczny przy ul. Traugutta.

DEBIUT

MAŁGORZATA BURZYŃSKA

★ ★

starzec
próchniejący mandragory korzeń
oderwany od tkanki jak od żywej wody
jeszcze chce dzielić się nowiną
ale nikt nie pomaga w jej zdobyciu
ani też kwiat żaden
nie chce słuchać mądrości korzenia
więc co wieczór
oddaje nieopisanym gestem
wszystko
najbardziej mądrości potrzebującemu
naszemu Wszechniemogącemu
bez wyliczania jego przewin

Łódzka giełda

Z inicjatywy Komisji Zakładowej NSZZ „Solidarność" przy Bibliotece im. Ludwika Waryńskiego 18 listopada br. odbyła się pierwsza w naszym mieście ogólnołódzka Giełda Wydawnictw Niezależnych.

Jak odnotowuje opublikowana w 1988 r. w Paryżu, przez oficynę „Editions" (Spotkania), najpełniejsza jak dotąd „Bibliografia Publikacji Podziemnych w Polsce", opracowana przez Józefę Kamińską („biały kruk", cena jej dochodzi podobno na warszawskiej giełdzie wydawnictw niezależnych do 200 tys. złotych), w okresie od 13 grudnia 1981 do końca czerwca 1986 ukazało się w „drugim obiegu" 3729 pozycji — w tym 1456 tytułów czasopism, 2174 książek i broszur oraz 99 kaset.

Łódzka książnica gromadziła te wydawnictwa od dłuższego czasu i dziś może chlubić się jednym z najzasobniejszych zbiorów książek, czasopism, biuletynów i druków nieoficjalnych.

Nic więc dziwnego, iż na giełdzie do najbardziej obleganych należało stoisko, gdzie nabyć można było dublety biblioteczne. „Na pniu" zakupione zostały emigracyjne wydawnictwa paryskie i londyńskie — między innymi opublikowane w Londynie **„Poezje wybrane" Jana Brzękowskiego.** Momentalnie znikały unikatowe krajowe edycje, takie jak **Felicjana Sławoja-Składkowskiego „Prace i czynności rządu polskiego we wrześniu 1939 r.", „Marzec 1968"** (broszura firmowana przez Towarzystwo Kursów Naukowych), raporty Konwersatorium „Doświadczenie i Przyszłość" (D i P).

Kolekcjonerzy biuletynów drugoobiegowych mogli tutaj „upolować" niektóre brakujące im do kompletu numery „Solidarności Ziemi Łódzkiej", „Wolnej Polski" (organu Konfederacji Polski Niepodległej, który ukazywał się w Łodzi), „Szańca" „Oświaty niezależnej", „Robotnika".

Najbardziej tłoczno było przy stoisku „Niezależnej księgarni", prowadzącej od niedawna w Łodzi pierwszy stały punkt sprzedaży książek i czasopism drugiego obiegu przy placu Wolności 14. Rozchwytywano przy tym stoisku m.in. publikacje: **Wacława Jędrzejewicza „Józef Piłsudski 1867—1935"** (Spółdzielcze Wydawnictwo „Profil", Wrocław 1989), **Wacława Zagórskiego „Wicher wolności"** (Wydawnictwo „Przedświt", Warszawa 1989) — uznawany przez historyków za jedno z najciekawszych wspomnień z Powstania Warszawskiego, głośną na Zachodzie powieść znanego emigracyjnego pisarza **Tadeusza Nowakowskiego „Obóz wszystkich świętych"** (oficyna wydawnicza „Pokolenie", Warszawa 1989).

Giełda umożliwiła Bibliotece im. L. Waryńskiego uzupełnić zbiory o kilkaset brakujących książek i czasopism. Chętnie zakupi ona od osób prywatnych publikacje niezależne.

Ogólny dochód z giełdy wyniósł ponad 100 tysięcy złotych i zostanie w całości przeznaczony na pomoc finansową dla byłych pracowników biblioteki — emerytów i rencistów, znajdujących się w trudnej sytuacji.

Następna, noworoczna już giełda wydawnictw niezależnych odbędzie się w Bibliotece im. L. Waryńskiego — jak poinformowali nas zdopingowani sukcesem organizatorzy — 7 stycznia 1990 r.

JANUSZ KOZŁOWSKI

Kogo i na co będzie stać?

Wszystko na to wskazuje, że nawet ludzie najwyższego szczebla kultury nie wiedzą jaka jest jej przyszłość. Bałamutność publicznych oświadczeń, iż finansować będzie się to, co najwartościowsze — niczego nie rozjaśnia. Któż to bowiem ma stanowić o tym, co jest bądź będzie najwartościowsze w kulturze? Czy np. gromadzone latami skarby w muzeach można będzie podzielić na najwartościowsze i mniej cenne, a zatem skazane na... Właśnie!, na co? Zniszczenie? Przekazanie? A jeśli, to komu? Tym „najwartościowszym"

Pół biedy z takim rozumowaniem — czas wszystko wyjaśni (oby tylko nie dokonał większych spustoszeń!), gorzej z konsekwentnym stanowiskiem, decyzjami w takiej czy innej sferze kultury. Wystarczy przypomnieć publiczne deklaracje w sprawie stawek autorskich (negocjowanych między wydawcą a autorem — „niech zarabia lepszy", po czym ustanowionych „odgórnie"), reglamentacji papieru itd. Nie mówiąc już o wziętych z sufitu dwudziestu placówkach teatralnych, które mają znaleźć się pod ochroną finansową centrali, tylko licho wie, kto będzie o tym stanowił? Tej niekonsekwencji, niespójności składanych deklaracji nie zatuszują słowa samozadowolenia w rodzaju: „kobieta zmienną jest"...

W warunkach, w jakich znalazła się kultura lepsza od mamideł, i zdrowsza, jest gorzka prawda: fatalna sytuacja finansowa kultury, podobnie jak całej gospodarki — pieniędzy jest mało i więcej nie będzie. Tego stanu rzeczy nie zmienią głosy drugiej strony, w rodzaju: „na całym świecie kultura jest dotowana". Jest, a raczej bywa, owszem. Tylko nikt nie pyta: jakie dziedziny kultury i przez kogo? Że finansują ci, których na to stać, finansują zaś to, co przynosi dochód bądź prestiż. Przyzwyczajeni latami do „skrzydełek opiekuńczych", „parasoli ochronnych", do tego wszystkiego, co wytworzyło powszechne przekonanie w rodzaju: „jeszcze nie jest tak źle, żeby nie mogło być gorzej", bądź: „jakoś to będzie" — wciąż żyjemy w biernym oczekiwaniu na cud i — miast podejmować próby odnalezienia się w nowych warunkach — biadolimy i rozrabiamy, gdzie się da i kogo się da.

Przykładów zaradności i poszukiwania dróg wyjścia z tej niełatwej sytuacji mamy już w kraju wiele. Zapowiedź zmniejszenia dotacji dla instytucji kulturalnych „drugiej" kategorii spowodowała niepokój w tzw. prowincjonalnych środowiskach artystycznych. to sprawiło, że do grudziądzkiego Teatru Ziemi Pomorskiej zaproszono dyrektorów podobnych teatrów — z Gniezna, Jeleniej Góry, Koszalina i Wałbrzycha, by omówić powstałą sytuację. W rezultacie postanowiono zawiązać Federację Teatrów Terenowych, której celem jest m.in. stworzenie banku informacji o aktorach pozostających bez obsady oraz wymiana doświadczeń w zabezpieczaniu finansowego bytu teatrów.

Pojawiły się też inne, bardziej konkretne inicjatywy, jak np. w Krakowie: w podziemiach wzniesionego w II połowie XIII w. krakowskiego ratusza, Teatr Satyry „Maszkaron" urządza własną kawiarnię. Prace modernizacyjne wykonują społecznie górnicy z Zakładu Budowy Kopalń w Bytomiu. W kawiarni, czynnej do 1 w nocy, znajdzie się m.in. stylowy bufet (nb. rekwizyt ze spektaklu „Gargantua"), zaś sam lokal zostanie powiększony o piwnicę, w której urządzona będzie izba... tortur z wszelkimi rekwizytami starych katowni i XIV-wiecznych lochów...

Przykładów zaradności pojawiło się już wiele i to w różnych dziedzinach kultury. Może by więc i w naszym mieście pokusił się ktoś, jeśli nie o jakąś ciekawą inicjatywę to przynajmniej o bank informacji gromadzący różnorakie, a pomysłowe przedsięwzięcia. Jednakże zanim to nastąpi warto już teraz odpowiedzieć sobie na pytanie (w związku z mitologizacją modnych pojęć: samofinansowanie, zarabianie itp.): na kim przyjdzie nam zarabiać? Kogo i na co będzie stać?

MAREK BRUK

PESTKI DYNI

Podoba mi się pomysł stworzenia STALINLANDU, żywego muzeum-skansenu lat minionych. Tylko jedna wątpliwość: jak będą się mianowicie czuli różni dzisiejsi działacze, nowi prominenci, weterani wczorajszej opozycji — a wielu ich, wielu — gdy spotkają tam swoje nazwiska i swoje dzieła? A spotkać muszą, gdyby miał to być rzeczywiście poważny ośrodek dokumentacyjny i dydaktyczny. Na przykład dział dokumentacji filmowej: leci oto Polska Kronika Filmowa, ze stosownymi dla STALINLANDU kawałkami i sympatycznie przekonywający głos aktora Andrzeja Łapickiego komentuje „osiągnięcia i sukcesy..." Oj, nie podobałoby się to obecnemu senatorowi, który nie tak dawno jeszcze twierdził, że wolnym to się czuł jedynie przed wojną i w czasie okupacji...

Rzuciłem przykład pierwszy z brzegu — lista twórców — eksponatów w STALINLANDZIE: książek, obrazów, piosenek, rzeźb, filmów, architektury i całej reszty nie na rozmiary skromnych „Pestek". Nawiasem mówiąc znaleźliby się i tacy, którzy byliby dumni, że w owym muzeum są, na przykład małżeństwo Krajewskich malujących latami z upodobaniem i oddaniem „piękny socrealizm", a i dziś jeszcze obstających przy twardym realiźmie, na płótnach naturalnie; no cóż, Krajewscy do opozycji nigdy się nie zapisali.

We Francji, Holandii i Belgii spore pieniądze robili i robią nadal lekarze, przywracający panienkom utracone w pracy... dziewictwo. Chodzi tu o dziewczyny z Turcji, krajów arabskich, z północnej Afryki, które czasowo wyemigrowały, aby zarobić na posag pracując w charakterze służących, sprzątaczek w hotelach, pomocnic w kuchniach itp. Zarabianie w ten sposób pieniędzy wymaga czasu i ciężkiej pracy. Dlatego te ładne — a większość z nich jest ładna, przynajmniej we wczesnej młodości — uprawiają intensywnie prostytucję na wszelkie możliwe sposoby, gromadząc skrzętnie kapitał na przyszłe życie. Nie sposób nie stracić przy takiej pracy dziewictwa. Ale religia Islamu i obyczajowość regionów skąd owe dziewczyny pochodzą ma swoje rygorystyczne wymagania: — panna młoda musi być dziewicą i basta. Dlatego też, kiedy już jakiś tam kapitał się uskładał i pora wracać do rodzinnej wioski i narzeczonego, dziewczyna idzie do lekarza i każe sobie przywrócić utraconą cześć. Zabieg jest ponoć prosty, niemal kosmetyczny, a odrobina aktorstwa w łóżku gwarantuje pełny sukces nocy poślubnej. I wszyscy potem żyją długo i są szczęśliwi...

Kiedy tak obserwuję wysiłki co poniektórych „nawróconych" na nową wiarę czy nowe obyczaje aby to, tamto, owamto wymazać, wyrzucić, zataić, przeinaczyć w swoich życiorysach i dawnych poglądach — przychodzi mi zawsze na myśl ów proceder p r z y w r a c a n i a d z i e w i c t w a. I jeden i drugi służy jakiemuś tam szczęściu. Osobiście większym szacunkiem i sympatią darzę sezonowe kurwy z Turcji, Magrebu...

Kiedy gruchnęło, że Aneta Kręglicka została uznana za najpiękniejszą w tym roku kobietę świata, mój znajomy zadzwonił do mnie późną nocą i wykrzyczał mi w zaspane ucho: — Widzisz, gdybyśmy nie zdeptali komuny, to nigdy nie mielibyśmy Miss Świata!

W „Tygodniku Kulturalnym" piszą o orle: „...na ratuszu poznańskim jest zielony, na Grobie Nieznanego Żołnierza brązowy, na studni Neptuna w Gdańsku złoty, na odznace PRON biało-czerwony, w jednej z sal sejmowych czarny, zaś na fotelu prezydenta tamże brunatny". Tygodnik „Wprost" pyta: „Którego koronować"? Mam swoje propozycje co do nakryć głowy dla każdego: zielony — ustroić w wianek ruciany; brązowy — miedzianym hełmem; złoty — koroną: idź złoto do złota; czarny — w cylinder używany w dyplomacji; brunatny — w mnisi kaptur; biało-czerwony, pronowski — niech zostanie z gołą głową; za karę i ku przestrodze.

ANDRZEJ GRUN

P.S. Dla bigotów seks jest grzechem i świństwem; dla austriackiej aktorki filmów erotycznych Nathalie Uher, która nie używa środków podniecających i wszystkie sceny zbliżeń przed kamerami przeżywa „prawdziwie i do końca", jest „promienną cudownością". Tak się dzieje zawsze wtedy, kiedy człowiek lubi to, co robi i robi to, co lubi.

Ojcowie i dzieci

MACIEJ ŚWIERKOCKI

W Polsce i na całym niemal świecie **William Wharton** zdobył sobie niezwykłą popularność swą debiutancką powieścią **„Ptasiek"**, uznaną za jedno z najciekawszych zjawisk we współczesnej literaturze amerykańskiej. Książka stała się artystycznym wydarzeniem, na jej kanwie powstał także znany film **Alana Parkera**, a zachęcony sukcesem Wharton rychło napisał dwie następne powieści, **„Tato"** i **„W księżycową jasną noc"**. Tę ostatnią książkę wydał w 1988 roku „Czytelnik", i choć zgodnie z oczekiwaniami zniknęła ona błyskawicznie z księgarskich półek, to jednak tym razem czytelnicy zachowywali dyplomatyczne milczenie.

„W księżycową jasną noc" okazało się być powieścią jakby wykalkulowaną, skonstruowaną na zimno, chciałoby się powiedzieć, zbyt literacką. Przypuszczam ponadto, że wielu odbiorców znających poprzednią książkę Whartona nie oczekiwało od autora zmiany fabularnego klimatu swej twórczości, odejścia od nastroju marzeń i nieziszczalnych pragnień, od dawna przecież hipnotyzującego czytelników swoistą tajemnicą romantyczności. Toteż kiedy ukazała się w Polsce następna powieść Whartona, „Tato", można było spodziewać się zasadnie kolejnych niespodzianek ze strony pisarza.

Wydaje się jednak, że nawet jeśli ktoś przystępując do lektury „Taty" oczekiwał, iż oto za chwilę spomiędzy kartek wyskoczy jak diabeł z pudełka jakiś zaprogramowany przez autora złośliwy chochlik, to Whartonowi i tak udało się zmylić czujność „przeciwnika". Dziwna to zaiste książka, dręcząca lektura, jak pisał Gombrowicz o Sienkiewiczu — niby drugorzędna, niby kiczowata i płytka, a jednak oderwać się od niej nie możemy.

Jest „Tato" sagą rodzinną, opowieścią o trzech pokoleniach ludzi niekoniecznie mieszkających pod jednym dachem, ale tworzących (w rzeczywistości, w praktyce) podstawową komórkę społeczną, którą spaja nie papier, nie biurokratyczne zarządzenia, nie pompatyczne i skompromitowane deklaracje lecz miłość. Miłość głęboka i niekłamana, a zarazem miłość zwyczajna, to znaczy taka, która nie wymaga żadnych specjalnych okazji, by mogła się ujawnić i zademonstrować swą potęgę. Jeśli „Ptasiek" był, jak chcą niektórzy krytycy, powieścią o pięknej przyjaźni, to „Tatę" z powodzeniem nazwać można powieścią o pięknej miłości, miłości niemal zupełnie przez współczesnych autorów opuszczonej, „nudnej", codziennej, rodzinnej. Nie chcianej i nie czytanej, nie przynoszącej wydawcom żadnych dochodów. Ta książka nacechowana jest więc ciepłem i spokojem, towarami nie znajdującymi ostatnio nabywców, i w tej sytuacji podziw budzić musi sposób, w jaki udaje się Whartonowi wytworzyć atmosferę zagrożenia, napięcia, nieustannego oczekiwania na gwałtowny zwrot wydarzeń. Jednak nic takiego nie następuje, narracja rozwija się swym własnym, powolnym rytmem, podporządkowanym naczelnej idei spajającej utwór w konsekwentną całość, będącą odbiciem nie zawsze fascynującej przecież realności międzyludzkich stosunków w Ameryce epoki komputerów czwartej generacji. Autor jak gdyby grozi tylko, że za chwilę znienacka zaatakuje, że zburzy zarysowany na początku powieści porządek — i dzięki temu do końca podsyca ciekawość czytelnika, tak naprawdę do końca nigdy jej nie zaspokajając.

A mimo to pozostaje „Tato" lekturą dręczącą — z jednej strony otrzymujemy znakomicie napisane partie retrospektywne, nowoczesny i wiarygodny dialog, z drugiej zaś wieje nadmiernym sentymentalizmem, niektóre epizody rażą dłużyznami, nie wnosząc nic istotnego do i tak niezbyt skomplikowanej akcji. Denerwuje powtarzanie technicznych chwytów zastosowanych przez Whartona w „Ptaśku", przywoływanie podobnych wątków i motywów, siłą rzeczy będących już produktami „drugiej świeżości". „To niedobre, to melodramatyczne, to cios poniżej pasa" — źli na siebie, że daliśmy się złapać w pułapkę, gniewamy się też na autora, ale nie możemy przestać czytać. I doprawdy, nawet po gruntownym przestudiowaniu tej powieści niełatwo się zdecydować, czy jest to książka wybitna, czy tylko uczciwie poprawna. Rozbieżność ocen nie odbierze jej jednak ani ciepła, ani tak unikalnej w naszych czasach serdeczności dla ludzi.

William Wharton — „Tato", „Czytelnik", Warszawa 1989, nakład 30 000 egz., przekład Jolanty Kozak.

Rys Sławomir Łuczyński

Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata

OBOWIĄZEK UCZCIWYCH

W szkicu pod takim tytułem **Tadeusz Różewicz** przytacza kilkanaście listów z rozmaitych redakcji. Każdy zawiera „wyrok" skazujący utwór literacki na byt w kręgu milczenia. Oto kilka z nich, które podajemy za **„Anteną"**:

„Twórczość". 7 sierpnia 1952. „Drogi Panie Tadeuszu. Przesyłam Panu decyzję Ważyka, który uważa, że «Spotkanie w Nowej Hucie» nie nadaje się do publikacji oddzielnej (w piśmie). Wiersz jest piękny (osobiście mi się podoba), ale właśnie do druku w tomie. Prosimy o pamięć i inne utwory. Serdecznie pozdrawiam Pana. Sekretarz Redakcji Zbigniew Bieńkowski". **„Nowa Kultura"**. 30 lipca 1952. „Drogi Tadeuszu. «Gałąź» bardzo dobra. Chciałem, ale się nie zgodzili. Że w piśmie — nie, a w książce — tak. Przyznaję — jest w tym pewna racja, ale mimo wszystko chciałem. Po raz nie wiem który widzę, jak doskonałym jesteś pisarzem. Szkoda, że nie można. Ściskam dłoń. w/z Tadeusz Konwicki — Wilhelm Mach. **„Nowa Kultura"**. 3 kwietnia 1953. „Kochany Tadeuszu. Opowiadanie satyryczne «Ni pies ni wydra», literacko interesujące jak wszystko co piszesz, a treściowo kłopotliwe, przekazałem decyzje kolektywu. Decyzja ta wypadła odmownie. Podług twego życzenia — skrypt zwracam. Z pozdrowieniem Wilhelm Mach". **„Nowa Kultura"**. 14 maja 1954. „Drogi Tadziu. Reportaż Twój wywołał głębokie wzburzenie wśród czytających. Bratny miotał się wściekle, ciskając na Twą głowę gromy. Powiada, że to w ogóle kpiny. Mnie się nawet Twoja praca podobała i jest — wydaje mi się — dość cienko zrobiona. Przekazaliśmy Putramentowi, który orzekł, że nie do druku, chyba że następna część precyzuje i jakoś ustawia reportaż. Wobec tego podaję Ci do wiadomości owe sądy i zwracam Ci manuskrypt. Łączę pozdrowienia T. Konwicki".

„Adam Ważyk napisał gdzieś: «Każdy uczciwy intelektualista ma swoją godzinę wyzwolenia. Moja godzina wybiła w 1955 r. Szkoda, że tak późno... Dla innych ta godzina wybiła znacznie wcześniej, ale ich utwory nie mogły się objawić...» — napisał Tadeusz Różewicz i podaje dalej — „Ważyk we wspomnieniach (a właściwie laurce napisanej dla siebie w 75-lecie urodzin) pisze: (...) zetknąłem się w Konstancinie w domu Ministerstwa Zdrowia z cichym, łagodnym staruszkiem, który towarzyszył tam swojej chorej żonie. Był to właśnie Jakub Berman. Razem oglądaliśmy w telewizji posiedzenie Sejmu, po którym nastąpiły — Ursus i Radom. Był to rok 1976... (...) Matuszewski i Markiewicz powinni opisać nie tylko dzieje „Poematu dla dorosłych", ale dzieje różnych innych poematów pisanych dużo wcześniej... muszą też opisać atmosferę, w której sami pracowali i żyli...

Jeśli tacy ludzie, jak wy, tego nie opiszecie, to Berman pozostanie w pamięci jako cichy, łagodny staruszek, który w Biurze Politycznym opiekował się kulturą i bezpieczeństwem... Tak, panowie, to jest wasz obowiązek, nie tylko jako historyków literatury, ale i uczciwych ludzi..."

„KAMIEŃ OBRAZY"

„Książka **Piotra Kuncewicza** — pisze **„Wprost"** — **„Agonia i nadzieja. Literatura polska po 1918 r."**, napisana przystępnie, bez tzw. żargonu naukowego (fragmenty drukował „Przegląd Tygodniowy") spotkała się z niechęcią środowiska naukowego. Kiedy pierwszy tom oddano do recenzji, próbowano storpedować druk. Kamieniem obrazy stał się właśnie język. „Moja książka — powiedział Kuncewicz — nie może ucieszyć środowiska naukowego z tej prostej przyczyny, że współczesna literatura polska od wielu lat jest przedmiotem opracowania instytutów i uniwersytetów, a my ciągle czekamy na zbiorowe dzieło. Wcale się nie dziwię, że patrzą na mnie krzywo. Na pewno będą próby deprecjacji mojej pracy".

Na ocenę czytelników przyjdzie poczekać do chwili ukazania się pracy P. Kuncewicza. Kiedy — nie wiadomo wiadomo jednak, że pisze on ostatni tom, poświęcony prozie po 1956 roku.

NIE TYLKO U NAS

W zastraszającym tempie zmniejsza się liczba kin. Nic dziwnego — konstatuje **„Wprost"** — na blisko 1700 istniejących, rentownych jest... około stu. Głównie w dużych miastach, przeważnie w śródmieściu. Reszta kin prosperuje dzięki dotacjom Okręgowych Instytucji Rozpowszechniania Filmów. Gdy jednak dotacje zostaną cofnięte (nastąpić

Trzeba mieć oczy i uszy otwarte...

— rozmowa z IWONĄ KASIĄ PAWLAK.

IWONA KASIA PAWLAK, nasza eksportowa gwiazdka filmowa („Nad Niemnem", „Gloss", „Brtherhood of the Rose"), aktorka Teatru Nowego w Łodzi („Romanca", „Coś w rodzaju miłości", „Sie kochamy") gra rolę pani Zero w najnowszej premierze rodzimego teatru „Maszyna do liczenia" w reż. Eugeniusza Korina.

— Jakie wrażenie zrobiła na pani „Maszyna do liczenia" zaprezentowana po raz pierwszy na Przeglądzie Spektakli Szkół Teatralnych w ub. roku?

— Ogromne. Teraz my próbujemy realizować założenia reżysera pracując w zespole o zróżnicowanych możliwościach aktorskich, wiekowych i doświadczeniu zawodowym. To co obejrzałam w wykonaniu wrocławskich dyplomantów było zrealizowane z jednym rocznikiem studentów. Mam nadzieję, że łódzkie przedstawienie z racji naszych doświadczeń zawodowych wypadnie jeszcze korzystniej.

— Z reż. Eugeniuszem Korinem spotkała się pani na własnym dyplomie „Ballada o ostatnich" na scenie Teatru Studyjnego w Łodzi?

— To była bardzo ciekawa praca i po jej zakończeniu marzyłam, żeby raz jeszcze spotkać się z Eugeniuszem Korinem. Obecne spotkanie było wielką i tym milszą niespodzianką. Zofia z „Ballady o ostatnich" to główna postać kobieca, otrzymałam za nią nagrodę aktorską na Przeglądzie Szkół Teatralnych w 1985 roku. Pamiętam, że jak zawsze było mało czasu, za to katorżnicza robota, duże wymagania reżysera, z próby na próbę coraz większe. Korin zaimponował wszystkim kondycją, mógł pracować non stop z równą intensywnością bez względu na porę i stopień zmęczenia. Jest wspaniałym obserwatorem życia, wyłapującym najdrobniejsze niuanse psychologiczne postaci. Teraz czuję się związana z Eugeniuszem Korinem bardzo emocjonalnie i mimo że czasami jego propozycje wydają mi się nie do zrealizowania przeze mnie, do końca walczę o to, żeby je pokonać.

— Jaka będzie pani Zero z „Maszyny do liczenia" w pani interpretacji?

— Koncepcja spektaklu jest pomyślana w niekonwencjonalny sposób, w związku z tym np. rolę pani Zero grają trzy aktorki. Mamy nadzieję, że w trójkę zagramy ją lepiej niż pojedynczo. Wszyscy wykonawcy mają bardzo podzielone, złożone i skomplikowane zadania w tym spektaklu.

— Na czym więc polega praca zbiorowa w tak nietypowym spektaklu?

— Trzeba mieć oczy i uszy otwarte, być niezmiennie czujnym na partnera.

— Czy może to oznaczać, że pojedyncze zadania są łatwiejsze, a sceny zbiorowe trudniejsze?

— Nie można tego rozgraniczać. Wszystko jest tu jednakowo istotne. Jest to coś w rodzaju wykonywania ogromnie skomplikowanej partytury muzycznej.

— Eugeniusz Korin wspaniale pracuje z aktorem. Na czym polega jego metoda?

— Z wykształcenia jest również aktorem, ukończył jeden z lepszych instytutów aktorskich w Rosji, jest wybitnym profesjonalistą w swoim fachu i bezbłędnie zna aktorski zawód. Na pewno jest dużą indywidualnością jako reżyser i aktor, potrafi pokazać nie tylko co i dlaczego, ale również — jak należy to zrobić.

— Jak pani, aktorka filmowa, traktuje swoją pracę w teatrze?

— Interesuje mnie od strony poznawczej, uczy wrażliwości, dobrego smaku, pozwala rozwijać wyobraźnię, osobowość, rekompensuje nieosiągalne marzenia i wyobrażenia. Pozwala się wyładować. Bawi i uczy.

— A porównując ją do pracy w filmie?

— Praca w kinie polega na umiejętności zorganizowania się w bałaganie, na myśli mam plan filmowy.

— Którą ze swoich dotychczasowych ról ceni pani najbardziej?

— Zofię w „Balladzie o ostatnich", w filmie dopiero czekam na taką rolę.

— Jak plasuje się w tym rejestrze pani Zero?

— Rozmawiamy tuż przed premierą, boję się zapeszyć. Niech pan trzyma kciuki za nas wszystkich!

Rozmawiał:
BOHDAN GADOMSKI

Iwona Pawlak gra panią Zero w „Maszynie do liczenia".

Z „Odeonem" raźniej!

Stowarzyszenie Artystyczne zaprosiło 26 listopada do Muzeum Historii Miasta Łodzi na galowy koncert pt. **„Przeboje Odeonu"**. Oczywiście w roli hitów tej niewielkiej, 29-osobowej orkiestry, założonej 6 lat temu i kierowanej przez **Stanisława Gerstenkorna**, nie wystąpiły pozycje z radiowych i prasowych list przebojów, lecz popularne utwory wybitnych twórców klasycyzmu, romantyzmu i naszego stulecia.

Wykonane kompozycje musiały być zresztą wcześniej poddane odpowiednim zabiegom aranżacyjnym, tak by np rozpoczynająca wieczór uwertura do **„Carmen" Bizeta** nie zabrzmiała zbyt wątło w porównaniu z oryginalną wersją na wielką orkiestrę symfoniczną. Trzeba podkreślić, że wybierający, a także w dużym stopniu adaptujący repertuar, szef zespołu nie popełnił tu żadnego błędu. Powiedziałbym nawet że takie dziełka jak **uwertura do „Uprowadzenia z seraju" Mozarta, Taniec węgierski nr 5 Brahmsa** czy **dziarski Marsz Radetzkiego J. Straussa — ojca** wypadły wprost znakomicie, w czym zasługa również pełnego wirtuozerii i blasku wykonania. Bo też muzycy tworzący „Odeon" są wytrawnymi instrumentalistami, należącymi także do orkiestry filharmonii, opery lub radia.

Recenzując przed kilku laty występ nowo powstałego ansamblu zwracałem uwagę na nie zawsze dobre proporcje między stosunkowo mało *dźwięcznymi smyczkami* a pozostałymi grupami *instrumentów*. *Nie zawsze też dokładność* realizacji była całkowita. Teraz — w wyniku scementowania się składu, dość długiej, wspólnej praktyki artystycznej, a ponadto dodania jednego pulpitu skrzypiec — brzmienie kwintetu zyskało na jędrności, a gra całej orkiestry stała się precyzyjniejsza.

Wspomnę, że w **„Tańcach połowieckich" z op. „Książ Igor" Borodina** ładnym solo obojowym zwrócił uwagę **Michał Niemczyk**, natomiast w **„Humoresce" Dworzaka** indywidualną partią skrzypcową popisał się koncertmistrz **Andrzej Nicze**. Aczkolwiek odrobinę za głośny był w trakcie tej solówki akompaniament. Inne moje zastrzeżenia dotyczą transkrypcji **Preludium cis-moll Rachmaninowa** (interpretacja pozbawiła utwór niezbędnego patosu) oraz **arii z V suity cyklu „Bachianas Brasileiras"**, mało pogłębionej przez kapelmistrza wyrazowo.

Ozdobą koncertu okazała się sopranistka **Roma Ambroziewicz-Owsińska**, która poza wspomnianą arią brazylijskiego kompozytora, pięknie zaśpiewała jeszcze **arię Elwiry z op. „Ernani" Verdiego** i błyskotliwego **Straussowskiego walca „Odgłosy wiosny"**. Ten m.in. punkt programu skutecznie rozgrzał publiczność w mroźny, listopadowy wieczór.

JANUSZ JANYST

Bliżej świata

Przełamywanie monopoli stało się w Polsce rzeczą normalną i nikogo już nie dziwi. Nawet gigant spirytusowy legł pod naporem pomysłowości i przedsiębiorczości rodaków przewożących przez granice hektolitry wódki. Konkrencja jest zjawiskiem niewątpliwie pozytywnym, uatrakcyjnia i wzbogaca rynek, tym bardziej jeśli jest to „rynek" sztuki, kultury i rozrywki. Dotychczasowy jedynowładca na tym obszarze, „Pagart" specjalizujący się w imporcie i eksporcie artystów, stracił swoją wyłączność i dowolność w obdzieraniu ze skóry swoich klientów, gdy ci, nie mając alternatywy, musieli się na to godzić. Dziś jest już inaczej Powstało wiele spółek i impresariatów prawa konkurencji wymusiły większą elastyczność finansową i możliwość wyboru firmy, która w imieniu artysty zawierać będzie kontrakty zagraniczne i krajowe. A rewiry te nie należą do łatwych, bywają zaklęte, stare układy funkcjonują, trzeba więc wykazać nie lada spryt, refleks i dyplomatyczną taktykę, by ubiec konkurentów, czyli rywali.

W naszym mieście również powstał **Impresariat Zagraniczny „Artpol", przy Muzeum Historii Miasta Łodzi**, z siedzibą przy pl. Wolności 2. Przeobraził się weń z Impresariatu Krajowego, który zdążył jeszcze zorganizować „potyczki salonowe" w pałacu Poznańskiego (siedzibie Muzeum) z udziałem **Andrzeja Brychta** i recital **Wojciecha Młynarskiego**, tamże. Były to bardzo udane imprezy, dobrze rokujące ich organizatorom. Będą więc kontynuowane, choć już pod nowym szyldem. Impresariat Zagraniczny zamierza w pałacowych salonach spotkać ze sobą **Zygmunta Kałużyńskiego** i **Krzysztofa Teodora Toeplitza**, oraz w drugiej parze **Adama Hanuszkiewicza i Stefana Kisielewskiego „Kisiela"**.

Autorem, pomysłodawcą i opiekunem instytucji jest **Ryszard Czubaczyński**, dyrektor Muzeum Miasta. Dziś jest dumny ze swego dzieła, Czas zweryfikuje ten stan ducha, wydaje się że na korzyść. Już sam lokal i jego „zapach" znamionują profesjonalizm przedsięwzięcia Elegancko, nowocześnie urządzony i wyposażony, budzi zaufanie i poczucie pewności u kontrahenta. Fachowa, sympatyczna, choć nieliczna ekipa, rzeczowo podchodzi do swej pracy; kultura osobista jest jej silną bronią, a miłe uśmiechy dodatkowym i niezwykle ważnym atrybutem. Kieruje instytucją pani **Krystyna Wawrzkiewicz**, a wspierają swą szefową: **Grażyna Budzińska** — anglistka, specjalista ds. kontraktów i **Kazimierz Mikołajczak** — niegdyś dyrektor Filharmonii Łódzkiej, specjalista ds. fonografii.

Impresariat Zagraniczny proponuje: realizację kontraktów artystycznych z każdej dziedziny sztuki w kraju i za granicą, zapewniając profesjonalną obsługę transakcji, pomoc w prezentacji dorobku twórczego artystom na międzynarodowych scenach i estradach; dokonywanie nagrań muzycznych dla potrzeb filmu i teatru; pośrednictwo w eksporcie wybitnych dokonań zrealizowanych przez instytucje artystyczne w Polsce; pośrednictwo w organizowaniu aukcji sztuk plastycznych, eksport pedagogów w zakresie szkolnictwa artystycznego.

A przekładając to na język faktów: **sfinalizowano kontrakty — poprzez belgijską agencję „Pro Liege" i agencje z Paryża — dla Filharmonii Łódzkiej, Zespołu im. Harnama i zespołu estradowego „Comes"**, który specjalizuje się w transkrypcjach muzyki poważnej rumuńskiej, cygańskiej i rosyjskiej. Doprowadzono do powstania baletu w koprodukcji **Poznańskiego Teatru Tańca Ewy Wycichowskiej i agencji artystycznej z Hannoveru na RFN i kraje zachodniej Europy.** Prowadzone są rozmowy z **Teatrem im. Witkiewicza z Zakopanego** w sprawie występów w Łodzi i „gdzieś w Europie" Wystąpi w Łodzi **Teatr „Ateneum" z „Wysockim"** Planuje się wysłanie spektaklu **Pawła Kruka „Monte Cassino" do Paryża**, po wielkim sukcesie u londyńskiej Polonii. Zapewni się oprawę estradową wielkiego show **architekta Wojciecha Zabłockiego**, które poprowadzi **Bohdan Tomaszewski**, itd. itp.,

Gdy już na eksporcie polskich artystów Impresariat zarobi pieniądze, sprowadzi do Polski i Łodzi **„Indiański Teatr Tańca" z USA**, program piosenek **Jacquesa Brela** z Paryża i wybitnego hiszpańskiego gitarzystę **Pedro Ibaneza** — osobiście. Są to propozycje już wstępnie omówione.

Firma istnieje od niedawna i dopiero się rozkręca. Gdy nabierze odpowiedniego rozpędu — mamy nadzieję — w Łodzi zaroi się od imprez wreszcie na wysokim poziomie. Oby nadeszły czasy, gdy zwali nas, łodzian, z nóg dramatyczny dylemat: na co iść? Na recital Pavarottiego, koncert Franka Zappy, czy potyczki salonowe z Madonną.

MAREK KOPROWSKI

Kronika

W MIEJSKIEJ BIBLIOTECE PUBLICZNEJ im. Ludwika Waryńskiego w Łodzi 28 listopada br. otwarta została wystawa pt. „Polska literatura emigracyjna po 1945 r.".

Na tę bardzo ciekawą ekspozycję składa się 250 książek wydanych poza granicami kraju oraz w tzw. drugim obiegu. Bogato prezentowana jest zwłaszcza twórczość Czesława Miłosza i Witolda Gombrowicza.

Hitami wystawowymi są: biografie Lecha Wałęsy w języku angielskim i francuskim oraz jego „Droga nadziei" — opublikowana w Polsce poza zasięgiem cenzury.

Z RĄK PREZYDENTA PRL Wojciecha Jaruzelskiego 28 listopada br. w Belwederze akty nominacyjne otrzymała grupa uczonych z całego kraju. Znaleźli się w niej trzej łodzianie: Ryszard Panasiuk z UŁ, który otrzymał tytuł profesora zwyczajnego w dziedzinie nauk humanistycznych; Marian Wilk (z tej samej uczelni), któremu nadano tytuł profesora zwyczajnego oraz Jerzy Woźniak z PWSFTViT w Łodzi — mianowany również profesorem zwyczajnym.

Gratulujemy!

PROFESOR JERZY TOEPLITZ — w trakcie uroczystego spotkania z okazji 80-lecia jego urodzin, które odbyło się 27 listopada br. na Zamku Królewskim w Warszawie — uhonorowany został m.in. medalem łódzkiego Muzeum Kinematografii. Dotychczas wyróżnienie takie spotkało jedynie Tadeusza Konwickiego, za realizację głośnej „Lawy" (wręczono mu je podczas tegorocznego festiwalu filmowego w Gdyni).

W MUZEUM Kinematografii, 30 listopada br., otwarto ekspozycję pt. „Z dziejów miasta: historia — kultura — codzienność"

FILM WOJCIECHA S. MARCZEWSKIEGO „Odejścia, powroty 1974 rok", do którego dialogi napisał Stanisław Dygat, został pokazany 29 listopada br. w kinie ŁDK — w ramach cyklu „Muzealne premiery filmowe". Po projekcji odbyło się spotkanie z reżyserem i odtwórcą głównej roli — Krzysztofem Wakulińskim.

OD 28 DO 29 LISTOPADA BR. obradowała w naszym mieście — w Domu Technika zorganizowana przez NOT, Instytut Informatyki i Polskie Towarzystwo Informatyki — konferencja naukowo-techniczna, poświęcona wykorzystaniu komputerów w nauczaniu różnych przedmiotów oraz kształceniu informatycznemu w szkołach.

PO 50-LETNIEJ PRZERWIE, wznowiło działalność w Łodzi Stronnictwo Narodowe.

W trakcie inauguracyjnego zebrania wybrano Zarząd Łódzki SN w składzie: przewodniczący — Jerzy Sasin, zastępca przewodniczącego — Jerzy Sójka, sekretarz — Stefan Kwaśniak. Ponadto w skład prezydium weszli jako członkowie: Wanda Chruściel, Tomasz Kociubiński i Mieczysław Trzcinka.

TRZYDZIESTOLECIE OBCHODZIŁ 29 listopada br., działający przy WAM im. generała dywizji B. Szareckiego w Łodzi Studencki Teatr „Verbum". Z tej okazji odbyło się spotkanie członków i sympatyków zespołu. Uświetnił je, po części oficjalnej, spektakl pt. „Polonez Ogińskiego", w reżyserii Andrzeja Kierca.

Ambitnemu zespołowi życzymy wielu nowych sukcesów artystycznych!

SŁAWOMIR ŁUCZYŃSKI, którego rysunki znają czytelnicy z łamów naszego tygodnika, zajął I miejsce w ogólnopolskim konkursie „Sztandaru Młodych" na „Rysunek z Erosem".

Serdecznie gratulujemy!

PODCZAS SPOTKANIA W WARSZAWIE minister kultury i sztuki Izabelli Cywińskiej z pracownikami PP Konserwacji Zabytków, kilku łódzkich konserwatorów udekorowanych zostało odznaczeniami państwowymi. Srebrny Krzyż Zasługi otrzymali: Błażej Muzolf i Paweł Marszałł; Brązowy — Danuta Machlewska.

Juliuszowi Olszewskiemu — dyrektorowi Łódzkiego Oddziału PKZ — wręczona została przyznana mu przez Stołeczną Radę Narodową — Srebrna Odznaka Honorowa „Za Zasługi dla Warszawy".

CZTERDZIEŚCI LAT stuknęło Łódzkiemu Towarzystwu Fotograficznemu, skupiającemu 222 członków. Z ich dorobkiem twórczym dawnym i obecnym, można zapoznać się na zorganizowanej z tej okazji retrospektywnej, jubileuszowej wystawie otwartej 27 listopada br. w salonie ŁTF.

REAKTYWOWANO Polską Akademię Umiejętności z siedzibą w Krakowie. Inicjatorami spotkania w Warszawie na którym powzięto tę decyzję, byli przedstawiciele środowisk naukowych Poznania, Warszawy i Krakowa, w tym 9 członków dawnej PAU.

DZIAŁACZE Polskiego Stowarzyszenia Kulturalno-Oświatowego w Grodnie im. Adama Mickiewicza zamierzają wystąpić do UNESCO z wnioskiem, by rok 1990 proklamowano ROKIEM ADAMA MICKIEWICZA.

POWZIĘTO DECYZJĘ przekształcenia Komisji ds. cmentarza Łyczakowskiego w Komisję ds. Ochrony Polskich Dóbr Kultury na Ukrainie. Ostateczne ustalenia dotyczące poszerzenia zakresu prac tej komisji zapadły po spotkaniu prof. dr hab. Alfreda Jahna (jej przewodniczącego) i doc. dr hab. Tadeusza Polaka (prezesa Zarządu Fundacji Kultury Polskiej) z min. kultury i sztuki — Izabellą Cywińską.

DOROBKOWI kolekcjonerskiemu Feliksa Jasieńskiego-Mangghi (1861—1921), wybitnemu znawcy sztuki Dalekiego Wschodu, poświęcona będzie nowa, przygotowywana wystawa w krakowskim Muzeum Narodowym.

W KOŚCIELE Matki Bolesnej na Teofilowie odbyła się 26 listopada br., połączona z mszą świętą, uroczystość odsłonięcia tablicy pamiątkowej ku czci ofiar Syberii i Katynia. Tablica ufundowana została przez Związek Sybiraków i parafian. Pod tablicą umieszczono urnę z prochami ofiar katyńskich.

Odsłonięcia tablicy dokonał prezydent Łodzi — Waldemar Bohdanowicz.

ŚRÓDMIEJSKA Biblioteka Dziecinowa im. Andrzeja Struga zaprasza na wystawę pn. „Światowa nalepa turystyczna" (ze zbiorów Tadeusza Sprucha)

Ekspozycja czynna będzie do 10 grudnia br. — w gmachu biblioteki (ul. Andrzeja Struga 14).

POPLENEROWA wystawa „Rowy '89" otwarta została 29 listopada br. w Galerii Państwowej Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych w Łodzi. W plenerze tym wzięli również udział studenci i wykładowcy uczelni artystycznych ze Sztokholmu i Helsinek.

Wystawę można obejrzeć do 13 grudnia br.

WYDAWNICTWA Artystyczne i Filmowe zapowiadają reprintową edycję wspomnień Lwa Trockiego pt. „Moje życie".

Z pewnością staną się one bestsellerem.

Opracował: JAK

Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata •

ma to ponoć w przyszłym roku), sytuacja stanie się jeszcze dramatyczniejsza Najgorzej jest w Warszawie, gdzie w ostatnim czasie zniknęło kilka kin, m.in. popularny ongiś „Wars" na Rynku Nowego Miasta Już niebawem ostatni seans odbyć ma się w zasłużonym dla kultury filmowej Kinie Dobrych Filmów **„Wiedza"**, bowiem obcięto dotacje dla Pałacu Kultury, w którym kino się znajduje Czy za kilka lat będzie jeszcze w Polsce gdzie wyświetlać filmy?

A swoją drogą nie jesteśmy w tych niepokojach odosobnieni. Także i w innych krajach bije się na alarm, np. we Włoszech: mieszkańcy tego kraju coraz rzadziej chodzą do kina Zdaniem specjalistów źródeł tego stanu rzeczy należy upatrywać w kilku zjawiskach Jednym z nich jest spadek liczby kin. Jest ich obecnie niewiele ponad 4,5 tys., co stanowi zaledwie połowę w stosunku do początku lat 70. Nie bez znaczenia są też ceny biletów, niejednokrotnie oznaczające równowartość dwóch wideokaset. Właśnie popularność wideo jest następną przyczyną pustek we włoskich kinach, które regularnie odwiedza tylko 10 proc. objętej sondą reprezentatywnej grupy obywateli w wieku od 14 do 79 lat.

FESTIWAL FILMOW KIEŚLOWSKIEGO

Twórczość **Krzysztofa Kieślowskiego** nie przestaje pasjonować włoskich krytyków. Po ogromnym sukcesie na **Międzynarodowym Festiwalu Filmowym w Wenecji, „Dekalog"** zaprezentowany został — również w całości — na specjalnym pokazie w **Muzeum Filmowym** w Turynie, obok ponad 30 innych obrazów reżysera. Ten bogaty przegląd całego dorobku artystycznego Kieślowskiego — począwszy od filmów szkolnych, poprzez prawie wszystkie dokumentalne i fabularne, po telewizyjne — przyciągnął zarówno publiczność, jak i krytyków z najbardziej liczących się ośrodków kulturalnych Włoch. W Turynie odbyło się spotkanie z reżyserem i scenarzystą jego filmów — **Krzysztofem Piesiewiczem.** Podobny przegląd filmów Kieślowskiego i spotkanie z nim zorganizowano w Bolonii. Włoski dystrybutor reprezentujący firmę **„Micado Film"** zakupił cały „Dekalog" i przygotowuje się do wprowadzenia go na ekrany kin większości miast włoskich. Jednocześnie turyńskie Muzeum Filmu wydało książkę pt. **„Kieślowski"**, pióra **Małgorzaty Furdal i Roberta Turgiliatto**, stanowiącą rodzaj „ABC" twórczości polskiego reżysera.

SZAMBELANI

„... wielu moich kolegów, bądź ze sfer literackich, bądź artystycznych, którzy tak dopominają się „nowych twarzy", było niegdyś autentycznymi szambelanami, którzy stali u dworu króla Edwarda czy księcia Macieja, wystawiając swoje twarze pod promienie pańskiej łaski, a piersi pod ordery, po wszelkiego typu apanaże i zaszczyty" — powiedział w wywiadzie dla tygodnika **„Wprost"** prezes Komitetu do spraw Radia i Telewizji **Andrzej Drawicz** zapowiadając, że wszelkie zmiany personalne postara się sprowadzić do niezbędnego minimum. Prezes nie zamierza płynąć na fali żądań rewindykacyjnych, kierując się w tym przypadku „zasadą użyteczności ludzi, którzy nie mogą przekazywać pewnych treści widzom, ponieważ większość widowni ich po prostu nie akceptuje".

Galeria pisarzy

JERZY WILMAŃSKI

Rys. Sławomir Arabski

LWÓW: — Poszukiwanie prawdy o demonstracjach.

Kultura polityczna powstaje na... ulicy

Rozmowa z KONSTANTINEM CZAWAGĄ, lwowskim korespondentem Agencji TASS.

— Jakie były oficjalne komunikaty TASS na temat manifestacji kościoła unickiego 17 września, krwawych zajść na ulicach Lwowa 1 pazdziernika i wiecu z 15 października 1989 roku, na którym ludzie domagali się wyjaśnień w sprawie użycia sił porządkowych do rozgromienia manifestacji?

— Napisałem relację z wystąpień na rzecz reaktywowania kościoła unickiego, ale została zatrzymana w Kijowie. Gdybym podlegał bezpośrednio agencji w Moskwie, nie miałoby to miejsca. „Ogoniok", „Moskowskije Nowosti" zamieściły pełne relacje stałych korespondentów. Nasza struktura ma niestety ogniwa pośrednie — jak np. w Kijowie i dlatego TASS nic nie podał.

— W ten sposób agencja traci wiarygodność.

— W tym wypadku wszystko zależało od KC Komunistycznej Partii Ukrainy i komisji do spraw wyznań. Moją relację potraktowano jako tendencyjną. Wtedy jeszcze urzędował Szczerbicki, myślę, że już teraz tekst ten zostałby przepuszczony. Chodziło głównie o różnice w poglądach na kościół unicki. W Kijowie twierdzono, że taki kościół w ogóle nie istnieje, jest tylko grupka ekstremistów wysuwających żądania jego reaktywacji. Sądzę, że jest to kwestia czasu. Podczas, gdy w moskiewskiej prasie ukazało się wiele obiektywnych artykułów, w Kijowie póki co nie opublikowano nic.

— Podczas święta miasta 1 października 1989 roku we Lwowie rozeszła się pogłoska, że milicja aresztowała młodego chłopaka. Tłum udał się pod komendę milicji i zażądał wyjaśnień. Podobno zachowywano się spokojnie, jednak interweniowała milicja, a właściwie wojska wewnętrzne, przy czym nie rozpędzano demonstracji, ale wzięto zebranych w okrążenie i bito jak popadło. Jak w Gruzji. Poturbowano kobiety i dzieci stojące na przystanku. Użyto plastikowych kul! Gazeta „Radianska Ukraina" przedstawiła to nieco inaczej: tłum napadł na milicję, wybijał okna, zniszczył samochód, więc zareagowano. W demonstracji brało udział wielu Ormian, mieszkańców republik nadbałtyckich. Na ulicy, gdzie odbywała się cała akcja, nie zapalono latarni. Zapewne przez zwykłe przeoczenie. Po stłumieniu demonstracji ludzie pozrzucali na ziemię wszystkie radzieckie flagi, jakimi udekorowano miasto. Czy rzeczywiście było aż tak groźnie, by reagować w sposób wyjątkowo brutalny? Jaka jest pańska wersja wydarzeń?

— Nie byłem świadkiem masakry z 1 października. Widziałem tylko to, co działo się do godziny 18. Zauważyłem napięcie. Potrzebna była iskra.

— Co było tą iskrą?

— Wydaje się, że impuls był i z lewej, i z prawej strony.

— Ciężko coś od pana wyciągnąć.

— Jestem korespondentem państwowym, powinna pani porozmawiać z dziennikarzem niezależnym.

— W mieście otwarcie mówi się o prowokacji.

— Prowokacja była i z jednej, i z drugiej strony. Żeby nie było żadnych zmian. W każdej rewolucji skrajne siły lewicy i prawicy łączą się. Emocje wzięły górę nad rozsądkiem. Widoczny jest brak kultury manifestacji. Jeszcze jej we Lwowie nie ma, ludzie dopiero się uczą, ale w porównaniu z zeszłym rokiem widoczne są duże postępy. Kiedy nie ma milicji, tłum jest spokojny. Każdy chce się dowiedzieć, kto wydał rozkaz. Do dziś nie wiadomo, kto dał rozkaz masakry we Lwowie 12 marca 1989 r. przed wyborami do Rady Najwyższej. Od rana były przygotowane oddziały wojsk wewnętrznych. Od 12.30 do 19 na ulicy Podwalnej odbywało się polowanie na ludzi.

— Nie było żadnych informacji o wydarzeniach z marca.

— Nie.

— Powołano trzy komisje: deputowanych do Rady Najwyższej, prokuratury i obywatelską do zbadania wydarzeń z 1 października.

— Wydaje mi się, że najbardziej obiektywne mogą być wyniki prac komisji obywatelskiej. Telewizja podała, że jeszcze nie ma żadnych ustaleń. Z marca też nie ma wyników śledztwa. Nawarstwiły się natomiast nowe problemy.

— Wydaje się, że władzy zależy na tym, aby temat zdezaktualizował się. W Tbilisi początkowo nie było winnych, po pewnym czasie dyskretnie przyznano się, kto wydał rozkaz i kto o nim wiedział.

— Redakcja „Leninska Mołodź" prowadzi śledztwo na własną rękę, niezależnie od trzech komisji. Gazeta ma całą kronikę manifestacji.

— Podobno w czasie zajść 1 października ucierpiało kilkunastu milicjantów. Kiedy komisja obywatelska chciała ich zobaczyć, na widok kamery wideo zatrzaśnięto im drzwi przed nosem. Radio „Swoboda" podało, że funkcjonariusze ci byli w cywilu, więc mogą mieć pretensje tylko do siebie i do swoich kolegów.

— Nic nie wiem o tej sprawie.

— Czy mógłby pan w skrócie przedstawić mapę polityczną Lwowa? Zacznijmy od organizacji oficjalnych.

— Oficjalnych, samodzielnych organizacji działa kilka: Młodzieżowe Towarzystwo Lwa, Towarzystwo Języka Ukraińskiego im. Tarasa Szewczenki, Towarzystwo Kultury Ormiańskiej „Achpiur", Towarzystwo Kultury Żydowskiej im. Szolema Alejchema, Towarzystwo Kultury Polskiej Ziemi Lwowskiej, Towarzystwo Łemkowina, Ruch Rosyjskojęzycznych Przyjaciół Kultury Ukraińskiej. Ich założycielem jest oddział lwowski Funduszu Kultury Ukraińskiej.

— Jakie są organizacje nielegalne i jakie stawiają sobie zadania?

— „Memoriał" jest półoficjalnym społeczno-historycznym towarzystwem zajmującym się ofiarami czasów stalinowskich, upamiętnia miejsca walk II wojny światowej, podejmuje wysiłki w kierunku rehabilitacji osób niesłusznie oskarżonych politycznie. Ludowy Ruch Ukrainy na Rzecz Przebudowy zwany po prostu „Ruchem" jest organizacją gromadzącą ludzi wszystkich narodowości zamieszkujących Ukrainę, zainteresowanych zmianami politycznymi i ekonomicznymi. Obie te organizacje istnieją oficjalnie, choć nigdzie nie są zarejestrowane. Zostały jeszcze ugrupowania całkowicie nielegalne, należą do nich Komitet Obrony i Legalizacji Kościoła Unickiego Chrześcijański Front Demokratyczny, Komitet Helsiński zajmujący się obroną praw człowieka, Młodzieżowa Organizacja „Płast", czyli ukraińscy skauci, Bractwo Studenckie teoretycznie zajmujące się obroną praw studentów, ale wiadomo, że studenci to niespokojne i niepokorne duchy.

— Jak pan ocenia szanse powodzenia tych organizacji, zwłaszcza nieoficjalnych?

— Uważam, że przede wszystkim trzeba zarejestrować „Memoriał", „Ruch" i „Bractwo Studenckie". Nawet jeśli nie dojdzie do legalizacji, będą prowadzić nadal swoją działalność.

— Czy może pan coś powiedzieć na temat ostatniego odkrycia w Iwano-Frankowsku?

— Odkryto zbiorowe mogiły ponad 200 ofiar NKWD z lat 1940—41. Duży udział w odkryciu tych grobów miał „Memoriał". To dopiero się zaczyna. Nie pierwsze to i nie ostatnie tego typu znalezisko.

— Dziękuję za rozmowę.

Mój rozmówca obiecał mi udostępnić zakwestionowaną relację o kościele unickim, niestety tekst gdzieś zaginął.

Rozmawiała:
MONIKA MATUSZAK

Reporter „Odgłosów" pisze z Kenii

Baronowa Karen Blixen

ANDRZEJ MAKOWIECKI

1.

Życie i twórczość baronowej Karen Blixen byłyby znakomitym tematem na pracę doktorską, pod warunkiem jednak, że napisałby ją Polak — szowinista i że uwzględniłby w niej życie i twórczość Josepha Conrada. Joseph Conrad był Polakiem z dziada pradziada, ale pisał po angielsku i przeszedł do historii literatury jako great english writer, czemu Polacy nie przeciwstawiali się specjalnie, jako że o przynależności narodowej autora nie rozstrzyga kryterium krwi, lecz kryterium języka.

Wszelako w przypadku baronowej Karen Blixen kryterium to zostało zignorowane. Baronowa Karen Blixen była Dunką i poza kilkoma młodzieńczymi opowiadaniami, które opublikowała w kopenhaskich gazetach pod męskim pseudonimem i w ojczystym języku, cała jej poważna i dojrzała twórczość wyartykułowana została w pełnej finezji angielszczyźnie. Mimo to Anglicy nie roszczą sobie do niej pretensji, a świat uważa ją za pisarkę duńską. W Polsce książki Karen Blixen — „Seven Gothic Tales", „Winters Tales", „Last Tales", „Anectodes of Destiny", „Shadows on the Grass", „Out of Africa" i „Ehrengard", to pełna lista napisanych przez nią po angielsku pozycji — ukazują się w serii dzieł pisarzy skandynawskich, podobnie zresztą jak w wielu innych cywilizowanych krajach. Po śmierci baronowej w roku 1962 rząd duński wykupił jej dom w Kenii, na farmie u podnóża góry Ngong, i przekształcił go w muzeum wielkiej pisarki, będące jednocześnie szkołą dla afrykańskich kobiet.

Zatem, w przeciwieństwie do Polaków, którzy przegrali Conrada, Duńczycy zdołali ocalić dla siebie baronową. Świadczy to o tym, jak niedoskonałe są wszelkie literackie kryteria i jak chimeryczni bywają krytycy, którzy zresztą w odniesieniu do Karen Blixen nie ustrzegli się również innych błędów...

Jej najgłośniejsza książka „Out of Africa", czyli znane dobrze polskiemu widzowi i czytelnikowi „Pożegnanie z Afryką", uchodzi za powieść, aczkolwiek, na dobrą sprawę, nic z powieścią nie ma wspólnego. Brak tu typowego dla tego gatunku przewodu fabularnego, brak właściwej kompozycji, wszystko jest poszarpane, potargane, każdy rozdział stanowi odrębną całość, a narracja opiera się to na reportażu, to na pamiętniku, to na eseju, anegdocie i luźnych zapiskach.

Trzeba wszakże od razu powiedzieć, że jest to proza znakomita, lśniąca jak brylant i mądra jak Salomon — prawdziwa, sprawiedliwa, nasycona cudowną poezją, pełna wspaniałych obserwacji i głębokich przemyśleń, których próżno byś szukał w innych dziełach.

Z książki baronowej Karen Blixen nie wynika, iż pisarka była swego czasu chora na kiłę, wszelako w ekranizacji „Pożegnania" scenarzystka i reżyser ujawnili ten bezsporny, znany z innych źródeł fakt, co miało zapewne przydać filmowi rajcu. Baronowej nie zaraził byle kto, tylko własny mąż, szwedzki baron, hulaka, który kojarzy się nieodparcie ze świetlaną sylwetką Blaise'a Cendrarsa. Nie wiem, czy podczas premiery tego filmu Karen Blixen przewróciła się w grobie, Hollywood nie postąpił jednak elegancko.

„Pożegnanie z Afryką" czytałem dwukrotnie: najpierw w Polsce, potem w Kenii, i zgadzam się z opinią, iż jest to najlepsza książka o czarnym lądzie i jego mieszkańcach: Kikujusach, Masajach, Somalijczykach, plemionach Suahili, Kowirando i Wakamba. Biali pisarze mają zwykle do Murzynów stosunek protekcjonalny, nawet wówczas, kiedy przejawiają do nich sympatię. Z drzewa toto zlazło i jest głupie, leniwe, bez ambicji. Kamuflowana pogarda daje się zauważyć u większości przebywających w Afryce *whitemanów*. Uśmiech. Uśmieszek. Boy dźwiga, ojciec i matka boya służą, siostra dorabia w nocnym lokalu. Na to tylko ich stać i na nic więcej. Psychiki Murzyna nie zgłębił ani Hemingway, ani żaden inny autor czy naukowiec, baronowej Karen Blixen udało się to jednak znakomicie.

Pisała w „Pożegnaniu z Afryką":

„Ludzie oczekujący, że Afrykanie z radością przeskoczą z epoki kamiennej do epoki samochodów zapominają, ile wysiłków kosztowało to naszych przodków, aby ludzkość mogła przebrnąć przez historię aż do naszych czasów.

Możemy fabrykować samochody i samoloty, możemy uczyć Afrykanów, jak ich używać. Lecz jeden ruch ręki nie potrafi wytworzyć w ludzkich sercach prawdziwego zamiłowania do samochodów. Takie zamiłowanie jest produktem wieków, prawdopodobnie do jego powstania potrzebny był i Sokrates, i wyprawy krzyżowe, i Rewolucja Francuska.

(...) Współcześni biali w Afryce wierzą w ewolucję, a nie w nagłe tworzenie. Chcieliby udzielić mieszkańcom Afryki krótkiej praktycznej lekcji historii, aby ich w ten sposób doprowadzić do tego poziomu, na którym my stoimy. Opanowaliśmy te narody niecałe czterdzieści lat temu („Pożegnanie z Afryką" ukazało się po raz pierwszy w 1937 roku — przyp. A. M.). *Gdybyśmy przyrównali ten moment do momentu narodzin Chrystusa i dali Afrykanom na dogonienie nas trzy lata za każdą setkę lat naszej historii, to teraz chyba powinniśmy im posłać świętego Franciszka z Asyżu, a wkrótce [illegible]. Cieszyliby się obu wysłańcami i bardziej by ich szanowali niż my w naszym dwudziestym wieku. Gdy kilka lat temu próbowałam im przetłumaczyć dialog między ojcem i synem z „Chmur", bardzo im się podobał Arystofanes. Za dwadzieścia lat mogą się okazać gotowi na przyjęcie encyklopedystów, a za dalsze dziesięć lat doszliby chyba do Kiplinga. Powinniśmy im dostarczyć nauczycieli, filozofów i poetów, a wszystko po to, aby ostatecznie przygotowywać pole dla Mr. Forda".*

2.

Mówiąc językiem najprostszym, wypranym z nomenklatury (makulatury!) naukowej i niepotrzebnych ozdobników, ludzie biali dzielą się na dwie kategorie: tych, którzy Murzynów nienawidzą i tych, którzy Murzynów kochają, aczkolwiek strajkują w nich bebechy, kiedy przyjdzie im oddać najdroższą córkę lub umiłowanego syna do czarnego łoża.

Rasiści uważają czarnych za skurwysynów, morderców, złodziei i gwałcicieli, co jest niesprawiedliwe i co w żadnym wypadku nie może być prawdą ogólną.

Negrofile z kolei pokazują Murzynów jako wzór wszelkich cnót. Fałszywy ów obraz został upowszechniony przez film i literaturę, przez publicystykę i kretyńskie seriale telewizyjne, z których wynika, że Murzyn zawsze jest dobry, godny, uczciwy i szlachetny, co również w żadnym wypadku nie może być prawdą ogólną.

Negrofile odczłowieczyli Murzyna, przypisując mu cechy anielskie. Człowiek to grzech! Jeśli Murzyn jest człowiekiem, ma takie samo prawo do skurwysyństwa, zbrodni, kradzieży i gwałtu jak przedstawiciel każdej innej rasy. Tylko z tego założenia wychodząc można walczyć o wolność i równouprawnienie czarnych; każde inne założenie jest fałszywe.

Dziwię się, że nikt dotąd nie zrozumiał tej oczywistej prawdy. Wynika ona pośrednio ze znakomitej twórczości czarnego amerykańskiego pisarza, Jamesa Baldwina, ale i on nie zdefiniował jej wyraźnie, w związku z czym Murzyn w dalszym ciągu żyje w niewolniczym świecie zakazów i nie wolno mu dzielić obyczajów białego człowieka.

Jeśli biały wyjdzie z knajpy i zabluźni, splunie lub odda mocz pod ścianą, widzowie potraktują to jako niewinną ekstrawagancję, ale jeśli zrobi to samo Murzyn, uznany zostanie natychmiast za bydlę. Jeśli zgwałci, zamorduje lub ukradnie biały, to wstydzi się tylko on i jego rodzina, gdy dopuści się jednak podobnej zbrodni Murzynek Bambo, musi wstydzić się za niego ogół czarnej społeczności. Łapczywość białego nazywamy wilczym apetytem, czarny żre! Biały ma torsje i migrenę, czarny rzyga i napierdala mu łeb.

Nawet w czarnych republikach Murzyn stoi zawsze na dole drabiny społecznej — rządzi biały, Hindus handluje, Bambo sprząta odpadki. Przewrotność białych, szczególnie w dawnych koloniach brytyjskich, doprowadziła do tego, że Murzyni dyskryminują samych siebie. W stolicy Gambii, Bandżulu, jest elegancki hotel z basenem i czarni portierzy zabraniają tam wstępu swoim braciom. Kiedy Murzyn skacze do wody, biali wyskakują na brzeg jak foki. Czarnoskórzy prezydenci otaczają się białymi kobietami i białą służbą, żeby zrekompensować sobie kompleks niższości.

Bezwzględna większość i czarna, kędzierzawa głowa władcy nie zapewniają jeszcze Murzynom dominacji w ich własnym kraju. Muszą zginać kark nawet przed Hindusem, a ten gardzi nimi w większym stopniu niż biały. W Kenii, podobnie zresztą jak w RPA, Hindusów widzi się na każdym kroku. Sprowadzili ich tutaj Brytyjczycy jako najtańszą siłę roboczą do budowy linii kolejowej z Mombasy do jeziora Wiktorii. Było to w końcu ubiegłego wieku. Kilkanaście tysięcy kulisów, najniższej kasty społecznej w Indiach, zadomowiło się w Afryce w sposób brutalny — napadali na murzyńskie wsie, brali siłą murzyńskie dziewczyny, rżnęli Kikujusów i w ogóle zamierzali przekształcić Afrykę Wschodnią w część imperium indyjskiego, czemu na szczęście przeciwstawili się Anglicy.

Kenia jest krajem pięknym, chętnie odwiedzanym przez turystów, włóczęgów i myśliwych. Na trasie Mombasa — Nairobi, siedemdziesiąt kilometrów od wybrzeża, można wjechać na teren jednego z ogromnych kenijskich rezerwatów przyrody. Wjeżdżasz na własne ryzyko autokarem albo pancernym samochodem i wybałuszasz oczy na chodzące luzem słonie, lwy, żyrafy, nosorożce, zebry, antylopy i wszelką inną zwierzynę. Sępy kołują nad padliną, wszystko w ogóle wygląda tak, jak wyglądało przed wiekami. Ze wspaniałego tarasu gospody VOI SAFARI LODGE, wytwornej i drogiej jak jasna cholera, obserwujesz sobie wodopój u stóp wzgórza: Bezkresna równina ciągnie się aż po wysokie, zamglone pasmo szczytów; jest naprawdę dziewicza i dzika, pustynna i wyprażona słońcem, albo wysłana litościwie sawanną. Pijesz zatem whisky na balkonie VOI SAFARI LODGE albo zażywasz kąpieli w asymetrycznym basenie gospody, albo zaczynasz podrywać jedną z tych brzydkich, ostroszczękich i długozębnych Brytyjek, które chętnie zdjęłyby majtki, ale boją się aidsa, w związku z czym wracają do domu niedopieszczone i wściekłe — robisz to wszystko, a w dole do wodopoju maszerują w pokojowej koegzystencji wspomniane już słonie, dostojne żyrafy, leniwe i powolne nosorożce, czarno-żółte zebry, pełne gracji antylopy, pokwikujące dziki i tańczące rumbę pawiany, z których jeden, wytresowany przez tubylców, pozuje często do fotografii w towarzystwie zemocjonowanych Europejczyków. Wszelako zwierzęta żyją podobno w Kenii kosztem czarnego człowieka, ściślej mówiąc: kosztem dumnego plemienia Masajów, tych, co władali kiedyś ogromnymi połaciami tego państwa, ale zostali poskromieni przez białych, a dzisiaj murzyński prezydent, Daniel Toroitich Arap Moi, sukcesor po pierwszym prezydencie kenijskim Mzee Jomo Kenyatta, też nie darzy ich zbytnim uczuciem.

Baronowa Karen Blixen miała o Masajach wysokie mniemanie — znakomici (podobno!) kochankowie, wspaniali wojownicy, lud dumny i godny, przywiązany do swoich obyczajów i wolności. To ci, których pokazywała niedawno telewizja hiszpańska w dokumentalnym serialu o egzotycznych narodach świata. Spożywają tylko mięso, mleko i skrzepłą krew bydlęcą, dając w łeb wszelkim medycznym teoriom o diecie. Żadnych jarzyn i owoców! Żadnych tłuszczów roślinnych i chleba! Są czarni jak heban, ale ich twarze niewiele mają wspólnego z rasą negroidalną; nie wyklucza się, że noszą w żyłach krew rzymskich imperatorów.

Już w latach czterdziestych Karen Blixen ubolewała nad tragedią tego plemienia, które maleje z każdym rokiem i grozi mu całkowita zagłada, a to z tego powodu, że nawet murzyńscy wodzowie okrawają terytorium ich rezerwatu, aby poszerzyć przestrzeń życiową dzikiej zwierzynie. Słoń jest w Kenii chroniony jak święta krowa, wyrobów z kości słoniowej jest na czarnym rynku coraz mniej i szalenie trudno wywieźć cokolwiek za granicę, Masajami natomiast nie przejmuje się nikt — niechaj wymierają, niechaj giną! Kikujusi nie cierpią z tego powodu.

Oprócz tej drogi do Nairobi wybiega z Mombasy w interior jeszcze inna uczęszczana droga, zahaczająca o bogate dzielnice przedmiejskie, ciche i wytworne, ukryte w zieleni. Nie brak tam dużych gospodarstw, owocowych sadów, wspaniałych rezydencji z basenami i oświetlonymi tajemniczo werandami, na których w wonnym, parnym i gęstym powietrzu nocy toczą luksusowy żywot wybrańcy losu. Jednym z nich jest skromny polski włókiennik z Bielska-Białej, przebywający tu z żoną na dwuletnim kontrakcie. Byliśmy z Henrykiem Walkiewiczem, kapitanem M.S. „Władysław Łokietek" na kolacji u tego faceta; wprowadziła nas tam czwórka naukowców z Łódzkiego Uniwersytetu. Jak wypiliśmy wódkę, tośmy wstali i pojechali w odwiedziny do pewnego emigranta z Afryki Południowej, który zdezerterował jednak przed nami. Jest podobno biały jak prześcieradło w luksusowym pensjonacie, ale Afrykanerzy dopatrzyli się w nim domieszki kolorowej krwi i zaczęli go spychać na siedzenia dla smoluchów, więc zdenerwował się i przeniósł do Kenii, gdzie szybko dorobił się dużej farmy z rojem murzyńskich sług obojga płci. Zacni owi posługiwacze przeprosili nas w imieniu gospodarza, że nie mógł przyjąć nas osobiście i obdarowali koszem owoców południowych.

Byłem trochę zawiedziony, lecz włókiennik zadbał, abyśmy się nie nudzili i zabrał nas na piwo w ogrodzie hotelu „Traweler", gdzie kluczowym punktem programu był pokaz tańca w wykonaniu autentycznych Masajów.

Kobiety z tego plemienia są wygolone na pałę, a mężczyźni mają włosy uczesane w specyficzny sposób do góry i podpięte na czole. Są wysocy i szczupli, bez śladu brzucha, który dźwiga przed sobą większość dojrzałych Murzynów. Rysy mają delikatne, dziewczęce, trochę jakby zawstydzone, a ciała gibkie i przyczajone. Tańczą drepcząc w gruncie rzeczy w miejscu, na ugiętych kolanach. Pohukują od czasu do czasu na niewidocznego wroga, wymachują tarczami i dzidami, co sprawia raczej komiczne wrażenie, gdyż na biodrach noszą spódniczki. Po występie, który jest monotonny i nieciekawy, trochę zbyt skromny, jak na famę otaczającą ich kulturę, próbują sprzedać swoje wojenne akcesoria hotelowym gościom.

Żal ich trochę. Na całym świecie czarna rasa walczy o swoje prawa do pełnego człowieczeństwa, lecz tu, w Afryce, plemienne waśnie między ludami sprawiają, że czarni załatwiają samych siebie. Hindusi, Chińczycy, Japończycy, Malaje potrafią być szalenie hermetyczni i dumni ze swego pochodzenia. Murzyn natomiast zrobi wszystko, aby odstać. Wystarcza trochę jaśniejszy kolor skóry, aby Murzyn pogardzał Murzynem; Murzynki okładają sobie twarz białą maziugą i nie ustają w wysiłkach, by rozprostować włosy.

Murzyn codziennie robi stwórcy wyrzuty:

— *Czemu nie urodziłem się białym człowiekiem?!*

Murzynki, zamiast narzekać, szukają sobie białych partnerów.

BERLIN: — W NRD opracowano własny styl manifestacji.

Kiedy runął mur

KATARZYNA PEŁKA

W czwartek, 23 listopada o godzinie 18 na przejściu granicznym w Berlinie zobaczyłam kilkadziesiąt osób. To nie by'' wyłącznie obywatele NRD jak mogłam stwierdzić patrząc na ich dokumenty. Kolejka posuwała się dość szybko, do dyspozycji ludzi oddano bowiem cztery okienka kontroli paszportowej. Obok zwykłego przejścia zauważyłam wejście dla dyplomatów — tutaj nikt nie czekał.

Graniczny przejazd kolejką na Friedrichstrase nie jest jedynym sposobem na odwiedzenie Berlina Zachodniego. Otworzono do tej pory ponad dwadzieścia punktów kontroli granicznej w samym tylko Berlinie. Wszystko po to, by umożliwić ludziom przejście na drugą stronę. Masowy exodus enerdowców na Zachód trwa.

Berlin — po raz pierwszy

Stolica NRD nie wygląda na miasto opanowane przez idee opozycji politycznej. Okazały Hauptbannhof, reprezentacyjna Unter den Linden i historyczna Brama Brandenbursk sprawiają wrażenie stateczności, powagi, spokoju. Mnóstwo zabytków, bogatych restauracji, zachodnich samochodów, w sklepach pełne zaopatrzenie.

Najbliższe przejście do Berlina Zachodniego znajduje się w centrum na Friedrichstrase. W poniedziałkowy wieczór tłumy ludzi przewijają się w miejskiej kolejce i na przejściu pieszym, przede wszystkim powracających do domu po całodziennej eskapadzie. Większość z nich ma za sobą długie godziny stania po „powitalny prezent".

Zgodnie z porozumieniem władz każdy obywatel, zamieszkały na stałe w NRD może do końca 1989 roku odebrać przy okazji podróży do sąsiadów sto marek zachodnioniemieckich. Ta suma pokryć powinna pierwsze skromne wydatki. Spokojni dotąd Niemcy poczuli nagle siłę przyciągania pieniądza. Ruszają trabantami i wartburgami na podbój banków, poczty i Rathaus'ów (urzędów miejskich) w RFN, gdzie mogą podjąć bez żadnej opłaty (ekwiwalentu) przysługujące im „wjazdowe". Kiedy dotrą już do najbliższego za granicą miasta robią szybciutko zakupy i... wracają do NRD. Rzadko kogo udało się zwerbować na stałe — jest to zwykle jednodniowa wycieczka, bo przecież czeka na nich dom i praca. Kojarzy się tu „stary pruski ordnung". Zaskakujące jednak może być oszustwo, którego dopuścili się niektórzy obywatele NRD. Na samym początku, po otwarciu granicy, co bardziej „przedsiębiorczy" zainkastowali ów „prezent z Zachodu" dwukrotnie: raz na podstawie stempla w paszporcie i powtórnie — na dowód osobisty. Udało się władzom szybko zorientować w tym małym przestępstwie i obecnie wyjechać z kraju można wyłącznie za okazaniem Ausweisu.

Powitalne marki nie są jedyną próbą zachęty i okazania dobroci. Dodatkową atrakcją jest urzędowa wymiana w stosunku 1:1 — 15 marek wschodnich na 15 marek zachodnich Z tej formy obywatele NRD korzystają równie ochoczo. Dziś wizy wyjazdowe ma już około 10 mln enerdowców.

Adorf — nadgraniczne zacisze

To niewielkie miasteczko leży na południe od Plauen, blisko dwóch granic: z RFN i CSRS. Spokojne i ciche, teraz zasypane śniegiem, pulsuje swoim własnym życiem. Tak jak inni, mieszkańcy Adorfu włączyli do programu dnia dodatkowy element — wyjazd do RFN. Oczywiście, nie na stałe. Raczej, można powiedzieć, z wizytą po prezent...

Przejście graniczne znajduje się dość blisko — w Ulitz. I, wbrew pozorom, wcale to nie ułatwia podróży. Właściwie już od Zwickau ciągnie się sznur samochodów, zdążających w kierunku granicy. Pojazdy muszą zatrzymać się kilka kilometrów wcześniej, przed przejściem, dalej wycieczka wlecze się w żółwim tempie. Tysiące aut oczekujących na odprawę graniczną powoduje wstrzymywanie ruchu na autostradzie. Toteż policja postawiona już dawno w stan gotowości, cały czas pilnuje, by kolejka nie powiększyła się zbytnio. Gdy samochodów jest za dużo pojawia się ostrzegawcze: **„Halt"** i kierowca może szukać miejsca na innym przejściu. Ludzie próbują ustawić się z różnych stron we właściwym „rządku", czasem nawet kilkakrotnie. Wycofanie się jest w takiej sytuacji praktycznie niemożliwe.

Położenie Adorfu sprzyja „oglądalności telewizyjnej". W tym miejscu doskonale odbiera się programy telewizji RFN. Można więc, dla rozrywki porównać poziom techniki, zawartości audycji w jednym i drugim kraju, a co ważniejsze, wyselekcjonować odpowiednie informacje.

Enerdowska TV prezentuje teraz obok codziennych informacji i komentarzy sporo publicystyki politycz. ej, związanej głównie z sytuacją w kraju. Pojawiają się reportaże, fragmenty demonstracji, interesujące rozmowy i wywiady, ostatnio zwłaszcza mówi się o przyszłych, wolnych wyborach i kontrkandydacie dzisiejszego szefa państwa z ramienia LDPD.

RFN koncentruje się w swych programach na kwestiach emigracji Niemców, trudnościach z pieniędzmi, żywnością. Pokazuje się w telewizji ludzi wyjeżdżających z kraju, porzucone mieszkania.

Różnica jest więc dość wyraźna — NRD zajmuje się głównie polityką państwową, RFN — gospodarką i polityką społeczną. Dzięki temu Zachodnie **Niemcy są** dziś na ustach wszystkich — burzą stabilizację i uporządkowany dotąd niemiecki świat.

Berlin — po raz drugi.

Długi sznur samochodów, który zobaczyć można z okien pociągu do Berlina w pobliżu Schoenefeld, zaciekawia wielu pasażerów. Po obu stronach przejazdu kolejowego, jak okiem sięgnąć, ustawionych jest mnóstwo aut — kierunek zachodni.

Pociąg kończy bieg na stacji Berlin-Lichtenberg. Tutejszy dworzec nie należy z pewnością do najprzyjemniejszych miejsc na świecie — brudno, rozsypane śmieci, potłuczone butelki... I, nade wszystko przerażający tłok. To wręcz niewiarygodne. W środku tygodnia, o godzinie 16 na berlińskiej stacji zgromadziły się tłumy. Trudno przejść choćby parę metrów — na peronie po prostu nie ma miejsca. Ktoś mógłby powiedzieć, że to tak jak z polskim dworcem tuż przed świętami, ale to wygląda raczej na wędrówkę. ludów. Ruch zatamowany został na peronach i na schodach. Na naszych oczach dwie osoby wyciągnięte z tłumu przewieziono do ambulatorium. Raz po raz w hallu głównym rozlegają się komunikaty, na przykład: 3-letni chłopiec zgubił się na peronie, czeka na rodziców u dyżurnego ruchu. Wszędzie kolejki, przepychanka, nerwy...

W centrum miasta spokój, otulony grubą warstwą śniegu.

Lipsk — czyżby polski Gdańsk?

Według opinii wielu N'emców tu właśnie tkwi zarzewie buntu. W lipskich fabrykach, szkołach, domach W każdy poniedziałek wielotysięczna demonstracja przechodzi ulicami z placu Karola Marksa do kościoła św. Mikołaja, gdzie z ambony płyną słowa poparcia, zachęty, życzenia odwagi i siły.

„My to naród — Lipsk demonstruje" pod takim hasłem wznoszone są postulaty manifestantów: wolność polityczna, ustąpienie dotychczasowych władz, zmiana konstytucji, wolne wybory, wolność obywateli, swoboda rynku... Tłumy nie zachowują się agresywnie, dlatego zbędna jest jakakolwiek interwencja. Ostatnie starcia demonstrantów z policją miały miejsce w październiku i do dziś są szeroko komentowane.

NRD wypracowała własny styl manifestacji. W małych ośrodkach ludzie zwykle zbierają się w różnych punktach miasta i przechodzą w kierunku kościoła, trzymając w rękach zapalone świece, a teraz również coraz częściej transparenty Ma to specyficzny nastrój i dlatego cała demonstracja nabiera jakby sakralnego, niezwykle dojrzałego i dostojnego charakteru, taka atmosfera przypomina raczej pielgrzymkę niż wystąpienia uliczne. Na Polakach ta forma walki robi wrażenie zupełnie nieskutecznej „pokazówki".

Niemcy z wrodzoną skrupulatnością dokładnie planują każdą demonstrację — w poniedziałek Lipsk, wtorek Berlin, niewielki Adorf ma „swój dzień" w czwartek. Porządek trzeba zachować.

Co mówią ludzie?

Uczestnik manifestacji w Lipsku: — **W naszych poniedziałkowych manifestacjach bierze udział wielu ludzi — wydaje mi się, że nawet setki tysięcy. Czego chcemy? To chyba już wiedzą wszyscy: zmiany aparatu rządowego, reformy systemu. Najbardziej zapadł nam w pamięci Stalin i Breżniew — pamiętamy 1953 rok, czołgi w Berlinie... Jesteście z Polski? U was już spokój. My na razie skandujemy na pochodach: „Gorbi, Gorbi..." Ten jest O.K.**

Polak „na tranzycie": — **Mam przed sobą całą noc tu na Lichtenberg — przejście na Friedrichstrase otwierają dopiero nad ranem. Siedzę i podziwiam, co rewolucja zrobiła z tego kraju. Byłem w NRD jakieś dwa miesiące temu. Teraz nie poznaję — no choćby i ten dworzec. Nie ma nawet kto posprzątać, pozabierali ławki, ludzie muszą spać na „kartonowych kocykach". Taki mały Sajgon. Niemcy już chyba się z tego nie poz lerają. Dostali szkołę — no, chyba że im Zachód pomoże.**

Mieszkaniec Adorfu: — **Jak dotąd niewielu z nas skorzystało z możliwości pozostania w RFN, Dorośli jadą, pooglądają i wracają. Gorzej z młodymi — ich ciągnie na Zachód. Nam żyje się tu całkiem dobrze — chociaż nie znaczy to, że reformy są niepotrzebne. Pieniądze? — Faktycznie te wycieczki po sto marek nie są dla nas chlubą, niektórzy ciągną ze sobą nawet maleńkie dzieci i staruszków, ale cóż... To taki magnes.**

Polak w Berlinie Wsch. — **Jadę po zakupy do Zachodniego. Co tam się teraz dzieje... Czy widać enerdowców na ulicach? Pewnie. Jeśli kogoś widać to właśnie Polaków, Turków i enerdowców, Idzie sobie taki Niemiec, popija piwo z puszki, pustą rzuca na ziemię i przydeptuje. To niby niemiecka kultura? Dziękuję bardzo.. Teraz podskoczyły ceny, zwłaszcza bazarowe. Wszystko staje na głowie. Szkoda słów.**

Powracającemu z podróży...

24 listopada, **Rada Ministrów** NRD wprowadziła ograniczenia wobec **cudzoziemców** — zakaz kupna i wywozu **większości** artykułów **dostępnych** na rynku. W piątek po południu z koszyków polskich i radzieckich turystów brutalnie wyrzucano puszki mięsne, czekoladę, cukier, masło. Wstrzymano sprzedaż sprzętu gospodarstwa domowego. Najbardziej dotknęło to pracujących w NRD Polaków, którym zdarzało się, iż bez Ausweisu nie mogli kupić nawet chleba.

W lipskim domu towarowym popłynął beznamiętny głos spikera mówiącego po rosyjsku, że władze NRD zakazują i ograniczają, i proszą o respektowanie ich przepisów Nas jednak nic na świecie nie jest w stanie zrazić do podróży, Polak przecież to „obywatel świata". Dlatego międzynarodowy pociąg z Lipska do Lublina, jak co piątek, wypełniony był po brzegi.

TBILISI: — W godzinach pracy pełne tu ulice i kawiarnie zupełnie jak w Warszawie.

Przy kielichu „Napareuli"

WITOLD KASPERKIEWICZ

Gruzińska legenda głosi, że Bóg przydzielił Gruzinom niewielki, ale najpiękniejszy zakątek kuli ziemskiej. Zakątek ten Bóg miał zamiar zachować dla siebie, ale ponieważ Gruzini spóźnili się na zebranie wszystkich narodów, podczas którego stwórca dzielił ziemię, zabrakło dla nich terenów do zamieszkania. Bóg okazał jednak Gruzinom wielką życzliwość i podarował im swoją wspaniałą krainę. Jest w tej legendzie dużo prawdy; Gruzja rzeczywiście urzeka przybysza urodą krajobrazu, klimatem i gościnnością mieszkańców. Trudno jednak zgodzić się z sielankowym obrazem Gruzji, który często wyłania się z turystycznych folderów. Gruzja przeżywa obecnie wiele trudności politycznych, gospodarczych i społecznych, które kładą się cieniem na obrazie tej uroczej republiki radzieckiej

Obserwacje poczynione w czasie pobytu w Tbilisi w październiku 1989 r. skłaniają do refleksji, że Gruzja pulsuje, o czym świadczy wysoka temperatura emocjonalna nastrojów społecznych, silne dążenia do autonomii politycznej i pogarszająca się kondycja gospodarki gruzińskiej. Ciągle żywe są w pamięci Gruzinów, a zwłaszcza mieszkańców Tbilisi, wspomnienia o tragicznych wydarzeniach z kwietnia 1989 roku, kiedy w wyniku brutalnej akcji oddziału wojsk wewnętrznych życie straciło 16 osób, w tym 14 kobiet (informacja o liczbie ofiar z wydawnictwa Radzieckiego Komitetu Pokoju pt „XX Century and Peace"). Tragedia ta miała miejsce przed gmachem rządu gruzińskiego przy głównej ulicy Tbilisi — Rustawelego. Fragment ulicy przylegającej do gmachu rządu ogrodzono płotem, a znajdujące się tam do niedawna potężne rzeźby z epoki socrealizmu zostały zdemontowane. Pomimo tych posunięć miejsce tragedii jest nadal odwiedzane przez mieszkańców Tbilisi; na płocie pojawiają się odezwy i wiersze, a także wiązanki kwiatów i świeczki.

W październiku Gruzini pogrążeni byli w smutku z powodu śmierci Meraba Kostawy (przywódcy Frontu Narodowego Gruzji), który zginął w wypadku samochodowym. Uroczystości pogrzebowe trwały tydzień, a ich finałem było złożenie ciała M. Kostawy w gruzińskim Panteonie. W tym świętym dla Gruzinów miejscu spoczywają znakomici pisarze, artyści, działacze polityczni, tacy jak Ilia Czawczawadze — poeta i działacz społeczny, Zakaria Paliaszwili — kompozytor, Dawid Kakabadze — malarz. Intrygującym faktem jest sprawa grobu matki Stalina, który znajduje się w owym Panteonie. Otóż w ostatnich miesiącach z płyty nagrobkowej matki Stalina wymazano napisy i grób ten jest anonimowy, ale zarazem poprzez ten zabieg wszystkim wiadomo czyj to grób.

Mieszkańcy Tbilisi, a zwłaszcza młodzież akademicka i szkolna, wiele czasu poświęcają na wiece polityczne, które określają z angielska mianem mityngów. Fala mityngów przybiera na sile po ważnych wydarzeniach, np. po śmierci M. Kostawy, gdy powstał problem wyłonienia nowego lidera ruchu narodowego. Pretekstem do zwołania mityngu są również powody dość błahe, w rozumieniu obcokrajowca, np. wywiad telewizyjny z przewodniczącym komisji deputowanych ludowych ds. wyjaśnienia przyczyn i przebiegu wydarzeń kwietniowych. Nazajutrz po ukazaniu się tego wywiadu w centrum Tbilisi odbył się wiec, na którym domagano się ujawnienia całej prawdy o tym wydarzeniu, podania nazwisk osób odpowiedzialnych za przeprowadzenie akcji itp. Osobliwością owych mityngów jest to, że przebiegają one na najbardziej ruchliwej ulicy Rustawelego; po prostu ludzie stoją na środku ulicy i blokują ruch samochodowy, co praktycznie paraliżuje komunikację autobusową w Tbilisi. W związku z tym władze miejskie wysunęły propozycję, aby wydzielić specjalny plac na tego rodzaju wiece, coś na kształt Hyde Parku.

W Tbilisi można zaobserwować liczne symptomy kryzysu gospodarczego, który ogarnął Związek Radziecki. Gruzja już od dawna uchodzi za najzamożniejszą republikę radziecką. Dlatego też gwałtowne pogorszenie się sytuacji rynkowej w 1989 roku jest dotkliwie odczuwane przez Gruzinów, którzy przyzwyczaili się do względnie dobrego zaopatrzenia w swojej republice. Obecnie w systemie kartkowym sprzedawane jest nie tylko mięso, lecz także ser biały, masło i cukier. W niedalekiej przyszłości należy spodziewać się, jak twierdzili moi gruzińscy rozmówcy, kartek na mydło i proszek do prania.

Innym problemem bardzo dokuczliwym i dotychczas nie znanym dla Gruzinów jest ostry niedobór benzyny. Przed stacjami benzynowymi pojawiły się olbrzymie kolejki zmotoryzowanych, co stanowi niewątpliwe novum w „krajobrazie" gruzińskim. Jak przystało na nowicjuszy kolejki te są źle zorganizowane, często dochodzi do kłótni i bijatyk między kierowcami. Daje znać o sobie brak doświadczenia w organizacji systemu kolejkowego (Polacy mogliby służyć jako wytrawni nauczyciele) oraz południowy temperament, który nie pozwala Gruzinowi na cierpliwe oczekiwanie w tłumie na swoją kolejkę. Przyczyn deficytu benzyny należy poszukiwać zdaniem Gruzinów w ograniczeniu dostaw tego paliwa z Azerbejdżanu, co z kolei wiąże się z konfliktem armeńsko-azerbejdżańskim o Nagorno-Karabachię. W konflikcie tym Gruzini sympatyzują z Ormianami. Władze Gruzji próbują pomóc Armenii w dostawach podstawowych produktów, aby w ten sposób złagodzić blokadę kolejową, jaką Ażerbejdżan zastosował wobec Armenii.

W Gruzji, podobnie jak w innych republikach radzieckich, funkcjonuje dualizm rynkowy w sferze produktów żywnościowych, tzn. istnieje państwowy obrót towarowy, w którym obowiązują ceny urzędowe, a obok niego rynek kołchozowy z cenami bazarowymi. W Tbilisi centralny bazar owocowo-warzywny i mięsny prezentuje się imponująco. Uderza olbrzymia oferta owoców, mięsa, wędlin i ryb. Istnieje duży kontrast między zaopatrzeniem na bazarze, a ofertą towarową w sklepach państwowych. Należy jednak pamiętać, że ceny bazarowe są średnio 3—5-krotnie wyższe od cen państwowych. Niektóre gatunki mięsa i wędlin są nawet 8-krotnie droższe. Dla osób zarabiających miesięcznie 100—120 rubli i emerytów z dochodami około 60 rubli zakupy na bazarze są niemal aktem odwagi.

W Polaku, który jest smakoszem szlachetnych trunków, zazdrość budzić musi bogaty repertuar win, koniaków i wódek w sklepach Tbilisi. Należy dodać, że w Gruzji nie obowiązuje tzw. suchy zakon, czyli ograniczenie czasu sprzedaży alkoholu i punktów sprzedaży. Gruzja tradycyjnie jest krainą wina; wina gruzińskie nie ustępują klasą odpowiednikom francuskim, co niedawno potwierdzili specjaliści z Francji. Ceny wina kształtują się następująco: wino „Gariedzi" — najtańsze kosztuje 1,5 rubla, lepsze gatunkowo wina, np. „Napareuli" wyróżniające się doskonałym bukietem, w granicach 2,7—3,2 rbl. Koniak gruziński można nabyć za ok. 14 rbl. („Aragbi"), a bardziej luksusowy „Eniseli" za 25,8 rbl. Dla Polaków cierpiących na marskość wątroby, a więc nie mogących rozkoszować się gruzińskim winem, cenna będzie informacja o znakomitych wodach mineralnych, które można kupić w każdym sklepie spożywczym. Niekwestionowaną królową gruzińskich wód mineralnych jest „Borżomi" (0,40 rbl).

Trudno oprzeć się wrażeniu, że Tbilisi jest w pewnym stopniu warszawskie. To podobieństwo nie jest związane z położeniem czy architekturą, lecz dotyczy bardzo prozaicznej sprawy. Otóż zarówno w Warszawie, jak i w Tbilisi, w godzinach pracy panuje tłok w kawiarniach, a na ulicach kłębią się tłumy ludzi. Pod tym względem Tbilisi przypomina naszą Warszawę. W Tbilisi ludzie załatwiają wiele spraw w czasie, który powinni poświęcić na pracę zawodową. Przybysz z Polski czuje się więc bardzo swojsko. Na podkreślenie zasługuje fakt, że gastronomia w Tbilisi prezentuje znacznie wyższy poziom niż warszawska czy łódzka. Nie ma w Tbilisi potworków gastronomicznych w rodzaju bud z zapiekankami czy pseudobarów-bistro, są natomiast liczne bary odpowiednik naszych upadających barów mlecznych, gdzie można zjeść posiłek szybko i tanio.

W rozmowach z Gruzinami trudno uniknąć wątków dotyczących oceny J. Stalina. Zaskakująca może być obserwacja dotycząca zabarwienia ocen. Znamienne jest, że wśród młodego pokolenia Gruzinów i inteligencji dominują opinie zdecydowanie krytyczne. Grupy te eksponują terror stalinowski, wyniszczenie inteligencji, błędne decyzje w dziedzinie polityki narodowościowej, co obecnie ujawniło się w dramatycznym konflikcie ormiańsko-ażerbejdżańskim. Natomiast inne spojrzenie na postać Soso mają ludzie starszego pokolenia, reprezentujący raczej kręgi nieinteligenckie. Twierdzą oni, że za czasów Josipa Wissarionowicza był „porządek" niskie i stabilne ceny na podstawowe produkty, lepsze zaopatrzenie w sklepach itp. Pożywką dla tego rodzaju opinii jest niewątpliwie pogarszający się stan rynku w Gruzji i pogłębiające się konflikty narodowościowe (w Gruzji zaktywizowali się Abchazi domagający się suwerenności). W tej sytuacji rodzi się u części społeczeństwa zapotrzebowanie na człowieka, który wziąłby wszystko w „garść" i zaprowadził porządek.

Konflikty społeczne i kłopoty gospodarcze tak bardzo dokuczające Gruzji znajdują swoje odzwierciedlenie w obyczajowości stołu gruzińskiego, który jest tam bardzo ważną instytucją życia towarzyskiego. Najczęściej wygłaszanym obecnie toastem przy stole jest toast „za pokój". Gruzini bardzo obawiają się radykalizacji konfliktu o Nagorno-Karabachię i ekstremalnych działań Abchazów. Przebywając w gościnnej Gruzji należy więc pamiętać, aby przed wychyleniem kielicha wina „Napareuli" wznieść toast za pokój w Gruzji.

Wideonotes

FILM TV WIDEO

Baba w babie, a w tej babie..."

— rozmowa z WOJCIECHEM JERZYM WÓJCIKIEM, reżyserem filmowym.

— Jest pan autorem scenariusza i reżyserem najnowszego filmu pt. „Miałeś mnie zabić na końcu". Skąd wziął pan pomysł na film?

— Pomysł dojrzewał we mnie przez trzy lata. Samo napisanie scenariusza to nic trudnego, nie trwa zbyt długo. Natomiast proces dochodzenia do ostatecznego kształtu filmu jest najbardziej długotrwały i podlega rozmaitym modyfikacjom. Wydaje mi się, że każdy reżyser marzy o zdemaskowaniu własnej kuchni, po to by zabawić się swoim filmem. Mnie także nurtował ten pomysł: jak zrobić film o realizacji filmu, a na dodatek to wszystko chciałem powiązać z rzeczywistością. Pomysł na film sprowadziłbym do stwierdzenia, że jest to baba w babie, a w tej babie jeszcze jedna baba.

— Czy może pan zdradzić, jaką historię film będzie opowiadał?

— Nie chętnie, stąd przekaz będzie bardzo skrótowy. Młodzi ludzie pracujący w fabryce mają nadmiar wolnego czasu, wynikający ze strajku. Jeden z głównych bohaterów idzie na przysłowiową „fuchę" do prywatnego mieszkania scenarzysty. Tam wpada mu do ręki scenariusz filmu, którego treścią jest napad na bank. Marek modyfikując lekko intrygę filmową, postanawia wprowadzić ją w życie. O ile w filmie wszystko układa się bardzo pomyślnie, o tyle życie pozbawione jest tak prostych rozwiązań. W odniesieniu do życia istnieją dwie pointy. Jedna z nich jest szalenie przewrotna, tak zresztą jak przewrotna jest rzeczywistość, w której żyjemy...

— Czy z tego powodu imiona bohaterów pańskiego filmu Marek i Szwagier odpowiadają nazwiskom bohaterów z filmowej fikcji: Markowski, Szwagrowski?

— Nie. Scenariusz jest technicznym zapisem dopuszczającym daleko idące uproszczenia, ale jedynie w sferze werbalnej. W filmie takich prostych odniesień brak.

— Ale przecież role filmowych bohaterów i bohaterów z filmowej fikcji powierzył pan tym samym aktorami: Piotrowi Siwkiewiczowi i Wojciechowi Malajkatowi.

— To prawda. Mnie jednak zależało na przełamaniu powszechnie obowiązującej zasady w kinie która dopuszcza że życie prowokuje rozwiązanie filmowej intrygi. Chciałem odwrócić sytuację i pokazać jak dalece film może wpłynąć inspirująco na życie. To jest cały powód dla którego podjąłem się realizacji filmu „Miałeś mnie zabić na końcu".

— Czy ten film będzie, podobnie jak poprzednie pańskie filmy: „Karate po polsku", „Sam pośród swoich" „Prywatne śledztwo" podnosił treści ponadczasowe?

— Myślę, że tak. Każda opowiadana historia jest dla mnie pretekstem by pod płaszczykiem fabuły przemycić prawdy uniwersalne, które nie muszą mieć nic wspólnego z opowiadaną historią. Denerwuje mnie bardzo, kiedy przesłania z moich filmów są fałszywie interpretowane. Uważam, że zbyt łatwo krytyka może manipulować twórczością filmową.

— Czy ma pan na myśli swój poprzedni film „Prywatne śledztwo", który znalazł się na liście dwustu tytułów filmowych z całego świata, uznanych za najbardziej okrutne i epatujące widzą przemocą?

— Tak. Podobno przemoc i okrucieństwo były w tym filmie ewidentne. Bardzo mnie cieszy, że mój film obejrzało liczne gremium o zasięgu światowym, ale obecność mojego filmu na tej liście pozwala wyciągnąć pewien wniosek, że temu zjawisku towarzyszyła mała manipulacja z obszaru między Odrą i Bugiem. Uważam, że jacyś ludzie urządzili sobie bardzo tanią wycieczkę w świat zgłaszając „Prywatne śledztwo" do przeglądu filmów najbardziej drastycznych wbrew przesłaniu płynącemu z filmu. Przecież mój film opowiadał się przeciwko przemocy. Mam wrażenie, że jego obecność na liście czyni „Prywatne śledztwo" wyschniętą skorupą orzecha kokosowego bez mleczka. Wracając do filmu „Miałeś mnie zabić na końcu" wydaje mi się, że będzie to najbardziej optymistyczny film w mojej drodze artystycznej. Kończy się bowiem akcentem że w ponurym mieście na pochmurnym niebie pojawia się słońce. To wskazuje na odradzanie się nadziei oraz jej spełnienie.

— Krytycy bardzo chętnie dzielą filmy na politycznie zaangażowane i apolityczne, czy widzi pan dla siebie miejsce w tej dychotomii?

— Każdy film osadzony jest w konkretnej rzeczywistości. Ja hołduję swoistemu votum separatum od wszelkich koniunktur. Zdecydowanie odcinam się od działań artystycznych zakładających, że jeżeli nie jesteś z nami, to jesteś przeciwko nam. Takie szufladkowanie filmów jest totalną bzdurą. Historia jest zawsze obecna w filmie, zaś krytycy na siłę dopisują przesłania, najbardziej pasujące im do teoretycznych rozważań. To nie jest tak do końca i mam nadzieję, że wymykam się spod tej klasyfikacji.

— Wróćmy jednak do pańskiego ostatniego filmu. Jakie miał pan największe trudności przy jego realizacji?

— Dla mnie najtrudniejszym momentem jest ten, w którym angażuję nowych aktorów. Bardzo wierny jestem starym przyjaźniom, a w tym filmie pojawili się nowi aktorzy, z którymi jeszcze nie współpracowałem. Zresztą sam to sobie narzuciłem. Musiałem ich zrozumieć, pokochać i zaufać im. Przecież film będzie tylko wtedy udany, jeżeli nasze wzajemne zaufanie znajdzie potwierdzenie na ekranie.

— Dlaczego odszedł pan od swoich wypróbowanych przyjaciół?

— Musiałbym nieustannie pisać scenariusze pod bardzo konkretnych aktorów, a to rodzaj ograniczenia artystycznego. Mój ulubiony aktor **Jan Jankowski** ma już 30 lat, a ja potrzebowałem młodszego bohatera. Angażując Janka byłbym nieuczciwy wobec siebie samego i wobec niego także. Musiałem sobie zapewnić dopływ świeżej krwi. Wydaje mi się, że jestem bogatszy o nowe wzajemne uczucia. Bardzo wysoko cenię sobie przyjaźń wynikającą z pracy bowiem jest to forma najbardziej wiążąca. Poza tym warto skończyć z zasadą, że aktor gra tylko u jednego reżysera.

— Kiedy przewiduje pan ukończenie filmu?

— Kończymy postsynchrony i zaczynamy efekty synchroniczne. W listopadzie będziemy podkładali muzykę i mam nadzieję, że skończymy film. Nie potrafię jednak przewidzieć, kiedy będzie premiera.

— Dziękuję za rozmowę.

IWONA NIEMIEC-ADAMSKA

„Miałeś mnie zabić na końcu"
Scen. i reż.: Wojciech Jerzy Wójcik. Zdj.: Jacek Mierosławski. Scenogr.: Andrzej R. Waltenbenger. Muz.: Zbigniew Górny. Kier. prod.: Joanna Kopczyńska. Wyk.: Piotr Siwkiewicz, Wojciech Malajkat, Jolanta Nowak, Ewa Telega-Isajewicz, Monika Bolibrzuch, Maciej Prus, Leon Niemczyk, Ryszard Kotys i inni.

Masz temat dla reportera?
Coś cię drażni, niepokoi,
szlag cię trafia — podnieś
słuchawkę i wykręć numer: 36-77-70

Poglądy opinie i fakty przedstawiamy w relacji z reporterskiego dyżuru wyłącznie na odpowiedzialność Czytelników, którzy przekazali je nam telefonicznie. Rubryka ta funkcjonuje na zasadzie wzajemnego zaufania. Daje ona naszym Czytelnikom możliwość przekazania opinii publicznej spraw, które utrudniają im życie.

Na Twój telefon czekają redaktorzy:

7 grudnia — DARIUSZ DOROŻYŃSKI — godzina 10—15.

4 stycznia — BOGDA MADEJ — godzina 10—15.

RELACJA Z DYŻURU REPORTERSKIEGO W DNIU 30.11.1989 R.

Telefonów sporo, ale dyżur jakby spokojniejszy. I chyba nie dlatego, że problemów ubyło, tylko jakbyśmy się do niektórych zjawisk lekko przyzwyczaili. Ot, nie było dla przykładu ani jednego sygnału w sprawie wysokich cen, jakichś podwyżek horrendalnych. Nawet zmotoryzowani nie narzekali. Czyżby wszyscy stali w kolejkach po paliwo? Chyba nie choć sugeruje to — na co wskazał mi jeden z telefonujących Czytelników — **Roman Dębecki** w DŁ z 30 listopada br. pt. „Jak on to zrobił?" Tak zwaną całą winę autor chytrze zwala na ministra Tadeusza Syryjczyka, jako „autora" — po wystąpieniu w telewizji — gigantycznych kolejek po paliwo. Akurat tu się z panem Romanem Dębeckim nie zgadzam: benzyny jest po prostu o wiele za mało i kolejek nie unikniemy, podobnie jak podwyżek paliwa, choć nie ma mądrego, który stwierdziłby jaka jest w przypadku benzyny na dzień dzisiejszy tak zwana cena równowagi rynkowej 1200 złotych, a może 2000...?

No, ale wróćmy do dyżuru. Nie ma sensu wymieniać osób, które z ich kłopotami odesłałem do administracji, sporo było też utyskiwań na pracę MPK i MPO. Jedni słabo jeżdżą, drudzy — słabo sypią i odgarniają. Z pewnością racja wielę mamy do zarzucenia obu instytucjom, choć tłumaczą się że robią, co mogą by jesienny atak zimy udało nam się przetrzymać. Od siebie mogę tylko dodać, że na śliskich zlodowaciałych jezdniach fatalnie nonszalancko zachowuje się wielu zmotoryzowanych oraz — pieszych, którzy, co stwierdzam ze zgrozą, bardzo często kompletnie ignorują czerwony kolor świateł sygnalizatora...!

Tak na dobrą sprawę to miałbym ochotę zamieścić szczegóły tylko jednej rozmowy, z **Kazimierą Krystkowiak**, zamieszkałą przy ulicy Pabianickiej. Historia życia tej blisko 80-letniej dziś kobiety, która przez wiele lat mieszkała w Zaleszczykach (czy młodym to jeszcze coś mówi?...), mąż był oficerem w Korpusie Ochrony Pogranicza, a po jego tragicznej śmierci i sześcioletniej, wojennej gehennie, jako repatriantka przyjechała do Łodzi — zafrapowała mnie bardzo i wierzę, że powstanie z tego osobny materiał, który trafi na łamy „Odgłosów".

I jakby mało było udręki: w 1983 roku pani Kazimiera uległa ciężkiemu wypadkowi. Głośna to była sprawa — rozpędzony samochód wpadł na chodnik ulicy Kopernika przy Żeromskiego, raniąc wiele osób, w tym moją rozmówczynię. Ze złamanym kręgosłupem pani Krystkowiak ponad pół roku przeleżała w gipsie, do końca życia będąc już skazana na specjalny „pancerz". I oto w trakcie tak tragicznych wydarzeń niczym szczur z nory wyłazić poczęła nasza szara rzeczywistość: nie opisując już szczegółowo annałów spraw sądowych o odszkodowanie (łącznie z Sądem Najwyższym) wreszcie inwalidce I grupy przyznano rentę miesięczną **w wysokości 8 tysięcy złotych...** Było to w roku 1984. I do dziś **II Inspektorat PZU przy ulicy Piotrkowskiej 192** przekazuje tę już nawet nie żebraczą rentę na konto naszej Czytelniczki...

A poza tym? Kilka jeszcze innych sygnałów. Oto pan **Ryszard Ż.** słusznie sugeruje by złagodzić lub wręcz generalnie zmienić nieżyciowe przepisy uniemożliwiające bądź utrudniające nabycie przeciętnemu Kowalskiemu kawałka ziemi od rolnika. Często są to nieużytki, choć teoretycznie mówi się, że ktoś tam wypasa krowy... Przy istniejącym głodzie mieszkaniowym wielu zapewne byłoby chętnych na wybudowanie na tych skrawkach prostego domu z ogródkiem czy warzywniakiem. — Ziemi jest dość, chętnych też nie brakuje, przestańmy wciąż biadolić nad trudnościami mieszkaniowymi, brakiem działek — grzmiał w słuchawkę Czytelnik — weźmy się do roboty, tylko trzeba nieco zmodyfikować nieżyciowe przepisy..

Pan **Ireneusz Żukowski** chwaląc pomysł wprowadzenia przez MPK tak zwanych tygodniowych biletów był nieprzyjemnie zaskoczony technicznymi kłopotami, jakie ta akcja sprawiła ... samej MPK. Profilaktycznie zakupił kilka biletów na pięć tygodni z góry teraz słyszy, że inni „na zapas" nie mogą, choć blankietów nie brakuje. O co tu chodzi? Też nie wiemy. Pomijając już taki drobiazg, że na jednym blankiecie spokojnie zmieściłby się „bilet" na cztery tygodnie. No ale „prościej" jest sprzedawać cztery blankiety osobno...

Pani **Irena Głubowska** ma nam, czyli redakcji za złe, że choć żyjemy wszyscy w „czerwonej Łodzi", to nic nie piszemy o wspaniałym gmachu przy al. Kościuszki 107/109 i jego mieszkańcach. — Nas bardzo interesują losy tych, którzy Łódź doprowadzili do obecnego stanu, czy jeszcze siedzą na swych synekurkach, kto ich finansuje? Dziwnie cicho o tym świetlanym gmachu na łamach prasy, a przecież Stalinów nie trzeba daleko szukać...

A poza tym: **na ulicy Lutomierskiej 150**, w okolicy bloku numer 11 leżą dwa zniszczone słupy elektryczne i nikt nie zamierza ich zabrać!... Na „rogu" ul. Andrzeja Struga i al. Włókniarzy od dawna uszkodzona jest barierka!... Pan **Lech Kraj** zastanawia się, czy i kiedy wprowadzimy w ramach rewanżu jakieś skromne choćby restrykcje dla turystów z NRD. Może sprawdzanie dokumentów w każdym sklepie, może nieco „osobistych" kontroli na przejściach granicznych. „Jak Kuba Bogu..."

Zatelefonowała też sympatyczna pani, która przedstawiła się jako **Joasia**. Gdy spytałem, z jaką sprawą do nas przychodzi, czyli co ją zdenerwowało, odparła lekko tylko wściekłym głosem: — **Panie, mnie wszystko wokoło denerwuje...**

DARIUSZ DOROŻYŃSKI

„Odgłosy" proponują:

Film:

Proponujemy dziś film, który zdążył obrosnąć legendą — „Przesłuchanie" Ryszarda Bugajskiego. Jest to jeden z obrazów, który przez siedem lat oczekiwał na rozpowszechnienie. Opowiadając przejmującą historię aresztowania w czasach stalinowskich niewinnej kobiety mającej świadczyć przeciwko swoim kolegom Bugajski stworzył coś więcej niż tylko rozrachunkowy obraz epoki. Bohaterką jest piosenkarka kabaretowa, która w stalinowskim więzieniu przekształca się w osobę świadomą swoich wartości dzięki czemu znosi długie, bezlitosne przesłuchania. W więzieniu rodzi dziecko, którego ojcem jest jeden z jej katów i które po kilku miesiącach zostaje jej odebrane. Po śmierci Stalina wychodzi na wolność, jako kobieta silna i dojrzała. W rolach głównych **Krystyna Janda, Janusz Gajos, Adam Ferency, Olgierd Łukaszewicz, Anna Romantowska i inni.**

TV:

„SZPRYCA" Raszida Nuganowa to film traktujący o narkomanii. Młody chłopak po dłuższej nieobecności wraca do rodzinnego miasta, by odebrać dawny dług od znajomych z miejscowego półświatka. Poznaje dziewczynę uzależnioną od narkotyków. Gdy próbuje jej pomóc naraża się bandzie handlarzy narkotyków. **(Piątek, 8 grudnia, godz. 20.05 TV 1).**

„CZERWONI" — epicka opowieść o **Johnie Reedzie** pisarzu dzięki któremu reportaż zyskał range gatunku literackiego, jedynym Amerykaninie pochowanym na Kremlu. Reżyserem filmu i odtwórcą głównej roli jest **Warren Beatty**, któremu światowy rozgłos przyniósł słynny film **Arthura Penna „Bonnie and Clyde"**. Film który zobaczymy to ambitna próba połączenia wielkiego widowiska filmowego z dramatem psychologicznym. Krótkie bo zaledwie 33-letnie ale niezwykle bogatne i bogate w wydarzenia życie słynnego dziennikarza, świetnego mówcy, poety i działacza niełatwo było zmieścić w wąskich ramach pojedynczego filmu. Reżyser wybrał więc jako główny — wątek osobisty bohatera, jego skomplikowane perypetie uczuciowe, przyjaźnie i rozterki moralne. Opowieść o autorze **„Dziesięciu dni, które wstrząsnęły światem"** rozpoczyna od spotkania z kobietą, która odegrała czołową rolę w jego życiu, nie tylko osobistym. Poza znakomitymi zdjęciami (nagrodzonymi Oscarem) do niewątpliwych zalet filmu należy świetna gra aktorska — głównego bohatera i partnerującej mu **Diane Keaton**. Będziemy mieli też okazję obejrzeć **Jerzego Kosińskiego** w roli... enkawudzisty, a **Jacka Nicholsona** — kreującego portret **Eugene O'Neilla**. **(Czwartek, 7 grudnia, godz. 21.45 i piątek, 8 grudnia, godz. 21.45. TV 2).**

„ZGADNIJ, KTO PRZYJDZIE NA OBIAD" — to film **Stanleya Kramera**, w którym wystąpili po raz ostatni wspólnie — **Spencer Tracy i Katherine Hepburn**, nagrodzona Oscarem za rolę kobiecą. Bogate małżeństwo, rodzice dorosłej córki, dowiaduja się któregoś dnia, że ich jedynaczka wychodzi za mąż za Murzyna. Mimo że młody człowiek jest wykształcony, że posiada na swoim koncie pokaźny dorobek naukowy, nie mogą dopuścić do siebie myśli, iż może być mężem ich córki. **(Sobota, 9 grudnia, godz. 20.05, TV 1).**

OGŁOSZENIA DROBNE

KUPNO-SPRZEDAŻ

CIŚNIENIOMIERZ komputerowy sprzedam. 57-73-50. 59682-g

BELKĘ przednią „VW-Garbus" — kupię. 78-24-20. 60941-g

NAUKA-PRACA

STUDENCKIE Biuro Korepetycji ZSP UŁ, zakres szkoły podstawowej, średniej, przygotowania do egzaminów, języków obcych, wtorek, środa, czwartek 10—13, 32-59-65. 6659-k

ZGUBY

TOMASZ Wasilewski zgubił legitymację studencką 60213 WAM. 60912-g

ROBERT Pach zagubił legitymację studencką 6291 WAM. 60814-g

JOANNA Laskowska zagubiła legitymację studencką 62918 PŁ. 60358-g

LOKALE

MIESZKANIA — poszukuję, 86-75-30, 33-22-21. 60897-g

RÓŻNE

6000 dolarów zainwestuję w przemyślane przedsięwzięcie. Listy „60575". Biuro Ogłoszeń Piotrkowska 96.

ZAWIADAMIAMY o likwidacji Spółki „Heiko". Łódź, Turystyczna 18 i wzywamy wierzycieli. 60802-g

UNIEWAŻNIAM pieczątkę: „CEPELIA". Związek Spółdzielni Rękodzieła Ludowego i Artystycznego, Regionalne Biuro Sprzedaży w Łodzi, sklep nr 159, Nawrot 2a. 60788-g

HANNOVER — miejsca w samochodzie, 15-09-62. 60791-g

USŁUGI

ŚCINANIE, karczowanie drzew, 74-23-38, Kołodziejczyk. 58357-g

FLOKOWANIE na różnych materiałach, krótkie terminy. Łódź ul. Strzelczyka 4. 11634-g

POLIKLINIKA roślin, 36-87-55 Bazyli. 59628-g

KANCELARIA „Codex" Łódź, Nawrot 2a podejmowanie działalności, sprawy podatkowe, wszelkie spółki, przedsiębiorstwa typu joint-ventures, zapraszamy codziennie godz. 17—19 prócz sobót. 33-35-71. 10619-g

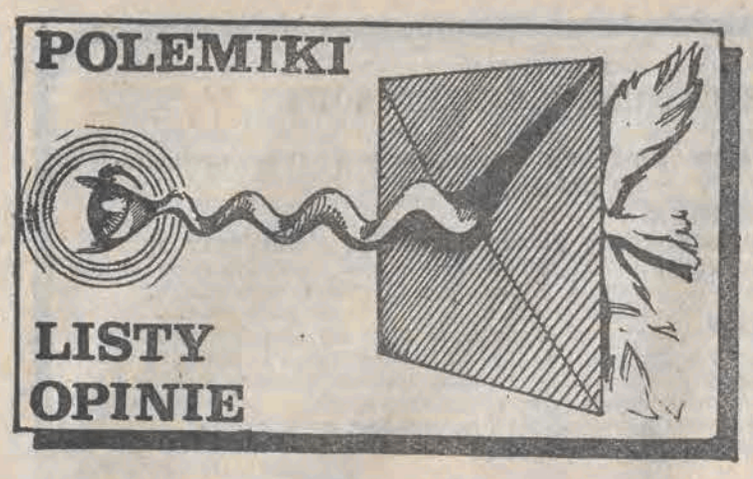

Na kolumnie „Polemiki — listy — opinie" publikujemy tylko teksty podpisane imieniem i nazwiskiem z podaniem adresu. Wszelkie dane na życzenie zainteresowanego zatrzymujemy do wiadomości redakcji. Prezentujemy również poglądy i opinie, których redakcja nie podziela. Przedstawione w listach fakty publikujemy na odpowiedzialność autorów.

TRUDNY POWRÓT DO KORZENI

W nr 47 „Odgłosów" opublikowany został apel Komisji Zakładowej NSZZ „Solidarność" przy Miejskiej Bibliotece Publicznej im L. Waryńskiego, w którym Komisja w imieniu całej organizacji związkowej zwraca się do Czytelników o poparcie w podejmowanych przez nią staraniach o przywrócenie łódzkiej Bibliotece imienia nadanego jej przed wojną. Starania to nie pierwsze, bowiem w 1981 r. przygotowywano się do tego samego. Tak jak w 1939 r. wojna przerwała dzieje Biblioteki im. J. Piłsudskiego, tak w 1981 stan wojenny przeciął te zabiegi.

W apelu w skróconej z konieczności formie przedstawiono argumenty przemawiające za powrotem do tamtych korzeni i prośbę o poparcie, poparcie do mieszkańców Łodzi, którzy w znacznej swej części pewnie nie raz w życiu przekroczyli progi tej najstarszej instytucji kulturalnej naszego miasta. I to było wszystko! Komisja przesłała tekst tego apelu do łódzkich gazet i jedynego, na nieszczęście, w Łodzi tygodnika. Redakcje różnie się z tym apelem obeszły. Najserdeczniej jednak zajęły się nim „Odgłosy"! Bibliotekarzem jestem już ćwierć wieku (z czego lat prawie 20 w MBP), członkiem tej właśnie organizacji związkowej „Solidarność", która ów obrazoburczy dla niektórych apel wystosowała, nieprzerwanie od 1980 r. Toteż komentarz samego Redaktora Naczelnego (dłuższy niż sam apel) zamieszczony bezpośrednio po tekście wprawił mnie, najdelikatniej rzecz ujmując, w zdumienie. Bardziej subiektywnie zaś całą sprawę traktując wzbudził po prostu niesmak. (Podkreślam celowo mój staż zawodowy, by nie wytykano mi braku doświadczenia i zbyt emocjonalnych ocen właściwych jakoby *tylko młokosom. Jestem nieco starszy od mojej ludowej Ojczyzny i co nieco w Niej i z Nią przeżyłem*).

Takie a nie inne uczucia komentarz ów wzbudził we mnie niezależnie jak na niego patrzeć — zarówno z formalnego jak i merytorycznego punktu widzenia. Wg mnie zamieszczanie odredakcyjnych, obszernych komentarzy polemicznych do tekstu zamieszczonego tuż obok, którego treści właściwi adresaci tzn. Czytelnicy jeszcze nie znają jest po prostu nieeleganckie (nazwijmy to tak eufemistycznie). W rzeczy samej bowiem jest najzwyklejszą manipulacją, mającą na celu ukierunkować odbiór jakichś treści, szczególnie jeśli chodzi o mniej zorientowanego i wyrobionego Czytelnika. A przecież takich „Odgłosy" jak i inna prasa ma wielu, jeżeli nie większość. Zabieg to nienowy i niestety nadal stosowany w wielu Redakcjach. No cóż, teoretycznie mają do tego prawo. Szczególnie jeśli konkurencji w informacyjnym świecie brak. Ale czy tekstom nowym zamieszczonym w rubryce „Polemiki. Listy. Opinie" nie wystarcza zdanie z jej czołówki. „Prezentujemy również poglądy i opinie, których redakcja nie podziela?".

Pół biedy gdyby Pan Redaktor ograniczył swój komentarz do wyrażenia własnego tylko poglądu na tę sprawę. Ma do tego prawo! Ale oto otrzymaliśmy jednocześnie nader interesującą wykładnię historii najnowszej i tego co dokoła się dziś dzieje, a na dokładkę kilka dobrych rad co do programu działania naszego Związku. Co do widzenia historii to rzeczywiście ze wszech miar interesujący pogląd i w tak kapitalnej syntezie zawarty! *„Obserwujemy w naszym życiu politycznym gwałtowny nawrót do metod stosowanych przez stalinowców, tylko z innych pozycji. Oni też wszystko zmieniali, przywracając ciągłość historyczną"*. Byłoby to stwierdzenie tylko absurdalne i może nawet śmieszne, gdyby nie groza wiejąca z tego! Panie Redaktorze! O jakich metodach Pan mówi, o jakiej ciągłości historycznej!? Porównanie zastosowane przez Pana (może tylko z pośpiechu?) jest po prostu obraźliwe dla milionów ludzi! Ale cóż! Każdy ma swoje korzenie, każdy ma prawo ich szukać, chcieć do nich wracać lub się odcinać.

Zbyteczne wydają się te uwagi co do tego co komu chce lub nie chce przejść przez maszynę do pisania. Strasznie to śliska sprawa, szczególnie jeśli się jest dziennikarzem tyle lat. Dajmy zatem może temu spokój!

Trzymajmy się faktów, o które Pan Redaktor się upomina! W apelu (nie tylko zresztą w nim) nie podejmuje nikt nawet próby oceny i wartościowania obecnego Patrona Biblioteki i porównywania go z J. Piłsudskim. Byłoby to zajęcie tyle naiwne co i niepotrzebne. Bo przecież nie o to chodzi! A fakty historyczne są jeszcze inne! To nie kamieniowi węgielnemu — jak Pan Rdaktor chce to widzieć — nadano w 1938 r. imię! We wrześniu 1939 na rogu ul. Gdańskiej i Kopernika leżał nie kamień węgielny, lecz stał gmach Biblioteki im. J. Piłsudskiego. Jako historyk cenić Pan Redaktor musi dokumenty. Oto fragment najważniejszego — aktu erekcyjnego:

„Działo się we mieście wojewódzkiem Łodzi 14 maja 1938 roku... Podpisania (na akcie erekcyjnym — przyp. AG) *stawili się na placu przy zbiegu ulic Gdańskiej i Kopernika w celu założenia kamienia węgielnego pod budowę gmachu Biblioteki Publicznej im. Józefa Piłsudskiego, ufundowanego przez Związek Przemysłu Włókienniczego w Państwie Polskim na mocy uchwały powziętej na żałobnem posiedzeniu Zarządu Związku z dnia 16 maja 1935 roku na wieść o zgonie Marszałka Józefa Piłsudskiego. Fundacją tą, która — promieniując z największego ośrodka robotniczego — służyć ma dziełu kultury polskiej, przemysł łódzki pragnął złożyć hołd pamięci Największego w dziejach Polski Człowieka. Zgodnie z wymogami formalnemi wzniesienie gmachu uznane zostało za akt uczczenia pamięci Wskrzesiciela Rzeczypospolitej powzięte dnia 11 maja 1937 roku specjalną uchwałą Naczelnego Komitetu Uczczenia Pamięci Marszałka Józefa Piłsudskiego..."*.

Oto korzenie tej Biblioteki. Jako się rzekło za rok od tego momentu stały już mury Czyn to już, czy tylko zamiar? Szkoda, że ciągle tak łatwo nam przychodzi przekreślanie faktów, bo zastąpiono je nowymi, przekreślanie woli przodków. Dla wielu na szczęście, to jest właśnie ciągłość historyczna a nie ta, której korzenie sięgają lat czterdziestych czy pięćdziesiątych.

Mniej zorientowanym przypomnę tylko jeszcze, że w 1949 r. bardzo się śpieszono, by otworzyć wykończony gmach (który podczas wojny nie uległ zniszczeniu) 6 listopada na 32 rocznicę Wielkiej Październikowej, w miesiącu Przyjaźni Polsko-Radzieckiej, by gości przywitać imponującą wystawą książki radzieckiej. Czy mógł w tej sytuacji Zarząd Miejski m. Łodzi nadać inne imię Bibliotece niż nadał? Ot po prostu, los Biblioteki taki jak i całego narodu.

Niepokoi Pana Redaktora *„powszechne dążenie do zmieniania nazw"*. Zbyteczne obawy! Szczególnie tu, w Łodzi, gdzie trudno choćby o jeden przykład urzeczywistnienia tych powszechnych wszak dążeń. Rada Narodowa dała skuteczny odpór inicjatywie grupy radnych postulujących rok temu nadanie imienia J. Piłsudskiego ul. Wschodniej. Co poza tym? Ano nic! Wypada się zatem cieszyć, że Łódź tak dzielnie broni *„ciągłości historycznej"*. A warto by co nieco zmienić! Bo to miasto ma swoje, bardzo specyficzne korzenie, których ślad jednak skutecznie zatarto.

Na koniec zaś słów kilka jeszcze o dobrych radach. Cenić je wypada pod warunkiem, że i one będą cenne. Rada co do wmurowania tablicy i ożenienia Piłsudskiego z Waryńskim nienowa. Rozpatrywano ją już dawno i wielokrotnie. Nie znalazła wielu zwolenników, choć niewykluczone, że do tego zamysłu wracać się jeszcze będzie, ale chyba akurat w odwrotnej kolejności. Właściwe imię Bibliotece, a tablica temu kto jej Patrona przez 40 lat zastępował. Pro memoria!

Trudno jednak dziękować za rady, których udzielono Komisji Zakładowej. Po pierwsze nie powinno się takich rad udzielać, jeżeli nie wie esię nic o działalności tej Komisji i nawet nie stara się dowiedzieć u źródła (informacje z drugiej ręki są zazwyczaj mało przydatne) a po drugie dobrze byłoby wiedzieć jakie są najważniejsze zadania i cele związku zawodowego (każdego!) zanim takie opinie zacznie się publicznie głosić. Toteż rady by Komisja Zakładowa „Solidarności" skoncentrowała *„swoją energię, pomysłowość i doświadczenie na działaniu o poprawę bytu biblioteki"* (chodzi o byt w sensie poprawy trudnej sytuacji lokalowej) są po prostu źle zaadresowane! Gdyby chodziło o byt bibliotekarzy, to zgoda! Oczywiście, nie oznacza to, że nie uczestniczymy jako Związek i nie będziemy uczestniczyć na miarę swoich możliwości w takich staraniach. Sam na łamach „Odgłosów" usiłowałem się „użerać" z władzami miasta o to! (Choć to moje „użeranie" docierało do Czytelników, bo przecież nie do władz, którym było to zupełnie obojętne, otóż docierało ono w bardzo już ugłaskanej formie. Przez kogo i po co — zadawałem sobie naiwnie pytanie!)

Ale przecież Pan Redaktor wie doskonale, że nie tędy droga. Związek nie wybuduje nowego gmachu choćby się bardzo zawziął. I na nic tu zda się pomysłowość i energia, szczególnie na łódzkim betonie. Nawet tych, którzy z racji swoich statutowych obowiązków to winni przede wszystkim czynić i czynią. Myślę tu o Dyrekcji Biblioteki, która praktycznie już wyczerpała też swoje możliwości przekonania o wadze problemu władz miasta. Otóż to — tu jest adresat! W 1922 r., gdy miasto brało na swój garnuszek Bibliotekę, brało ją ze wszystkimi tego konsekwencjami. Ta Biblioteka jest miejską! Czy ktoś rozumie właściwie i w pełni dzisiaj to słowo? To też sprawa korzeni! I dlatego nie ma i nie może być nikogo winnego za sytuację, w jakiej Biblioteka się znalazła obecnie prócz władz tego miasta! (Niestety, nie tylko administracyjnych, lecz także politycznych, których już nie ma). Tak jest teraz, kiedy znaczna część najcenniejszych zbiorów jest wyłączona z udostępniania i tak będzie, jeżeli zgniją poskładane w piwnicach Biblioteki i fabrycznych magazynach na terenie miasta tysiące książek!

A co do tego, co powinna robić i zrobić „Solidarność", której jesteśmy cząstką, to truizmem jest przypominanie co w tym kraju zrobiła. Dużo, bardzo dużo! Ale dziś jesteśmy już chyba na drodze właściwego podziału ról? A Komisja Zakładowa, czy cały Związek w Bibliotece? No cóż? Pomysły mogą być różne i wysoce prawdopodobne, że zaczniemy wprowadzać je w czyn. Modne obecnie jest np. zajmowanie lokali siłą. Ale to raczej obca metoda temu Związkowi. Nie te korzenie! Być może ogłosimy kwestę, otworzymy konto. Ale jaki Związek Włókniarzy dzisiaj nam w tym pomoże? Osobiście będę namawiał Koleżanki i Kolegów, by rozpocząć pikietowanie kilku upatrzonych gmachów i lokali w mieście nadających się zupełnie dobrze na rozliczne i bardzo różne potrzeby Biblioteki. Jeżeli zatem pojawimy się na korytarzach Redakcji „Odgłosów", to nie zarzuci nam Pan Redaktor, że robimy zbyt wiele szumu a nasze *„działania są zastępcze i pozorne?"* Ale czy na tym ma polegać ta smutna zabawa? Osobiście głęboko wierzę, że w końcu wyjdziemy z tego świata absurdów, zastępczych i pozornych działań (ale nie tych, które Pan Redaktor nam zarzuca), braku kompetencji, głupoty i arogancji, krępujących praw i decyzji i nieludzkich ludzkich zachowań. To też sprawa powrotu do korzeni! Trudna, więc może nie mnóżmy przeszkód. A podpisów pod apelem przybywa!

ANDRZEJ GAWROŃSKI

PS. Pan Redaktor zachęcał do wyrażenia swych opinii. Myślę zatem, że znajdzie się miejsce na łamach „Odgłosów" i na ten głos, polemiczny ale nieco szerzej traktujący wywołany problem. Zmusza do tego komentarz Pana Redaktora.

Nie powinienem tego robić, gdyż — zgodnie z „Prawem prasowym" — mam prawo odrzucić polemikę Andrzeja Gawrońskiego z dwu powodów. Nie on był podpisany pod apelem Komisji Zakładowej NSZZ „Solidarność", po drugie — tekst jego odpowiedzi jest znacznie obszerniejszy od dopuszczalnej wielkości i ustalonej prawem. Nie chcę jednak być posądzony o ponowną manipulację i inne zło, niech więc Czytelnicy mi wybaczą tę dobroć serca i sami osądzą zalety i wady publicystyki mego polemisty.

W moim przekonaniu Andrzej Gawroński postępuje nieuczciwie, gdyż na moich plecach rozprawia się z wszelkimi adwersarzami, żalami, uprzedzeniami i na mnie wylewa całą gorycz, która mnie się nie należy. Nie jest to sposób polemizowania godny polecenia i niech się młodzi na takim wzorze nie uczą. A teraz postaram się punkt po punkcie udowodnić powyższą tezę.

1. Andrzej Gawroński pisze: „jedynego, na nieszczęście, w Łodzi tygodnika". **Zgadzam się. Byłoby lepiej — i dla „Odgłosów", gdyby były inne. Ale nie ten adres, nie zniechęcam nikogo do zakładania pisma. Przeciwnie.**

2. Nigdy nie wytykałem A. Gawrońskiemu „braku doświadczenia i zbyt emocjonalnych ocen właściwych jakoby młokosom". **Nie ze mną ta polemika.**

3. Nie rozumiem, dlaczego manipulacją ma być umieszczenie pod tekstem komentarza do niego. Nie „obok" a pod. Dlatego ponownie nie rozumiem, dlaczego „właściwi adresaci tzn. Czytelnicy" **mają nie znać treści tekstu, do którego zamieszcza się komentarz, jeśli mogą go przedtem przeczytać? Zdaje się, że to znów nie ze mną polemika.**

4. Zdanie: „Prezentujemy również poglądy i opinie, których redakcja nie podziela" **nie zwalnia nas z prawa komentowania tych tekstów, do których mamy odmienne zdanie. Wyrażałem to już wielokrotnie przy różnych okazjach. Nie moja wina, że A. Gawroński tego nie czytał.**

5. Nie dawałem żadnej „nader interesującej wykładni historii najnowszej", **ani tym bardziej** „kilka dobrych rad co do programu działania naszego Związku". **Odniosłem się jedynie do** „powszechnego dążenia do zmieniania nazw". **A. Gawroński takiemu zjawisku nie przeczy, nie podaje żadnych argumentów. A oto w Olsztynie planuje się nazwanie głównej ulicy imieniem Józefa Piłsudskiego. Gdyby A. Gawroński sięgnął do zszywek gazet z 1950 roku i następnych lat, to przekonałby się, że** „to już przerabialiśmy", **choć chodziło o innego Józefa.**

6. W zdaniu: „Oni też wszystko zmieniali, przywracając ciągłość historyczną" **jest błąd. Powinno być** „przerywając" **zamiast** „przywracając". **Moja wina, że błędu nie sprostowałem. Liczyłem jednak na inteligencję Czytelnika, gdyż akapit ten kończy się stwierdzeniem:** „Jest to bowiem operacja przerywania ciągłości historii, a tego robić pod żadnym pozorem nie wolno". **Przeliczyłem się. Każdy czyta to, co chce przeczytać.**

7. Pomijam insynuację o „śliskiej sprawie". Faktem jest natomiast, że w apelu KZ NSZZ „Solidarność" przy MBP nie występuje imię jej patrona.

8. Mogę być tylko wdzięczny Andrzejowi Gawrońskiemu za opublikowaniee fragmentu aktu erekcyjnego. Niemniej uroczystości nadania imienia bibliotece nie było. Z wiadomych powodów. Nie znam okoliczności nadania imienia MPB, ale jeśli były takie, jak je podaje A. Gawroński, nie pochwalam. Stało się jednak. Nie tylko to.

9. Akurat w sprawie przywrócenia imienia Józefa Piłsudskiego ulicy Wschodniej byłem przeciw, choć postulowałem, że ulica tego imienia powinna być w Łodzi i wcale nie na dalekich peryferiach. Ulica Wschodnia była wcześniej niż nadano jej imię J. Piłsudskiego. Źle też się stało, że ulicę Główną przemianowano na al. Adama Mickiewicza. Jestem za zachowywaniem historycznych nazw ulic, a nie zmienianiem ich w zależności od politycznej koniunktury.

10. Jeśli chodzi o „dobre rady", to pragnąłbym zwrócić uwagę na zastrzeżenie: „Gdyby zapytano mnie o radę, to powiedziałbym...". **Nikt mnie o radę nie prosił. Można moją propozycję uznać za niebyłą, można nad nią dyskutować. Wolna wola.**

11. Musi Andrzej Gawroński pogodzić się z tym, że mało mnie interesuje działalność ZK NSZZ „Solidarność" w MBP im. Ludwika Waryńskiego. Mam dużo większych zmartwień. Natomiast stwierdzenie, nawet w nawiasie, że „informacje z drugiej ręki są zazwyczaj mało przydatne" **jest pomówieniem. Nie jest to chwyt polemiczny godny polecania i powielania.**

12. Istotnie A. Gawroński pisał o sytuacji MBP im. L. Waryńskiego w Łodzi na łamach „Odgłosów". Insynuacją jest, że było to w „ugłaskanej formie' i sugerowanie redakcji dokonania parszywej manipulacji.

13. Wiem, co znaczy słowo: „Miejska". **Ale znam też możliwości samorządu miejskiego. Myślę, że niezbędne zmiany w tej dziedzinie powinny zmienić też sytuację biblioteki. Wbrew temu, co pisze Andrzej Gawroński, sądzę, że warto nadal szukać rozwiązania, aby książki nie gniły w piwnicach.**

14. Jeśli pikiety pracowników MBP im. L. Waryńskiego pojawią się na korytarzach redakcji, to przyjmiemy je tak, jak przyjmujemy wszystkich. Chciałbym tylko przypomnieć, że rząd Tadeusza Mazowieckiego stanowczo sprzeciwia się takim praktykom i były już przypadki, że na rządowe polecenie milicja usuwała, na przykład w Opolu, pikietujących. Proszę zatem mieć o to pretensje nie do mnie!

15. Ja też wierzę, że „w końcu wyjdziemy z tego świata absurdów, zastępczych i pozornych działań" **i nie popadniemy w drugi.**

16. Jeśli podpisów przybywa, to cieszę się. Pluralizm rozumiem bowiem w taki sposób, że obok siebie mogą występować różne poglądy, swobodnie rozwijać się, co nie wyklucza walki między nimi, ale walki, w której używa się argumentów, a nie insynuacji, pomówień, inwektyw i tak dalej, co u nas jest niestety powszechne. Pluralizm dla mnie, to możliwość istnienia wolności poglądów i postaw, a nie wielości osób, które popierają i wyznają tylko jeden pogląd.

Byłbym wdzięczny, gdyby Andrzej Gawroński zechciał nie odpowiadać na moją z nim polemikę, gdyż szanuję cierpliwość Czytelników. Jeśli zrobi to prywatnie — jego sprawa. Byle już nie w druku.

Serdecznie Czytelników przepraszam za tę przydługą polemikę.

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

UWAGA! MIŁOŚNICY WILNA

Biuro Usług Promocyjnych w Sopocie przygotowuje popularny przewodnik po Wilnie: „Wilno od A do Z". Przewodnik zawierać będzie legendy i mity o mieście, trasy wycieczkowe, plan miasta z uwzględnieniem dawnych nazw ulic w języku polskim, plan miasta sprzed drugiej wojny światowej, liczne fotografie i informacje o mieście i jego instytucjach niezbędne dla turysty.

SDP WYJAŚNIA

W związku z artykułem pt. „Kto zostanie dyrektorem telewizji w Łodzi?" pióra Bogumiła A. Makowskiego („Odgłosy" nr 48 z dnia 26.11.1989 r.) prosimy o zamieszczenie następującego sprostowania:

Kandydatów na stanowisko dyrektora Łódzkiego Ośrodka Telewizyjnego — Iwonę Śledzińską-Katarasińską i Marka Markiewicza nie „wysuwało" — jak pisze autor publikacji — Stowarzyszenie Dziennikarzy Polskich. Wynika to z tej podstawowej zasady demokracji, której chcemy służyć, a polegającej na tym, że SDP nie będzie tworzyło nowych nomenklatur.

Zadaniem SDP jako stowarzyszenia zawodowego zrzeszającego dziennikarzy jest w takim przypadku jedynie o p i n i o w a n i e kandydatur w prasie, radiu i tv. Taką opinię o naszych kolegach I. Śledzińskiej-Katarasińskiej i Marku Markiewiczu złożyła na prośbę Łódzkiego Porozumienia Obywatelskiego (którego SDP jest sygnatariuszem) grupa 14 członków SDP w Łodzi Taka forma wynikła z faktu, że łódzkie środowisko SDP dokonało swoich formalnych wyborów do organów stowarzyszenia dopiero na zebraniu w dniu 16 listopada br., kilka dni po posiedzeniu ŁPO, na którym omawiane były sprawy kadrowe łódzkiej tv

Opinia o obojgu naszych kolegach przedstawiona ŁPO przez grupę aktywnych członków SDP w Łodzi zawierała pogląd, iż oboje reprezentują taki rodzaj doświadczenia zawodowego i posiadają takie cechy osobiste, które znakomicie się uzupełniają. Stąd opinia sugerowała, iż łącznie mogą znaleźć się w kierownictwie Łódzkiego Ośrodka TV, bez wskazywania wzajemnej między nimi hierarchii.

Stowarzyszenie Dziennikarzy Polskich nie będzie natomiast ingerowało w jakiekolwiek decyzje kadrowe Prezesa Komitetu ds. Radia i Telewizji w sposób, który mógłby naruszyć jego autonomię.

GUSTAW ROMANOWSKI
Wiceprezes Zarządu Oddziału

KTO POMOŻE SZKOLE?

Pierwsza prywatna szkoła podstawowa w Łodzi stała się faktem. Komplety uczniów we wszystkich klasach, kolejka chętnych, dziesiątki telefonów z prośbami o miejsce dla dzieci w przyszłym roku szkolnym — świadczą o potrzebie jej powołania i istnienia. Szkoła wychodzi naprzeciw oczekiwaniom i społecznemu zapotrzebowaniu na alternatywny model edukacji. Niestety, borykamy się z trudnościami: korzystamy z pomieszczeń dzierżawionych od Domu Kultury „Lutnia" przy ul. Tanowej, co pozwala na realizowanie programu jedynie w klasach I—III. Jest nam potrzebny budynek, bądź lokal o większej liczbie izb, by nie stworzyła się „dziura" pomiędzy klasami, a tym samym — by szkoła nie stała się kaleka. Mając świadomość, że kłopoty i trudności są udziałem całego społeczeństwa, apelujemy jednak do ludzi wrażliwych, instytucji, które mogłyby nam pomóc. W trosce o dobro dzieci, które są nadzieją nas wszystkich, a już pokochały swoich nowych nauczycieli (z wzajemnością) i są zachwycone szkołą. Nie powinniśmy dopuścić do łez i rozczarowań, przecież wszystkie dzieci są nasze. Ich wykształcenie będzie naszym wspólnym zyskiem, bogactwem tego kraju. Sami robimy, co możemy, ale nie podołamy wszystkiemu. Podajemy numery kont: **Bank Polska Kasa Opieki S.A., Łódź, ul. Piotrkowska 211; złotówkowe: 547042-20003731-131; dewizowe 547042-20003731-15781.**

Prosimy o pomoc z pewnym zażenowaniem, jednak bez niej nie damy sobie rady.

ZESPÓŁ RODZICÓW

Przedsiębiorstwo Produkcyjno-Handlowe i Usługowe TEX

SZCZECIN
ul.K.Kolumba 13

tel.364-10 wew.32 lub 33
478-42 wew.32 lub 33
tlx:042 5213 tex pl

PROWADZI HANDEL HURTOWY

ZAPRASZAMY DO WSPÓŁPRACY PRODUCENTÓW

oferuje do sprzedaży:

◄ wino gronowe francuskie ◄ wykładziny dywanowe i PCV ◄ maszynki do golenia „WILKONSON" ◄ włoskie adidasy ◄ szampony i płyny do kąpieli ◄ olej słonecznikowy ◄ margaryna słonecznikowa ◄ piwo ◄ wina musujące ◄ maszyny do pisania (bogaty wybór) ◄ osadzaki — pistolety „HILTI" z materiałami eksploatacyjnymi.

3924/K

UWAGA!
SPRZEDAWCÓW (AKWIZYTORÓW)

importowanych towarów produkcji renomowanych firm zachodnich w branżach:

◄ **art. wyposażenia mieszkań**
(w tym komplety łazienkowe, glazura, dywany, elektryczny sprzęt gospodarstwa domowego)
◄ **zabawki**
◄ **zegarki elektroniczne**
◄ **artykuły biurowe**
◄ **artykuły odzieżowe**

Z A T R U D N I Ą

USPOŁECZNIONE ZAKŁADY USŁUG MARKETINGOWYCH

Markus *SA w Łodzi*

Samodzielna praca, najlepsza dla najlepszych, wysokie prowizyjne zarobki.
Zainteresowani proszeni są o kontakt osobisty lub telefoniczny pod adresem: Łódź, ul. Mazowiecka 43, tel. ▲ 78-62-38 ▲ 78-61-70.

11907/11908-g

Uspołecznione Zakłady Usług Marketingowych

Markus SA

INFORMUJĄ O ZMIANIE SIEDZIBY
swej firmy z ul. Kraszewskiego 22 i Sobolowej 1
na ul. Mazowiecką 43
▲ tel. 78-62-38
▲ 78-62-57
▲ 78-61-70

Jednocześnie

POLECAMY
naszym odbiorcom za złotówki i dewizy, najwyższej światowej jakości importowane artykuły z branż:
◄ artykuły wyposażenia mieszkań (w tym komplety łazienkowe, glazura, dywany, elektryczny sprzęt gospodarstwa domowego)
◄ zabawki
◄ zegarki elektroniczne
◄ artykuły biurowe
◄ artykuły odzieżowe

Z A P R A S Z A M Y !

11907/11908-g

Przedsiębiorstwo Turystyczne „Łódź" CUT

ZAPRASZA
na imprezy Świąteczno Noworoczne

O F E R U J E M Y:

▲ POBYTY WCZASOWE W KRAJU: w domach wczasowych i pensjonatach w miejscowościach: Bierutowice, Zakopane, Solina, Szklarska Poręba, Szczawnica, Piwniczna k. Muszyny, Bańska Górna, Ciechocinek lub inne wg życzenia na zlecenie oraz w Czechosłowacji w m. Nachod.

▲ BALE SYLWESTROWE
✻ w Budapeszcie i Biełoozierskiu k. Brześcia (ZSRR)
✻ w kraju: Zajeździe „Na Rogach" w Łodzi
Zajeździe „Na Półboru" k. Sieradza.

Szczegółowe informacje: w Biurze PT w Łodzi, przy pl. Wolności 10/11, ◄ tel: 36-87-45 ◄ 32-68-34 ◄ 32-49-30.

3923/K

PRZEDSIĘBIORSTWO TURYSTYCZNE ŁÓDŹ

INSTYTUT MEDYCYNY PRACY
im. prof. dra JERZEGO NOFERA
oraz
„PROMED" spółka z o.o. (j.g.u.)
90-950 Łódź ul. Teresy 8

O F E R U J A

◄ **lekarskie badania profilaktyczne**
◄ **ocenę szkodliwości środowiska pracy (hałas, substancje chemiczne i inne)**
◄ **oznaczenia substancji chemicznych we krwi i w moczu**
◄ **ocenę wysiłku fizycznego i psychicznego**
◄ **ocenę toksyczności, zakotwórczości, mutagenności substancji chemicznych**
◄ **badania i ekspertyzy w zakresie medycyny i higieny pracy oraz dziedzinach pokrewnych.**

telefon: 55-22-50 wewn. 196 telex: 885360 imp pl telefax: 348331

3922/K

PAŃSTWOWY OŚRODEK MASZYNOWY
w Rąbieniu, k. Łodzi

o g ł a s z a

PRZETARG NIEOGRANICZONY

na sprzedaż

1. Samochód osobowy „Wołga" Gaz 24, nr rej. LDO-264B, stopień zużycia 57 proc., cena wywoławcza 11.180.000,— zł.
2. Barakowóz na podwoziu przyczepy D-46A, stopień zużycia 70 proc., cena wywoławcza 643.000,— zł.
3. Barakowóz „Alubat", stopień zużycia 74 proc., cena wywoławcza 247.000,— zł.
4. Układarka akumulatorowa UA-601, cena wywoławcza 425.000,— zł.
5. Kabina do śrutownicy UF 4907, cena wywoławcza 2.964.000,— zł.
6. Myjnia uniwersalna ZF-4938000, cena wywoławcza 1.271.000,— zł.
7. Wózek akumulatorowy platformowy, cena wywoławcza 666.000,— zł.
8. Wózek akumulatorowy platformowy, cena wywoławcza 668.000,— zł.
9. Piec wodny c.o., cena wywoławcza 100.000,— zł.

Przetarg odbędzie się w dniu 19.XII.89 r., o godz. 10, w świetlicy przedsiębiorstwa.
W przypadku niedojścia do skutku I przetargu, II przetarg odbędzie się w tym samym dniu, o godz. 11.
Wadium w wysokości 10 proc. ceny wywoławczej należy wpłacić do kasy przedsiębiorstwa, najpóźniej do godz. 9, w dniu przetargu.
Informacji udziela Dział Głównego Mechanika, tel. 52-85-37, wewn. 21.
Za braki w osprzęcie oraz wady ukryte i uszkodzenia zakład nie odpowiada.

11839/g

WYDAWNICTWO
„RES POLONA"

Z A T R U D N I

◄ **OPERATORA FOTOSKŁADU systemu „Poltype"**

Oferty prosimy składać pod adresem:

Łódź, ul. Piotrkowska 99,
prawa oficyna, IV p. tel. 32-44-10, 32-45-24, 32-45-19.

11605/g

◄ **PIECZĄTKI** ►

zamówisz

w FIRMIE

„T A G A R"

Krótkie terminy.

Łódź,
ul. Kilińskiego 59/63,
p. 1311,

Tel. 32-86-40, w. 486.

11176-g

Coś brzydkiego zaczyna się z nas wybebeszać. Widać to szczególnie wyraziście w tak rozwichrzonych czasach jak dzisiejsze, kiedy ludzie zaczynają ujawniać zachowania odrażające i zawstydzające. Co prawda o tym, że w każdym człowieku drzemią mroczne pokłady uczuć i zachowań wiadomo od dawna, tak jak wiadomo, że to co brzydkie, niecne w innych warunkach przytłaczane jest i unicestwiane poziomem kultury osobistej, wyższymi wartościami kulturowymi, moralnymi, etycznymi. Dopiero dogłębny kryzys obnaża nie tylko nędzę ekonomiczną, ideową, ale i nędzę człowieka.

Takie refleksje, pełne zażenowania, zaczynają nachodzić każdego, kto popróbuje uwolnić się od emocji i trzeźwo rozejrzeć wokół. Każdego dnia coraz obficiej oblepiani jesteśmy gromkimi słowami oburzenia na niedawne czasy, do których mam własny stosunek. Nie dziwię się, gdy z ust pełnych świętego oburzenia padają mocne słowa o niedawnych zbrodniach, krzywdach, zniewoleniu, indoktrynacji, wyrzucaniu, zaśmiecaniu głów, ogłupianiu, wyzyskiwaniu, upodleniu, przekupywaniu, słowa wyrażające wszystkie inne podłości, jakie zdolny jest wymyślić człowiekowi człowiek.

Jestem więc także pełen podziwu i pokornego szacunku dla ludzi, którzy podjęli się heroicznego wysiłku budowy lepszych czasów, czasu mówienia pełnym głosem, „rujnowania murów", „rozbijania oków", bronienia biednych, krzywdzonych, upodlanych, wyrzucanych, czy wreszcie eliminowania arogancji. Oby tylko jednej arogancji nie zastępowała druga, w innym wydaniu, wspierana innym słownictwem, oby jedne wypominane krzywdy nie czyniły nowych, a miast chrześcijańskiego przebaczenia (tak, przebaczenia, skoro nawet do obcych wyciągamy ręce w tym pięknym geście) nie podsycano kołtuńskiej nienawiści; oby wreszcie, przy okazji burzenia murów, znoszenia barier dzielących ludzi na „my" i „oni" w imię wyższych racji, nie budowano nowych, bardziej groźnych, tworzących nowe podziały i zapiekłości.

Skoro więc zdobyliśmy się już na mówienie prawdy, musimy zdobyć się także na mówienie pełnej prawdy. W przeciwnym bowiem razie jedną blagę zastąpimy drugą, tamto zniewolenie

Co wymyśliła Agnieszka Holland?

Zmarli nie mogą się bronić

nowym, jedną indoktrynację — inną, doskonalszą, wszak na tych sztuczkach znamy się najlepiej. Bo czyż nie jest zasmucające to, że o dawnych i niedawnych krzywdach, podłościach najgłośniej mówią ludzie, którzy w tamtych właśnie latach zdobywali pozycję, prestiż i tytulaturę, za opiewanie doskonałości i urody (ideowej politycznej i ekonomicznej) opluwanego dziś systemu? O nędzy gromko upodlanej idei najzajadlej grzmią ci, którzy zasiadając w najwyższych gremiach podejmowali uchwały i programy, najbardziej znaczące decyzje demaskowanych dziś ich następstw.

To dobrze, to bardzo dobrze, że nastały wreszcie czasy naprawiania krzywd, że ustanawia się prawa po temu i przywraca do pracy ludzi wyrzucanych na bruk z powodów politycznych, religijnych. Dobrze więc, że tą swoistą rehabilitacją objęte są osoby wyrzucane z pracy nawet w latach siedemdziesiątych. Gorzej natomiast, że skrzywdzonych biorą w obronę ludzie, którzy wtedy należeli do najwyższych elit partyjnych i państwowych, którzy byli nieomal domownikami salonów i saloników, zasiadali w różnych komitetach i gremiach doradczych, decydenckich, wynosząc określone profity, zdobywając dzisiejszy prestiż, a i decydując nierzadko o losach... pokrzywdzonych. To jest także prawda. Najgorsze jest jednak to, że na tej prawdzie buduje się swoistą martyrologię wzbogacaną żałosnymi, acz groźnymi, sposobami i metodami.

Z niedawnego spotkania z Andrzejem Wajdą przed kamerami telewizji dowiedzieliśmy się, że w realizowanym filmie o Januszu Korczaku znajdzie się scena (pomysłu Agnieszki Holland) „wyrzucania Korczaka z przedwojennego Polskiego Radia". Na ten właśnie temat głos zabrał ostatnio (w Tyg. „Antena") wielki znawca spraw Polskiego Radia, doc. dr hab. Maciej Józef Kwiatkowski, który pisze na wstępie:

„W imię prawdy historycznej uważam za swój obowiązek jak najdobitniej zaprotestować przeciw takiemu fałszowaniu rzeczywistości niedopuszczalnemu nawet jako filmowa »fikcja artystyczna«".

M. J. Kwiatkowski udowadnia następnie, że Stary Doktor nigdy nie pracował etatowo w PR, a jeno współpracował, że zafascynowany był radiem od dawna, a jego pierwsze audycje pojawiły się na antenie już w 1931 r., zaś bliska współpraca rozpoczęła się w 1934 i trwała do końca lutego 1936 r.

M. J. Kwiatkowski przytacza słowa Starego Doktora z jego ostatniej „gadaninki" radiowej, w której zapowiada przerwę:

„Bo stary, sterany i bo serce od czasu do czasu robi puk..., puk Trochę szybciej i trochę mocniej niż wczoraj, przed miesiącem, przed rokiem... A pracy dużo, bardzo dużo".

Dowodzi też, iż na czasy rzekomego „usunięcia" Korczaka z PR przypadają największe sukcesy jego „gadaninek" i że po przerwie J. Korczak triumfalnie powraca do „sanacyjnego" radia w marcu 1938 r. współpracując z nim do września 1939 r.

Na zakończenie M. J. Kwiatkowski pisze:

„Jeżeli w filmie Andrzeja Wajdy ma znaleźć się mimo wszystko scena „wyrzucania Korczaka z Polskiego Radia", pozwalam sobie zapytać, kto ma wystąpić w roli wyrzucającego, gdyż musi to być konkretna osoba: Roman Starzyński, dyrektor PR w latach 1935—38? Piotr Górecki, dyrektor Programowy (1935—39)? Wicedyrektorzy programowi, w tym czasie Halina Sosnowska i Zenon Kosidowski? Kierownik Wydziału Odczytowego (1926—39) prof. Henryk Mościcki, czy jego zastępczyni Emilia Grocholska, zamordowana w Oświęcimiu? Może ktoś z Wydziału Literackiego: Witold Hulewicz, Jan Parandowski czy Zygmunt Kisielewski lub reżyser — Tadeusz Byrski i Antoni Bohdziewicz?... Nikt z nich nie żyje i nie będzie się mógł bronić przed zarzutem „wyrzucania Janusza Korczaka z Polskiego Radia" z pobudek antysemickich".

Ale na szczęście żyją rzetelni historycy, a i w żyjących zachowała się, na szczęście, pamięć o przeszłości. A swoją drogą byłoby ciekawe, co by powiedział o swoich „obrońcach" sam Janusz Korczak? Albo, na przykład, co by powiedział — rozglądając się naokoło i przyglądając dzisiejszym apologetom, inny wielki Dziadek — Piłsudski? Co prawda o tym ostatnim wiemy już dziś dość dużo, znamy jego przebogate słownictwo i możemy się domyślić niejednego z pikantnych słów, jakimi skwitowałby dzisiejsze peany.

MARIAN ZDROJEWSKI

1

Jeszcze trzeba poczekać

Prasa nasza staje się coraz ciekawsza, coraz bardziej różnorodna, pełna tematów do tej pory pomijanych. Można spokojnie powiedzieć, że pierwszy raz po wojnie jest tak dobra. Już dawno pod względem jakości przeskoczyliśmy lata 1980—1981. I wydawałoby się, że poszczególne tytuły powinny błyskawicznie znikać z kiosków, tymczasem nic takiego się nie dzieje. Dlaczego? Czy wynika to tylko z wysokich cen czasopism, czy może z ogólnego zmęczenia społeczeństwa? Trudno byłoby w tej chwili na te pytania odpowiedzieć. Pewnie i jedno, i drugie, a przy okazji nie wątpię, że znalazłyby się i inne jeszcze powody. Cóż więc w tej sytuacji mają robić ci redaktorzy, których pisma są zupełnie dobrze redagowane, jak na przykład „Tygodnik Kulturalny", a które zalegają w kioskach RUCHU? Oto jest pytanie i niestety, nieprędko znajdzie się na nie odpowiedź.

Poza tymi, dość zresztą poważnymi problemami istnieje jeszcze coś, co mnie w pismach niepokoi. Chodzi mi tu o najprzeróżniejsze polemiki, które ostatnimi czasy pojawiają się bardzo często. Nie jestem rzecz jasna przeciwnikiem ostrych polemik. Wręcz przeciwnie! Uważam bowiem, że to właśnie one, jak nic innego, ożywiają najlepiej czasopismo. Sądzę jednak że, by polemika była dobra, musi spełnić dwa podstawowe warunki, po pierwsze — musi być rzeczowa, a po drugie — muszą być w niej utrzymane pewne ogólne zasady kultury. Zdaję sobie sprawę, że te dwa punkty brzmią dość enigmatycznie. Bo co to znaczy rzeczowa polemika albo cóż oznaczają owe tajemnicze ogólne zasady kultury. Otóż właśnie myślę, że niestety dokładnie tego wytłumaczyć nie sposób. Albo piszący ma to w sobie i wie, o co chodzi, albo nie. I żadne podręczniki nie są w stanie tego wyjaśnić. Na szczęście jest u nas kilku ludzi parających się piórem, dla których te pojęcia nie są obce. Szkoda tylko, że jest ich tak mało.

Ponownie ostatnio przeczytałem zbiór felietonów Stanisława Cata Mackiewicza pt. „Kto mnie wołał, czego chciał". Redaktor naczelny wileńskiego „Słowa" należał do niezwykle zażartych polemistów. I jak każdy piszący człowiek miał wielu wrogów, z którymi na łamach własnego pisma staczał zacięte boje. Co to były jednak za polemiki! W nich właśnie widać najlepiej i ową rzeczowość i wielką kulturę. Ot, na przykład wiadomo powszechnie, że jednym z największych przeciwników Stanisława Mackiewicza był Adolf Nowaczyński i kiedy w roku 1924 autor „Wielkiego Fryderyka" na pół roku postanowił przerwać pisanie artykułów dziennikarskich, redaktor „Słowa" napisał felieton, w którym ocenił krytycznie działalność publicystyczną Nowaczyńskiego doceniając jednak przy tym jego wielki talent. Zakończył swój tekst takimi słowami:

„Ubył więc na pół roku pan Nowaczyński — nie starajcie się go zastąpić, panowie — oto rada, zdaje się, że rozsądna i przezorna, którą można wyrazić pod adresem młodszych, a nawet starszych dziennikarzy".

Najlepszym może przykładem, jak należy pisać polemikę, jest felieton Mackiewicza poświęcony profesorowi Stanisławowi Cywińskiemu. Uważam nawet, że każdy, kto zasiada do polemiki powinien najpierw przeczytać ów artykuł. To jest dopiero klasa! Krytyka — jak najbardziej, ostrość widzenia — ależ oczywiście! Niemniej, ileż w tym kultury i wyważenia. Niech zresztą ostatnie zdania tego artykułu mówią same za siebie:

„I takich opozycjonistów, takich inwalidów wojennych w najszlachetniejszym tego słowa znaczeniu trzeba salutować błyskiem oficerskiej szabli".

Można więc atakować, ale trzeba umieć zarazem dostrzec i zalety przeciwnika, jeśli rzecz jasna w ogóle takie posiada. Ale przecież, jeżeli ktoś jest tylko głupi, albo tylko zły i nic więcej, to czy warto strzępić pióro i zasiadać do pisania?

Wchodzimy moim zdaniem obecnie w obszar dziewiczy, w teren, na którym dopiero trzeba będzie odbudować pewne podstawowe normy postępowania. Tak o tym pisał hiszpański filozof Jose Ortega y Gasset:

„Istnienie norm to podstawa kultury (...). Nie ma kultury, gdzie nie ma zasad praworządności, do których można by się odwoływać. Nie ma kultury, gdzie nie ma szacunku dla pewnych ostatecznych stanowisk intelektualnych, do których mogłyby się odnosić strony dyskusji. Nie ma kultury, gdzie stosunkami ekonomicznymi nie kierują jakieś ustalone zasady. Nie ma kultury, gdzie w polemikach estetycznych nie uznaje się potrzeby uzasadniania dzieł sztuki".

Dlatego też, by niektóre nasze słowa pisane bądź padające z trybun stały się bardziej wyważone, trzeba będzie jeszcze trochę poczekać.

TOMASZ A. WŁODKOWSKI

2

Lewym okiem

Tylko tyle

„Wielki mój czcigodny nauczycielu czy raczysz z łaski swojej przypomnieć sobie tę moją marną osobę" — tak powiedziałby Chińczyk do spotkanego po latach nauczyciela. Oczywiście Chińczyk sprzed rewolucji kulturalnej.

U Amerykanina wyglądałoby to inaczej. „Cześć, stary byku, wciąż jeszcze jesteś belfrem na tym pieprzonym uniwersytecie? Uczyłeś nas wtedy historii, ale ja i tak nie pamiętam z tego nic i nie wiem, czy to Kołumb odkrył Amerykę czy odwrotnie?"

Polskie zwroty grzecznościowe są bardziej zróżnicowane. U nas mówi się albo tak: „Może pan, panie dyrektorze, zechce uprzejmie podpisać tutaj... o tak, dziękuję". Albo tak: „Nie może pan k..., trochę się, k... posunąć?"

Abstrahując od niezdrowych skrajności można by schematycznie ująć sprawę w dwie jakby uniwersalne szkoły: Jedna powiada, że należy sobie zawsze swobodnie mówić po imieniu, tak jak to się dzieje w krajach anglosaskich, w Niemczech i w Skandynawii. Zwyczajnie, zawsze i do każdego „ty" i koniec. Do psa, do młodszego brata, do babci, do nauczyciela, do księdza, do ministra. Ma to swój wdzięk, taka otwartość, bezpośredniość, takie unikanie niepotrzebnych komplikacji w życiu i bez tego przecież jakże trudnym. Jest w tym systemie orzeźwiający powiew demokracji, poczucie równowartości wszystkich ludzi ale jest także chęć niezawracania sobie głowy zbytnimi względami użyczanymi rozmówcy.

Druga, przeciwna tamtej szkoła, każe właśnie zwracać uwagę, podkreślać swój stosunek do osoby, z którą nawiązuje się rozmowę. To jest niewątpliwie trudniejsze. Czasem bardzo łatwo przechodzi w jakąś zadufaną chęć zwrócenia za wszelką cenę uwagi właśnie na siebie, na swoją niebywałą ogładę społeczną i towarzyską. Ale jest w tym także i chęć podkreślania właśnie różnych stopni poufałości, zaznaczania niejako, że na następny szczebel poufałości trzeba sobie zasłużyć, trzeba się go dopracować, dojrzeć do niego. Niewątpliwie taka postawa czyni życie bogatszym, pełnym niuansów, nadaje cenę zbliżeniom międzyludzkim.

Którą z tych szkół stawiałbym wyżej? Na pewno trzeba cenić swobodę w obcowaniu z ludźmi, byleby to nie była swoboda nie dopiętych spodni i rozchełstania z rozczochraniem. W nowoczesnym świecie, w jego zdemokratyzowanej sferze obyczajowej nie ma już chyba miejsca na piętrowe reweranse Chińczyków, na staropolskie „pani matko" i na francuskie „madame", kiedy mąż mówi do żony. Nie powinno się też kultywować nadmiernych łamańców grzecznościowych w obcowaniu podwładnego z szefem — jak to się jeszcze wciąż nader często spotyka, aż człowiek ma wrażenie, że mówiącemu cieknie z ust wazelina. To prawda. Ale przecież, jeszcze raz powtarzam, niebagatelną cenę mają odcienie psychiczne, owe szczeble poufałości, po których powinno się wchodzić stopniowo, smakując je kolejno, dostrzegając i doceniając ich wartość. Jakaż więc postawa jest najwłaściwsza? O tym, niestety, przesądzić musi wewnętrzna kultura każdego człowieka. Wewnętrzna kultura, tylko tyle. Ja wiem, to bardzo trudne

WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI

3

Nagle zastępstwo

Rządowe piwo

Wielkie chrzciny nam się w kraju zrobiły, czy może raczej „przechrzciny" — co nie ma nic wspólnego z pojęciem „przechrzta" — wyjaśniam dla spokoju PT Panów narodowych demokratów.

Wszystko albo prawie wszystko ma się nazywać inaczej. Zupełnie jak w latach Wielkiego Przełomu, końca czterdziestych i początku pięćdziesiątych lat. Wszystko co się dało nazwać im. Stalina, Dzierżyńskiego, Nowotki, Bieruta czy Rokossowskiego i paru innych, to wszystko zostało sumiennie i skrupulatnie nazwane. Z pomnikami nie było problemu, Adolf załatwił to wcześniej... Nawet Stalinogród mieliśmy, a Bierutowice zostały nam do dziś.

Nowe czasy, nowe nazewnictwo „Nazewnictwo" ma u nas synonim — „nomenklatura"! Niedopuszczalne.

No więc mamy nowe nazewnictwo ulic, placów i różnych obiektów Głównie skreśla się wyżej wymienionych, trochę wstrzemięźliwiej traktuje się bardziej historycznych rewolucjonistów jak np. Waryńskiego czy Okrzeję. Chociaż potężny dźwig który obalił w stolicy Feliksa Edmundowicza mógłby się choćby dla przyzwoitości nazywać np. „Rydz — Śmigły"?

Bardziej relatywnie, w zależności od regionu, bywa traktowana Armia Czerwona i nazwy z nią związane typu „Stalingradzka" „Koniewa", „Żukowa" itp. Bardzo charakterystyczna jest postawa radnych z Pabianic, którzy konsekwentnie wyrzucili i Armię Czerwoną i Żukowa, a jeden to nawet tak się zapalił, że chciał zmienić nazwę ulicy o skromnej i apolitycznej nazwie „Smugowa" Zresztą, może i był jakiś generał lejtnant Wasilij Smugow? Trzeba sprawdzić. Nie zawadzi też ustalić czy nie było zbrodniarzy o nazwiskach: Grabow, Topolow czy Klonow. Gdyby byli, należy niezwłocznie ulice Grabową, Klonową i Topolową przerobić na „Belny — Prażmowskiego", „Sławoja-Składkowskiego" i „Kostek-Biernackiego".

Swoją drogą jak się uchowała w Krakowie ulica „Sławkowska"? Chyba przez nieuwagę ...

Nie wiem, czy jest gdzieś w Polsce ulica Leona Wasilewskiego. Jeśli nie ma, to chyba już nie będzie. Wprawdzie socjaldemokrata i osobisty współpracownik Komendanta Józefa P., ale też tatuś - nie da się ukryć! — niejakiej Wandy, która robi ostatnio za czarną plamę historyczną.

Tyle byłoby o placach i ulicach, choć temat jest szerszy — ot, gdzieś tam zlikwidowali nazwę ulicy „ORMO-wców" Jak się państwo zapewne domyślają nazwano ją ... jak? Tak, oczywiście, „Legionistów"!

Zmiany nazewnictwa, czyli ogólnopolskie „przechrzciny" mają zasięg znacznie szerszy. Ma się nam zmienić nazwa Państwa, jedna przez drugą zmieniają nazwy partie i stronnictwa. Nawet była przodująca siła też. Jeden z moich znajomych uważa, że PZPR powinna zmienić tylko jedno słowo w swej nazwie, nie zmieniając nawet skrótu. Wystarczy — powiada ów kpiarz zastąpić słowo „Partia" słowem „Partaczka". Reszta może zostać. Cały czas się zastanawiam, w którą stronę zwrócone jest ostrze tego dowcipu? Czy chodzi o partaczenie przez czterdzieści lat czy tylko o to, co spartaczyła w roku 1989?

Na innych obszarach życia społecznego też trwają przechrzciny. Choćby w sporcie. Dawniej mordobicie połączone z kopaniem to było tylko chuligaństwo, teraz to się nazywa kick-boxing. Nawet jeden z naszych został mistrzem świata w tej dyscyplinie. Nic dziwnego. Toż to staropolskie „w ryja i pod fleki" ...

Albo taki dawniejszy „spekulant". Jak się dziś nazywa? „Spółka z o.o."! I jest szanowanym obywatelem ... A znów dawniejszy „cinkciarz"? Teraz to on się nazywa, prosze towarzyszy obywateli i Jaśnie Panów, „kantor" Co chyba jest obraźliwe zarówno dla wybitnego krakowskiego artysty jak i dla śpiewaka w synagodze.

A znów darmowy kapuśniak nazywa się „kuroniówka"! Skoro zatem nowe nazewnictwo wtargnęło nawet do gastronomii mam prośbę do dyrekcji browarów łódzkich: jak długo jeszcze najgorsze piwo w Polsce będzie się nazywało „Mazowieckie"? Jest to dywersja przeciw nowemu rządowi! Albo natychmiast poprawić jakość piwa, (co wydaje się niewykonalne) albo przestać je produkować, albo co rychlej zmienić nazwę na jakaś antyrządową. Na przykład: „Miodowickie".

ANDRZEJ KAROL

ALEKSANDER MINKOWSKI

Sekrety prominentów (3)

Rys. Janusz Szymański-Glanc

Mogła mieć. Treść meldunków do szefa, nagłe dyspozycje Centrali, rotacja chłopców, grymas Ikara przy deserze, awaria silnika motorówki podczas przejażdżki Marata z Rajskim po jeziorze, dziwne milczenie Jaskulskiej, gdy wróciła z masażu od Naczelnego, a nawet głupio wieloznaczne gadanie Leonarda Rema wytrącały dowódcę Ośro[illegible] [illegible]wno[illegible] najmniej na noc, a właśnie w nocy czyni się to, do czego zrobiła aluzję Brygida. Major, gdy myślał, nie mógł. Musiał być odbrężony, najlepiej po kielichu. A na kielich rzadko mógł sobie pozwolić, ponieważ zdarzały się nocne wezwania do Naczelnego albo nagła łączność z Centralą, żądanie natychmiastowego raportu albo rozkaz podjęcia bezzwłocznie pewnych działań. W końcu Major wymyślił sobie bóle. Bolał go krzyż, wątroba, coś w klatce piersiowej. Ból był nie do zniesienia, przemieszczał się, żaden lek nie działał uśmierzająco. Pomagał tylko spokój. Doktor Lech, osobisty lekarz szefa, uznał, że jest to reperkucja po odłamku, który utknął niegdyś w Majorze i w nim pozostał. Bóle zostały w ten sposób usankcjonowane, wszyscy o nich wiedzieli i Major mógł bez zakłóceń pofiglować z żoną, która lubiła długo i ciekawie, z przodu i z tyłu, leżąc i siedząc, a najchętniej stojąc w oknie i niby sobie wyglądając, gdy tymczasem pupa niecierpliwie wypięta wpijała się w męskość Majora, zaciskała kurczowo, a potem rytmicznie, i napędzała, goniła, pchała i gniotła aż Majorowi mózg stwał. Zdarzało się jednak, że szli do łóżka i Major kombinował jak by tu zasnąć czy też udać, że śpi, bo o spaniu nie było mowy, gdy Centrala zlecała pewne czynności, których sensu Major nie rozumiał, a nawet się bał. Centrala stanowiła organizm samoistny, jak każda taka centrala. Niezależny od fluktuacji, koniunktur i zmian personalnych. Zapewne od praczasów spełniała te same zadania, zlecane przez różnych przeciwko różnym i dlatego zachowała ciągłość profesjonalną, kultywowała fachowość, czciła technikę i była bezosobowa. W przeciwieństwie do innych ciał i gremiów, zatrudniała tylko specjalistów: właściwego na odpowiednim miejscu. Tu nie było słodkich improwizacji, koleżeńskich protekcji i sentymentów. Majorowi to zresztą odpowiadało. Jak każdy, cenił porządek, a do porządku, wiadomo, tęsknią najwięksi nawet bałaganiarze i improwizanci. Dowolność jest dobra, gdy pniesz się w górę. Będąc na górze, zarządzasz ład, ustanawiasz prawa. Stąd pozorna niespójność nadmiaru praw i niezliczonych woluntaryzmów — jedni już są, inni się wspinają.

— A co w momentach przesilenia? — zapytał Leonard Rem, siedząc naprzeciw Majora, rozluźniony, w rozpiętej kurtce myśliwskiej, i popijając żubrówkę z wysokiej kryształowej szklanicy, którą skreślono ze stanu ze względu na drobne nadkruszenie.

— Zależy od stopnia — odparł Major, też na luzie, też ze szklanicą już nieobecną na stanie Ośrodka, do połowy opróżnioną z żubrówki; nadano, że chwyciły go bóle i będzie spał do samego rana po silnym środku nasennym, bez względu na okoliczności. — Przesilenie zwykłego stopnia nie wymaga żadnych zmian prawnych. Tamten odszedł, ten przyszedł. Fanfary, ciepłe słowa, karp, niedźwiedź. Nie stawia się nas w stan pogotowia.

— Bywa inaczej.

— Przesilenie wyższego stopnia dawało odbicia w konstytucji. Niżej nie.

— Konstytucja bez „niżej" to czytanka dla szkolnych dzieci — powiedział Rem. — Naczelnik nie będzie jej czytał.

— Bo zna

— Bo go nie obowiązuje. Nic o skupie, o kontraktacji, o rynku o kluczu. Naczelnika obchodzi przepis wykonawczy albo telefon z województwa. Konstytucja, Majorze, jest aktem strzelistym z okazji państwowych świąt. Wszystkie konstytucje są piękne.

— Wszystko się zmieniło. Nie dostrzegasz? Mamy początek innego świata. Leonardzie. Przesilenie totalne. Idą na przemiał przepisy dyrektywy, ustawy, uchwały, rozporządzenia.

— Konstytucja bez zmian.

— Naczelny ogłosił nowe czasy.

— Balans. Woda w kranach jak śmierdziała tak śmierdzi.

— Nie u nas w Ośrodku — powiedział Major.

— Te specjalne filtry, co? Usuwają nawet radioaktywność.

— Skąd wiesz o filtrach? — zdumiał się Major i zaraz się skarcił, że zapomina o właściwościach leśniczego.

— W Monachium nie mogli wam ich sprzedać ze względu na strategiczność — powiedział leśniczy. — Więc je sprzedali do Mozambiku, tam kupił je kupiec z Lagos i przemycił do Transylwanii. Dopiero stamtąd trafiły do Bart. Po cenie, ma się rozumieć, siedmiokrotnie wyższej, plus transport.

— Zdrowie kierownictwa nie ma ceny — powiedział Major. — O filtrach ani słowa nikomu jasne?

— Radioaktywność nas zniszczy. — Rem pociągnął tęgi łyk z kryształu i zakąsił wieprzowym kabanosem podsuniętym przez Brygidę. — Wszyscy już świecimy, ty też, tylko nie każdy widzi świecenie.

Major przysunął się do leśniczego, zajrzał mu głęboko w oczy. Może liczył że Leonard odgadnie pytanie i odpowie bez zadawania go na głos. Ale Rem nie zechciał mu pomóc, więc Major zapytał półgłosem:

— Kierownictwo świeci?

— Mnie obchodzi naród — powiedział leśniczy. — Czym on Panu Bogu zawinił że go sobie wybrał? Najpierw dał mu się rozwinąć, zakwitnąć pozwolił stać się wzorem dla innych narodów. Na tych ziemiach skrzyżował szlaki ze Wschodu na Zachód i z Północy na Południe umówił Europejczyków z Azjatami Tatarów i Karaimów, Żydów i chrześcijan. Protektoramy byliśmy mediatorami i mecenasami, mądrym dawaliśmy gościnę, przedsiębiorczym opiekę i przywileje. Aż tu raptem bec!

— Jaki bec? — zapytał Major, który nie miał czasu na historię.

— Supermocarstwo od morza do morza, widzisz ty to, Marian? Twoja Polska, Majorze! No i bec

— Dlaczego bec?

— Amok. Sąsiadom do gardeł. A tu Szwedzi, Wikingi mrozem hartowane pazerne. A my skłóceni rozkapryszeni damscy. Najpierw wojna z Ruskimi i strata Kijowa potem ze Szwedami i po Inflantach wreszcie z Turkami i żegnaj Podole Ukraino. Roztrwoniliśmy Polskę, Majorze. Niczym magnat fortunę w Paryżu na dziwki.

— Ty musisz wiedzieć, co się stało — powiedział Major.

Leonard zamyślił się, potarł czoło. Miał czoło wypukłe, z narośladmi po bokach, jakby śladami rogów, nad czołem smolistą mierzwę, poskręcaną w zwitki, w supły. Nie było mowy, żeby to się dało rozczesać.

— Ukryta prawidłowość — odparł wreszcie. — Jedni podnoszą się, inni upadają, przez to ruch w naturze, a natura to ruch. Powodzenie mąci umysł, tak zginęło Cesarstwo Rzymskie. A podczas wojny, pamiętam, nikt się nie przeziębiał.

— Pewno byliśmy źle rządzeni.

— Co zależy od rządzącego? Ministra może sobie mianować. Na urodzaj wpływu nie ma, apetytów ludzkich nie poskromi, gwiazd nie zmusi do sprzyjania. Zaplanuje wspaniałość, a wyjdzie mu gówno.

— Bo źle zaplanował.

— Tu się mylisz — powiedział Leonard. — Plany są dobre. Tylko nastrój się zmienia nie wiadomo dlaczego i ludzie już nie chcą do kina, chcą boczku.

Major uzupełnił żubrówką kryształowe szklanice. Brygida doniosła kabanosów i półmisek łososiowych zawijasków, wypełnionych rakowym kremem, z cytrynką i pomidorkami, na zielonej sałacie.

— Frykasy przyrządzasz — zdziwił się Rem.

— Ja? Stamtąd. Ze śniadania zostało.

— Protokolarnie spisane na straty — uzupełnił Major. — Nie szkoda wyrzucić? Eminencji jest lepiej, oni nie mają takich problemów, jak my.

— Ty też masz problemy? — zapytał leśniczy. — Mój problem to las. Żeby zachować równowagę i nie dopuścić do zniszczeń. Zimą karma dla zwierzyny, w sezonie odstrzał nie za duży, walka ze szkodnikami, ale i listków dla nich trochę, żeby ptaki nie powymierały z głodu. Najważniejsze, Majorze, dla leśniczego jest wyczucie równowagi naturalnej, która się waha w zależności od czynników. A jakie problemy masz ty?

— Nam jest ciężko, ponieważ odpowiadamy za całość — odparł dowódca Ośrodka. — Tu i teraz w dodatku, podczas gdy Eminencja ma na głowie tam i potem.

— Zazdrościcie Kościołowi — stwierdził uśmiechając się Rem.

— Też byśmy chcieli sprzedawać bilety na cudzą imprezę. Eminencja inkasuje, a po towar do Pana Boga.

— Dlaczego nie wymyślicie czegoś podobnego?

— Wymyślili — wtrąciła Brygida, serwując kolejny, protokolarnie wyrejestrowany półmisek, do połowy wyłożony tartinkami z kawiorem czerwonym i czarnym. — Przedpłaty proponują dziś wpłacasz, w przyszłości wyjmiesz. Tylko terminu przyszłości nie podają...

— Zamilcz! — Próbował przerwać jej Major.

— ...a człowiek bydlę sakramenckie, przyzwyczajony do kalendarza. Starczy, że mu mu się daty parę razy nie zgodzą. Ma gdzieś...

— Brygido!

Sama nalała sobie żubrówki do szklanicy i opróżniła duszkiem. Na kawior nawet nie spojrzała przegryzła małosolnym domowej roboty. Czarcie ślepia gorzały wyzywająco.

— Słyszałeś Leonard, jak to mu ciężko, bo odpowiadają za całość? — rzuciła przysiadając na poręczy fotela, leniwie smukła i drapieżna jak kocica. — Nauczyli go odpowiadać bez decydowania to taka tresura wieloletnia dla najwierniejszych. Gdyby mu przyszło decydować powiesiłby się.

— Brygida wyjdź.

Major spojrzał znacząco na sufit. Domek dowódcy był parterowy i nikt nad nimi nie mieszkał. Spojrzenie znaczyło, że sufit słucha. Słuchać równie dobrze mógł kaloryfer czy stół, lecz Major zawsze przypuszczał, że mikrofon jest w suficie.

— Mylisz się, Marian — powiedział leśniczy, rozgryzając ostatnią laseczkę kabanosa. — To nie tam. Czeka cię wkrótce ciężkie doświadczenie.

— Wróżysz czy filozofujesz? — zapytał Major.

— Wszyscy mnie o to pytają. A czy ja wiem? Gadam, co ślina na język przyniesie i w przeciwieństwie do ciebie za nic nie odpowiadam.

— Owszem, odpowiadasz — powiedział dowódca Ośrodka. — Na jutrzejszym polowaniu Naczelny ma strzelić dzika. Inni też mogą strzelić, to nawet wskazane, ale ten szefa będzie najokazalszy. Rozumiemy się?

— Przeceniasz moje możliwości. Czasem coś przepowiem, ale cudów nie czynię.

— Ilu chcesz ludzi do nagonki?

— Nie to, Marian.

— Więc?

Leśniczy popadł w zadumę. Jego szczupła, trochę tatarska twarz z ostrymi kośćmi policzkowymi i oczami wyciętymi skośnie wyrażała skrywaną gorycz.

— Odpuśćcie półwysep.

— Co ty!

— Odpuśćcie — powiedział błagalnie leśniczy. — Mało wam hektarów? Ośrodek co roku większy, co roku żarłoczniejszy. Pożeracie najpiękniejszy las...

— My pożeramy? — oburzył się Major. — My go pieścimy, jak chłop ukochaną! Każde drzewo pod nadzorem, teren zagrabiony, krzaki przycięte, czego ty jeszcze chcesz? Gdzie indziej las gnije, a u nas kwitnie!

— No właśnie — westchnął Rem. — Las ma gnić, wtedy żyje. Jodły chorują od ścieżek posypanych żwirem, dęby nie znoszą ptasich karmników, modrzewiom szkodzi ukryta elektronika. Po co wam jeszcze półwysep? Tam jest wspaniały kawał puszczy. Dzika natura. Odpuśćcie!

Cierpienie miał w skośnych zielonkawych oczach. Majorowi żal go się zrobiło. Mają ludzie różne zajoby, są i tacy, którym w głowie las, choć co ważniejsze, drzewo czy człowiek?

— To nie ode mnie zależy — powiedział. — Gorban słyszał, jak Naczelny w rozmowie z Maratem wyraził zdziwienie, że półwysep dzielą od Ośrodka zasieki i rów. Chciałby robić spacery na półwysep.

— Niech robi.

— Jak?

— Przerzućcie kładkę nad rowem. Furtka w zasiekach...

— Wariat — przerwał mu Major. — My tu głową odpowiadamy za bezpieczeństwo kierownictwa. A trudniej jest niż w mieście, bo tutaj kierownictwo ma wakacje i nie chce widzieć ochraniarzy.

— Pamówiłbym z Naczelnym przy okazji — odezwał się leśniczy.

— Ani się waż!

— Cała gmina mruczy, ludzie przywykli do półwyspu, łodzie tam trzymają, na grzyby chodzą...

Major przechylił się przez stolik i spojrzał prosto w oczy leśniczemu.

— Serca nie masz — powiedział cicho. — Ten człowiek dźwiga na barkach cały ciężar. Za nas wszystkich bierze odpowiedzialność, a ty mu żałujesz półwyspu?

— Nie, żebym żałował..

— Chcesz go zasmucić, że ludzi ma przeciwko sobie. Gminny pantałyk chromoli Naczelnego. Grzybki, łódki, nawyki. Niech Naczelny tyra po szesnaście godzin na dobę, żeby gminnemu pantałykowi żyło się dostatniej. Ale od pantałykowego półwyspu Naczelnemu wara!

— Przestań, Majorze. Nie widzisz że serce boli? Las... on pochłania świecenie, bierze na siebie radioaktywność, ocala nas przed truciznami. Nie będzie lasu, to i nas nie będzie.

— A gdyby zabrakło Naczelnego, wiesz co by z nami było? — zapytał dowódca Ośrodka „S".

Leonard Rem popatrzył na niego tak jakoś dziwnie, że dowódcy po grzbiecie przeleciały ciarki. Złe oko, rzucanie uroków. Może i to potrafi leśniczy Rem? Major programowo nie był przesądny, ale we wróżby także nie wierzył, tymczasem Remowe przepowiednie się sprawdzały.

— O co ci chodzi? — rzucił niepewnie, z udawaną irytacją. — Pomózguję, przyrzekam. Może Gorban się przesłyszał, może Naczelnego odeszła chęć spacerowania po półwyspie. Sprawdzimy.

— Będą dziki na jutrzejszym polowaniu — przyrzekł leśniczy. — Szef strzeli największego. Ikar i Marat trafią po jednakowym, siedem razy będą mierzyli...

— Aluzje?

Rem podrapał się po swoich czarnych spiralach.

— Woda w kranach jak śmierdziała, tak śmierdzi — powiedział. — Kiedyś premier jeździł po wsiach i kazał malować na biało wygódki. Potem kierownictwo uczyło chłopa jak ziemniaki kopać. Naczelny uczy języka.

— Języka? — nachmurzył się Major. — Ty uważaj, Leonard. Mogę cię lubić, ale swój obowiązek wykonam.

— Język ważna rzecz — powiedział leśniczy i wcale nie było pewne, że pokpiwa. — Żeby coś było, trzeba to nazwać. Nawet Biblia powiada, że wpierw było słowo. Nowe słowa to pół nowego świata.

— A drugie pół? — zapytała Brygida, strzelając smolistymi ślepiami.

Leśniczy uśmiechnął się do niej. Szkoda, pomyślał, że Major mi ją odbił, byłaby z nas udana para, diablica i prorok. Wstał, zapiął myśliwską kurtkę.

— Niech ci mąż powie.

Na obiad podano kilka tac z przekąskami, potem była zupa pistacjowa z groszkiem i do wyboru: udziec barani po mongolsku, cielęce sznycelki, polędwice mieszane pod beszamelem i dziczyzna. Szef poprosił o dziczyznę. Kuchmistrz wniósł osobiście półmisek z kaczką upieczoną na złocisty brąz, oplecioną wieńcem kartofelków, pomidorków, papryczek zielonych i żółtych. Oddzielnie na talerzykach ogórki małosolne i marynowany czosnek.

— Smacznego — powiedział.

Ikar i Marat też zamówili kaczkę. Gajdacz kazał sobie podać baraninę z ryżem, ryż pływał w tłuszczu, po jadalni rozniósł się duszący aromat czosnku i ziół. Rajski donośnym tenorem poprosił o sznycelki cielęce.

— Nie musisz tak krzyczeć — zauważył szef przystępując do swojej kaczki, która była zdecydowanie bardziej rumiana i soczysta niż ptaki Ikara i Marata.

— Ja krzyczę?

— Mówisz za głośno.

— Zwyczajnie drzesz mordę — burknął Gajdacz, wgryzając się w udziec. — Nie chciałbym znać twoich sekretów.

— Nie mam sekretów! — zawołał Rajski. — Co ty mi imputujesz?

Gajdacz parsknął krótkim charkotliwym śmiechem.

— Panowie — upomniał Naczelny.

— Niech nosi fiuta — powiedział Gajdacz. — Amerykanie robią takie fiuty wielkości fasoli, nadprzewodnictwo izotopowe, poprawiają słuch o trzysta procent.

— Mam nosić protezę? Po co? Doskonale słyszę.

— Skończyłem dziś „Pole bez łaski" Zbigniewa Szafrana. — Naczelny odsunął ledwo napoczętą kaczkę, właściwie smakowały mu tylko małosolne ogórki zjadł wszystkie trzy. Gorban siedzący naprzeciw zapytał ruchem brwi, czy zamówić więcej, ale szef przecząco poruszył głową. — Wybitna proza. Ciekawe hipotezy. Dramatem *Marszałka było przywiązanie do własnych błędów* kochał je, jak nieudane dzieci. Sukcesami pomiatał. Do historii, twierdzi Szafran, częściej przechodzą słynni przegrani niż wielcy zwycięzcy. Marszałek podświadomie dążył ku porażkom. Niszczył najwierniejszych i ufał wrogom, bowiem działał u niego zmysł historyczny.

— Narody kochają swoich męczenników — powiedział Ikar. — Szczęściarzom zazdroszczą i mają za złe. Nie przepadam za narodami.

— Swój, mam nadzieję, wyłączasz z tego — odezwał się Marat, obrabiając ostrymi ząbkami kacze udo.

— Idiotę ze mnie robisz? — zapytał Ikar. — Jestem za układem plemiennym. Plemię łączy więź rudymentarna, członkowie stanowią rodzinę, nie ma zdrad i spisków. Buszmen Buszmenowi oka nie wykole, razem pójdą bić się z Hotentotami. Hotentot nie może przejść na stronę Bantu.

— Dlaczego? — zdziwił się Gajdacz, palcami, na modłę mongolską, pałaszując swój pilaw. — Brednie. Na drugą stronę może przejść każdy.

— A etyka? — zawołał Rajski. — A zasady moralne? A przekonania?

— Buszmen wygląda inaczej niż Hotentot — wyjaśnił Ikar. — Rzucałby się w oczy. Komancze nigdy nie przechodzili na stronę Siuksów.

— Doprawdy? — zadrwił Marat.

Marat był erudytą. Ikar umiał nie słyszeć jego jadowitych uwag, to skuteczniejsze niż spór.

— Miliony lat robią swoje — kontynuował patrząc na Naczelnego. — Państwa istnieją dopiero od paru chwil historycznych. Tylko więzy krwi naprawdę łączą ludzi. Wspólna jaskinia, wspólny teren łowiecki, ta sama okolica. Wspólnota plemienna to wymieszanie krwi, wszyscy są krewniakami.

Marat uśmiechnął się znacząco do szefa. Rzadko tak się uśmiechał tylko wtedy gdy musiał pokazać reszcie kto tu jest kim.

— Chyba nie chcesz dowieść swojej wierności szefowi na zasadzie geograficznej? — zapytał. — Pamiętamy, że pochodzicie z tych samych stron ale Kain i Abel wyszli z tego samego łona. Mam na te kwestie odmienny pogląd.

— Szefie, można sobie zamówić małą wódkę? — odezwał się Gajdacz.

— Jaki pogląd? — zapytał Naczelny.

— Bez wódki nie strawi się baraniego sadła — umotywował Gajdacz.

— Oj, Gajdacz, Gajdacz — szef pogroził mu palcem. — Wiesz że skasowaliśmy przywileje...

Gajdacz ruchem powieki prawej dał sygnał sierżant Oli, że ma zgodę Naczelnego, i drugim ruchem jeszcze jeden sygnał. Przyniosła mu na tacce kieliszek wódki i szklankę wody do popicia. Rajski, który miał psi węch dałby głowę, że jest na odwrót.

Medyk nie zagraża mediewiście — powiedział Marat preparując specjalnym ząbkowanym nożem kaczy kuperek. — Mogą bez obaw sprzymierzyć się przeciwko dozorcy w ich domu, który nie sprząta klatki schodowej.

C.D.N.